Syrena

Masterton Graham

Książka V z Rook

calibre 0.9.43

Graham Masterton

Syrena

Rook V: Swimmer

Z angielskiego przełożył Piotr Roman

Dla Międzynarodowej Grupy Przyjaciół

Tibbles — Vince'a Faheya, T. C.,

Bruce'a Thomasa i Gary'ego Johnsona

ROZDZIAŁ 1

— Mikey, skarbie, nie chlap! — zawołała, a potem przekrzywiła słomkowy kapelusz z szerokim rondem i położyła się wygodnie na leżaku. Mike, jak zwykle, nie zwracał uwagi na cały boży świat i w dalszym ciągu gonił młodszą siostrę wokół basenu. — Mike! Jeżeli będziesz dalej chlapał, natychmiast wyjdziesz z wody!

— On mi moczy włosy! — poskarżyła się Tracey. — Mamo, on mi moczy włosy!

— Dość tego, młody człowieku! — powiedziała, odłożyła powieść Grishama i wstała. W tym momencie w środku domu zaświergotał jej telefon komórkowy. — To twój ojciec. Zaczekaj, aż mu powiem, co wyprawiasz!

Przeszła szybkim krokiem po wyłożonym cegłą patio i zniknęła w oszklonym solarium. Mike w dalszym ciągu chlapał, a Tracey wrzeszczała. Mike zawsze robił mnóstwo zamieszania — od dnia, kiedy zaczął pełzać po pokoju i ściągać na podłogę obrusy i serwetki razem z fotografiami w ramkach, wazonami z kwiatami i lampami. Teraz miał dziewięć lat i był jeszcze gorszy. Jennie ledwie umiała nad nim zapanować.

Znalazła telefon pod kwiecistą poduszką w sypialni.

— Doug, to ty?

— Cześć, skarbie. Chciałem tylko powiedzieć, że spotkanie na temat preliminarza finansowego

potrwa znacznie dłużej, niż się spodziewaliśmy. Prawdopodobnie zobaczymy się dość późno.

Tracey darła się głośniej niż zwykle.

— Mamo! Mamo! Chodź szybko! Mamo, chodź szybko!!!

Jennie zasłoniła dłonią mikrofon słuchawki i krzyknęła:

— Mike! Kiedy wyjdę, będziesz miał poważne problemy!

— Co się dzieje? — spytał Doug. — Mike znów szaleje?

— A czego się spodziewasz, skoro nigdy cię nie ma w domu, a kiedy już jesteś, tylko go rozpieszczasz?

— Daj spokój, Jennie, urabiam się tu po pachy. Jak myślisz, dlaczego stać nas na basen, dwa samochody i wyjazd na narty co roku?

— Mamo! Mamo! Musisz szybko przyjść! Chodzi o Mike'a! — krzyczała Tracey.

— Muszę iść — powiedziała Jennie. — Dzieciaki robią piekło.

— Hej… zanim się rozłączysz, mam jeszcze prośbę: odbierzesz z pralni mój jasnobrązowy garnitur? Mogłabyś też zadzwonić do Jeffa Adamsona z Ventura Pools i sprawdzić, co się stało z nowym filtrem, który miał zamontować?

— Oczywiście, nie ma sprawy. O której można się ciebie spodziewać?

— Nie wiem. Może będę musiał zostać nawet na noc.

— Tak? Jak ma na imię?

— Co masz na myśli? Kto?

— Twoja konieczność zostania na noc.

— Rany, znowu zaczynasz. Może jestem pracoholikiem, ale cię nie zdradzam.

— Mamo! Mamo! Mamo!

— Na litość boską! Rozmawiam przez telefon z tatą!

— Cóż, chyba lepiej będzie, jeśli do nich wyjdziesz — powiedział Doug. — Zadzwonię, kiedy

zjemy, i powiem ci, jak sprawy stoją. Zgoda?

Jennie wyszła na dwór przez solarium. Na zewnątrz było tak oślepiająco jasno, że nie bardzo do niej docierało, co widzi. Krzaki po lewej stronie basenu gwałtownie się zatrzęsły, jakby ktoś przez nie przechodził, choć nikogo nie było. Woda w basenie błyskała i migotała i kiedy Jennie wyszła z obudowanego szklanymi taflami pomieszczenia, ujrzała Tracey — po szyję w wodzie, z mokrymi, przylepionymi do twarzy włosami, co wyglądało, jakby założyła maskę z wypolerowanego mosiądzu.

— Co się stało? — zapytała Jennie córkę. — Gdzie Mike? Tracey odsunęła włosy z twarzy. Miała rozszerzone, spanikowane oczy.

— Mamo… nie udało mi się go uratować. Poszedł prosto pod wodę.

Czując, jak jej ciałem wstrząsa dreszcz przerażenia, Jennie podbiegła do skraju basenu. Z początku nie widziała Mike'a, po chwili jednak dostrzegła blady cień na dnie, w głębokiej części niecki.

— Tracey, dzwoń pod dziewięćset jedenaście! — krzyknęła. — Powiedz, żeby przysłali karetkę, szybko!

Wzięła głęboki wdech i skoczyła do wody. Kiedy nurkowała, słomiany kapelusz spadł jej z głowy. Zanurzając się, tak silnie machała ramionami, że miała wrażenie, jakby zaraz miały jej pęknąć mięśnie. Nigdy nie była dobra w nurkowaniu, dotarła jednak do Mike'a czterema lub pięcioma ruchami i złapała go za rękę. Odwrócił się powoli, przekręcił brzuchem do dołu i spojrzał na nią. Miał rozszerzone oczy i wyglądał, jakby się uśmiechał.

Jennie popłynęła ku powierzchni, wlokąc syna za sobą. Wyszła z płytkiego końca basenu, niosąc go na rękach. Jego nogi bujały się, głowa zwisała bezwładnie. Położyła chłopca na brzegu i natychmiast zaczęła reanimować metodą usta—usta. Boże, na pewno żyje. Nie rozmawiała przez telefon dłużej niż dwie minuty. Jak mógłby się tak szybko utopić?

— Proszę, Mike… — błagała. — No, Mike, zacznij oddychać! Cholera, Mike, kochanie, musisz oddychać!

Tracey wyszła z domu.

— Utopił się? — spytała piskliwym, zalęknionym głosem.

— Zadzwoniłaś po karetkę?

— Tak. Pani powiedziała, że przyjadą bardzo szybko.

Jennie rozpaczliwie wdmuchiwała powietrze w usta Mikeya.

Wargi miał lodowate, a jego ciało było w dotyku takie, jakby nie żył od wielu godzin. Wciąż dmuchała, a łzy spływały jej po policzkach i skapywały na twarz syna.

— Oddychaj, kochanie, musisz oddychać!

Minęła wieczność, zanim na ulicy zatrąbiła syrena. Oczy Mikeya były otwarte i nieruchome, a kiedy Jennie próbowała usunąć mu wodę z płuc, przetaczał się bezwładnie z boku na bok. W dalszym ciągu wyglądał, jakby się złośliwie uśmiechał, i nie mogła uwierzyć, że nie żyje. Na pewno za chwilę wstanie, zacznie podskakiwać wokół basenu i śmiać się do niej.

Przez podwórko szybkim krokiem przebiegło dwoje ratowników. Niska Latynoska o gęstych, czarnych, kręconych włosach delikatnie pomogła Jennie wstać, drugi ratownik ukląkł przy Mike'u i zaczął go badać.

— Nic mu nie będzie, prawda? — spytała Jennie. Wiedziała, że stało się najgorsze i jej syn nie żyje, a jednak modliła się, by wyszkoleni ratownicy sprawili cud. W końcu ciągle to robią w Ostrym dyżurze, prawda? Widziała niejeden reportaż o dzieciach, które się topiły i zostały odratowane. W Kanadzie nawet cały autobus pełen dzieciaków wpadł pod lód…

— Może wejdzie pani do środka — powiedziała Latynoska, biorąc ją pod ramię. — Chodźmy, usiądzie pani.

— To mój syn… — zaprotestowała Jennie. — Mój jedyny syn!

Klęczący obok Mikeya ratownik wstał i podszedł do nich.

— Tak mi przykro… — wymamrotał. — Nie mogliśmy nic zrobić.

Jennie wyrwała ramię z uchwytu Latynoski i podeszła do Mikeya na nogach słabszych od suchych patyków. Powoli opadła na kolana i położyła sobie jego głowę na podołku. Wyglądała jak południowokalifornijska pieta. Kilku gapiów zebranych za płotem stało w całkowitym milczeniu.

Jennie czuła zimno, jakby chmura nagle zasłoniła słońce. Nie był to jednak tylko wynik wstrząsu, nie była to jedynie rozpacz. Kryło się za tym coś więcej — Jennie czuła, że przez podwórze przeszło coś bardzo złego i wrogiego. Popatrzyła w kierunku krzewów, które trzęsły się, gdy wychodziła z domu. Nie było tam nikogo. Krzaki posadzili niezbyt gęsto, gdyby ktoś w nich był, na pewno by zauważyła. Patrząc w tamtą stronę, ujrzała jednak — w cieniu drzewa pomarańczowego, na cegłach — pięć albo sześć odcisków stóp. Stóp dorosłej osoby.

Z domu wyszedł ratownik, wytaczając nosze na kółkach. Opuścił je obok Mike'a.

— Ułóżmy go wygodniej, dobrze? — powiedział.

Skinęła głową i podnieśli go we dwoje, po czym ułożyli na noszach.

— Niech pan nie przykrywa mu twarzy — poprosiła Jennie. — Jeszcze nie teraz. — Zajrzała do domu i zobaczyła, że ratowniczka zajmuje się Tracey, a do salonu właśnie weszła Blanche — sąsiadka — zapłakana i roztrzęsiona.

Jennie zostawiła Mike'a i obeszła basen, aż dotarła do śladów. Nie było najmniejszej wątpliwości… na cegłach odbiły się stopy dorosłej osoby. W zacienionej części patio ślady były jeszcze wilgotne — choć te poza cieniem słońce zdążyło wysuszyć.

Z domu wyszła Blanche, podeszła do Jennie i objęła ją ramionami. Mogło się to wydawać dziwne, ale Jennie była spokojna. Przyciskała policzek do suchych, rozjaśnionych przez słońce włosów sąsiadki i wtulała podbródek w jej bluzkę bez rękawów, lecz nie płakała. Nie chciała

współczucia — chciała zemsty. Ktoś tu był. Ktoś wszedł na podwórko i zabił jej syna. Musiała się dowiedzieć, kto to zrobił.

Porucznik Harris krążył po podwórku i spoglądając na basen marszczył czoło, jakby się spodziewał, że za chwilę spod wody wypłynie kolejne ciało. Był niski i barczysty, budową przypominał worek marynarski, miał na głowie krnąbrny pióropusz rudawych włosów oraz szeroką czerwoną bliznę na podbródku. Gdyby Columbo był rzeczywistą postacią, wyglądałby jak Harris. Jednak w odróżnieniu od Columbo porucznikowi intuicja nie podpowiadała, kto mógł zabić Mike'a.

— Widziała pani, że krzaki się ruszają, tak?

— Zgadza się. Kiedy wybiegłam z domu, dygotały.

— W jaki sposób? Jakby poruszał nimi wiatr?

— Nie było wiatru.

— To mógł być pojedynczy podmuch. Pewnie to sprawka Santa Any

*.

— Nie było żadnego wiatru.

Porucznik Harris podszedł do oleandrów i osłonił dłonią oczy.

— Nie dałoby się tu schować, prawda?

— Nie bardzo.

— Jeżeli ktoś tu był, istnieje spore prawdopodobieństwo, że pani by go zobaczyła, tak?

— Nie mogłabym nie zobaczyć. Były jednak tylko odciski stóp.

Porucznik Harris krążył wokół krzewów, przyglądając się cegłom.

* Santa Ana — silny, suchy, gorący wiatr, dmący z pustynnych regionów południowej Kalifornii w kierunku

wybrzeża Pacyfiku, zazwyczaj w zimie. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

— Cóż… no tak… jeśli pani tak mówi. Ale zniknęły, czyż nie? Wyschły. W najlepszym

przypadku byłyby to poszlaki, a teraz nie mamy nawet tego.

— Nie wierzy mi pan, prawda? — spytała Jennie. Porucznik wyjął z kieszeni pogniecioną serwetkę z restauracji i otarł sobie czoło. Dzień był tak gorący, że niemal ogłuszał.

— Co mam powiedzieć? Pani syn utonął i naprawdę mi przykro, nie ma jednak dowodów, że był w to wmieszany ktoś trzeci. Te ślady stóp… cóż, mogły być pani, nieprawdaż?

— Nie chodziłam po tej stronie basenu.

— Może nie pamięta pani, że podchodziła do tej części basenu… Wie pani… w szoku pamięć płata figle.

— Poruczniku, nie podchodziłam do tej części basenu. Na pewno były tu odciski stóp. Stóp dorosłej osoby. Ktoś wszedł na nasze podwórko i wepchnął Mike'a pod wodę. Jestem tego pewna.

Porucznik Harris na chwilę zasłonił usta dłonią, po czym z namysłem popatrzył na wodę.

— Pewnie pani wie, że rozmawiałem z Tracey — odezwał się po chwili.

— Oczywiście. Tracey zawsze mówi prawdę.

— Powiedziała, że nie widziała nikogo na podwórzu i byli przy basenie tylko z Mikiem. Potwierdziła, że nie było pani jedynie kilka minut. Dwie, góra trzy. Mike dostał się pod wodę i nie mogła nic zrobić, by go uratować. Takie tragedie są w Los Angeles na porządku dziennym. Ludzie mają baseny, mają dzieci i zawsze istnieje ryzyko, że któreś utonie. Co mamy robić? Zlikwidować baseny? Nie mieć dzieci?

— Mike pływał jak ryba. Nie mógł się tak po prostu utopić.

— Cóż… bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, uważam jednak, że to jedynie tragiczny wypadek. Oczywiście przekażę sprawę koronerowi. Ostateczna decyzja zależy od niego, nie sądzę jednak, byśmy podjęli poszukiwania winnej zdarzenia osoby trzeciej. — Przerwał na chwilę. Jego pomarszczone czoło błyszczało od potu. — Pani Oppenheimer, jeżeli pani albo pani mąż chcielibyście z kimś porozmawiać… możemy was skontaktować z odpowiednim terapeutą…

— Dziękuję, nie trzeba — odparła Jennie. — Chyba wiem, z kim powinnam porozmawiać.

Jim próbował wepchnąć mającą metr dwadzieścia figurę Hanumana, nepalskiego boga małp, do kartonu o wysokości metr piętnaście. Twarz sześcioramiennej i sześcionogiej rzeźby wyrażała cierpienie osobnika dotkniętego chronicznym zatwardzeniem. Po dwudziestu minutach walki twarz Jima nabrała podobnego wyrazu. Obserwowała go siedząca na oparciu kanapy kotka — Tibbles Dwa — która raz za razem zamykała ślepia, jakby obserwacja nie mającego szansy powodzenia przedsięwzięcia doprowadzała ją do rozpaczy albo jakby nie mogła pojąć, dlaczego komukolwiek zależy na zachowaniu takiej paskudnej figury.

— Hanuman przynosi szczęście, rozumiesz? — poinformował Jim kotkę. — Ponieważ ostatnio miałem mniej więcej tyle szczęścia co Willy Coyote, czuję potrzebę wożenia go ze sobą.

Tibbles Dwa nie odpowiedziała, zamknęła ślepia i udawała, że śpi. Jim ciągle jeszcze trochę się jej bał. Od momentu, kiedy pojawiła się w jego życiu i przyłączyła do niego, był coraz bardziej przekonany, że nie on się nią opiekuje, ale odwrotnie. Co prawda to on otwierał puszki karmy „Dziewięć Żywotów", ale Tibbles Dwa zdawała się czuwać nad jego duchowym przeznaczeniem. Zawsze kiedy patrzyła na niego swoimi żółtymi jak agaty ślepiami, miał wrażenie, że namawia go do zrobienia kolejnego kroku w nieznane i czeka, by podążył za nią w miejsca, gdzie ona sama bywała, a których on nie znał. Do Strefy Nieznanego.

Pakował się, ponieważ lada dzień miał objąć stanowisko w Ministerstwie Oświaty w Waszyngtonie — Tibbles Dwa zostawała w Venice, u sąsiada, przyjaciela i samozwańczego gospodarza bloku, Mervyna Brookfellera. Jim był pewien, że Mervyn dobrze zaopiekuje się kotką, opiekował się bowiem bardzo dobrze niemal wszystkim. Choć mu za to nie płacono, odkurzał korytarz, wyciągał łyżeczki do kawy, które zaklinowały się w mielarkach odpadków pod zlewozmywakami, i robił dla starszych mieszkańców domu zakupy u Ralpha. Jim raz nawet podpatrzył, jak Mervyn cierpliwie karmi starą panią Kaufman jogurtem — niczym dobry rodzic

dziecko. Pani Kaufman miała na sobie stary zielony, flanelowy szlafrok, a Mervyn wyszywany cekinami szmaragdowy T–shirt i obcisłe, białe spodnie ze streczu. Ten widok niemal doprowadził Jima do płaczu.

W końcu przyznał się do porażki i wyciągnął Hanumana z rozerwanego kartonowego pudła, wraz z jego szczerzącymi zęby w uśmiechu małpimi pomocnikami.

— Nie zaszkodziłoby, gdyby zaczęli robić religijne figurki w standardowych rozmiarach… — mruknął.

Tibbles Dwa odwróciła łebek.

W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy i Jim przełazi przez kanapę oraz stertę kartonów, by go znaleźć. Czasami naprawdę lubił towarzystwo TD, jednak przez większość czasu kotka doprowadzała go do rozpaczy. Jadła, spała, gapiła się na niego, ale nigdy nie raczyła odebrać telefonu ani nie przyniosła piwa z lodówki.

— Pan Rook?

— Tak, słucham. Jim Rook przy aparacie. Kto chce z nim rozmawiać?

— Hm, nie wiem, czy mnie pan pamięta. Jennie Oppenheimer. A przedtem Jennie Bauer. Chodziłam do pańskiej klasy w dziewięćdziesiątym pierwszym.

— Jennie Bauer… Jennie Bauer… tak, jasne! Oczywiście, że cię pamiętam! Pewnie! Pamiętam wszystkich moich uczniów, nawet tych, o których właściwie zapomniałem. Sprawdźmy… Król Lir… kiedy Kordelia płacze nad umierającym królem i mówi: „A ty, nieszczęsny ojcze, musiałeś się gnieździć w zbutwiałej słomie, wśród świń i włóczęgów!”* — co wtedy powiedziałaś? „Czy to znaczy, że w schroniskach dla bezdomnych można było trzymać zwierzęta?”. Tak, Jennie, pamiętam cię doskonale. Długie blond włosy. Byłaś miłą dziewczyną, ale obawiam się, że z niezbyt wielką zdolnością koncentracji.

— Mój syn nie żyje.

Jim nie wiedział, co powiedzieć. Bardzo rzadko miewał jakiekolwiek informacje o swoich uczniach, którzy opuścili jego drugą klasę specjalną West Grove Community College. Zawsze się zarzekali, że będą pisać i utrzymywać kontakt, z góry jednak było wiadomo, że tak nie będzie. Ci, których dzięki wyrównawczemu kursowi angielskiego uratował przed harowaniem do końca życia w myjni samochodów, wyprowadzaniem cudzych psów za pieniądze czy innymi tego typu zajęciami, byli zbyt zajęci, by pamiętać nauczyciela, który pokazał im różnicę między Hamletem a omletem i doprowadzał ich do łez recytacją Johna Fredericka Nimsa. „Wniosek nocnego wiatru, deszczowa plotka…”.

— Bardzo mi przykro — wymamrotał, zastanawiając się równocześnie, dlaczego go o tym zawiadomiła. Nie słyszał o niej od imprezy pożegnalnej po egzaminie końcowym. — Co się stało? Wypadek?

— Mike utonął. Wczoraj rano. Bawił się z siostrą w basenie i choć zostawiłam ich tylko na chwilę, utonął.

— Strasznie mi przykro. To tragedia. Ile miał lat?

— Dziewięć. A tak dobrze pływał…

— Nie wiem, co powiedzieć, Jennie. Współczuję ci z całego serca. To twój jedyny syn?

— Jego ojciec jest zdruzgotany. Nie możemy mieć więcej dzieci i obarcza mnie winą za to, co się stało.

* Przekład St. Barańczaka.

— To tylko wynik szoku, nic więcej — zapewnił ją Jim. — Jakoś sobie z tym poradzi. Wypadek to wypadek.

— O to właśnie chodzi, panie Rook. Dlatego dzwonię.

— Wiesz co? Sądzę, że możesz mi mówić Jim. Nie jesteśmy już w drugiej specjalnej.

— Tak, ale… ma pan… masz w dalszym ciągu tę zdolność?

— Jaką zdolność?

— Jesteś jeszcze w stanie widzieć… no… widzisz duchy i tego typu rzeczy?

Jim nie odpowiedział, ale przez myśl przemknęło mu natychmiast: ojoj… cóż to będziemy mieli teraz? Wielu ludzi, którzy wiedzieli, że widzi duchy i inne istoty nadprzyrodzone, chciało, by pomógł im w różnych problemach związanych ze zjawiskami nie z tego świata. Chcieli na przykład, by wywołał ducha zmarłego wujka Charliego i kazał mu wyjawić, gdzie ukrył monety z wojny secesyjnej, albo chcieli wiedzieć, czy powodem ich nieszczęść jest promieniujące zimnem miejsce w kuchni. Nikt nie chciał przyjąć do wiadomości, że choć zjawiska nadprzyrodzone stale nam towarzyszą, duchy nie są zainteresowane kontaktami z osobami żyjącymi czy pomaganiem im, choć rzadko się zdarza, by im szkodziły. Są łagodne — przynajmniej większość — i nieco oszołomione, jak ofiary wypadku autobusowego. Jennie powiedziała jednak coś, czego się nie spodziewał.

— Niech pan posłucha, panie Rook… kiedy wyszłam z domu, byłam pewna, że ktoś się właśnie przeciskał przez krzaki. Gdy próbowałam ratować Mike'a, zobaczyłam na cegłach obok basenu ślady mokrych stóp. To nie były odciski stóp dziecka — Mike'a albo Tracey — musiał tam być ktoś jeszcze. Tracey oświadczyła, że nie widziała nikogo, a kiedy przyjechała policja, ślady wyschły. Detektyw tłumaczył mi, że to z powodu szoku… tak, byłam, oczywiście, że byłam w szoku, ale wiem, co widziałam.

— Więc… eee… co chcesz, żebym zrobił?

— Chcę, żeby pan… żebyś znalazł tego, kto zamordował Mike'a, Jim. Chcę się dowiedzieć, kto wepchnął go pod wodę i dlaczego… — Zaczęła płakać, a była tak zrozpaczona i wyczerpana, że jej głos nabrał basowego, gardłowego brzmienia, jakby śpiewała arię w operze tragicznej.

— Jennie… chętnie bym ci pomógł, ale brzmi to jak zadanie dla policji.

— Mówiłam ci! Policja mi nie wierzy. Chcą to uznać za wypadek albo zaniedbanie ze strony

rodziców czy coś w tym stylu.

Jim usiadł na bocznym oparciu kanapy. Słońce już zachodziło i wieczorne niebo nad Venice nabrało koloru jeżynowej galaretki.

— Jennie, pakuję się właśnie. Zaproponowano mi pracę w waszyngtońskim Ministerstwie Oświaty.

— Wyjeżdżasz? A co z drugą specjalną?

— Cóż, wszyscy musimy przeć do przodu. Będę miał szansę pomóc uczniom w całym kraju, nie tylko w Los Angeles.

— Kiedy wyjeżdżasz? Możemy się przedtem spotkać?

Jim popatrzył na Tibbles Dwa, ale kotka tylko ziewnęła i wbiła pazury w poduszki. Albo go prowokowała, by podjął decyzję, albo próbowała mu powiedzieć, że marnuje czas. Już nieraz widywał, do czego jest zdolna. Była wrażliwsza od większości tak zwanych mediów, z którymi kiedykolwiek miał do czynienia.

Dzień przed nadejściem oferty nowej pracy w Waszyngtonie wyciągnęła z talii Grimaud ósemkę karo, która oznacza „zwlekanie", oraz asa karo, reprezentującego „niegodziwą kobietę". Potem odmaszerowała wyniośle, wskoczyła na kanapę, zwinęła się i zaczęła go obserwować.

— Właśnie się pakuję — powiedział Jim do słuchawki. — Mam lecieć w środę rano.

— Panie Rook… przepraszam, Jim… wiem, że się narzucam, ale wiem też, że utonięcie Mike'a nie było przypadkowe i nie znam innego sposobu, by to udowodnić.

Jim przeciągnął palce przez potargane włosy. W lustrze na przeciwległej ścianie inny Jim Rook zrobił to samo. Ten w lustrze myślał: jeżeli zaczynasz zajmować się uczniem, uczysz go jak pisać i mówić oraz wyrabiać sobie zdanie o otaczającym go świecie — gdzie kończy się twoja odpowiedzialność? Na co cała poezja, której ją uczyłeś, wszystkie godziny walki z Szekr spirem, Emily Dickinson i Kennethem Patchenem… „Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego w niebie

powybijano wszystkie okna?”.

Problem polegał na tym, że znał odpowiedź na to pytanie, a brzmiała ona, że odpowiedzialność nauczyciela nigdy się nie kończy — tak jak odpowiedzialność rodzica albo księdza.

— W porządku — odparł. — Znasz „Cafe del Rey” przy Admiralty Way? Możemy się tam spotkać o… może o ósmej?

— Przepraszam — powiedziała Jennie i wiedział, że znowu płacze. — Tak się boję… jestem taka przerażona… i nie przyszedł mi do głowy nikt inny, do kogo mogłabym się zwrócić…

Kiedy się rozłączyli, Jim usiadł na skraju kanapy i spuścił głowę. Obiecał sobie, że nigdy więcej nie zgodzi się pomóc nikomu, kto ma problemy z powodu nadprzyrodzonych zdarzeń — a przynajmniej zdarzeń, mogących mieć nadprzyrodzoną przyczynę. Mając dziewięć lat — tyle co Mike — o mało nie umarł na zapalenie płuc i od tego czasu nieustannie widywał twarze, postacie i rzeczy, o których wolał nie myśleć.

Cienie, duchy. Demony, biegające po ulicach i krzyczące do niego z szaf. Martwych ludzi, stojących pod supermarketami. Smutne i zdezorientowane twarze, odbijające się w oknach, za którymi nikogo nie było.

Nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Ludzie nie pojmowali, że dla niego ta zdolność jest udręką. Nie mógł wybierać tego, co widzi. Co miał począć, gdy podczas wizyty u przyjaciela widział jego zmarłego dziadka, siedzącego w rogu pokoju? Co miał wtedy mówić?

Kiedy tak siedział, Tibbles Dwa zeskoczyła z kanapy na podłogę. Podeszła miękko do stolika do kawy, na którym Jim zebrał wszystkie talie mistycznych kart, jakie posiadał. Stanęła na tylnych łapach i zrzuciła talię Grimaud tak, że wszystkie karty powypadały z pudełka i rozproszyły się po podłodze.

— Dzięki, TD. Miło wiedzieć, że istnieje ktoś umiejący bałaganić bardziej ode mnie.

Ukląkł, by pozbierać karty, ale TD złapała jedną z nich w zęby i ruszyła do kuchni.

— Niech to… — zaklął Jim i poszedł za kotką.

TD stała nad swoją miską z wodą. Wrzuciła do niej kartę i przyglądała się, jak tonie.

— Wspaniały pomysł — mruknął Jim. Pochylił się, wyjął kartę i otrząsnął ją z wody. Była to dziewiątka trefl — karta „śmierć", pozbawiony oczu szkielet, owinięty ciemnoszarą płachtą i trzymający na ramieniu kosę, a w dłoni klepsydrę. — Co to ma znaczyć? Nagle zaczęłaś się bawić w statki? — spytał, unosząc ociekającą wodą kartę.

TD wpatrywała się w niego, jakby nie mogła uwierzyć w tak wielką tępotę.

— No więc o co chodzi?

Kotka podeszła do niego i szybkim ruchem łapy wytrąciła mu kartę z ręki. Potem wzięła ją do pyszczka i ponownie wrzuciła do miski.

— Śmierć w wodzie. To chcesz powiedzieć, tak? Śmierć przez utonięcie. Więcej niż jedna. — Jim wyłowił kartę i ponownie otrząsnął ją z wody. — Posłuchaj: porozmawiam z Jennie i spróbuję się dowiedzieć, co się stało. Nie mogę jednak zrobić nic więcej. Wyjeżdżam w środę do Waszyngtonu, a kiedy wyjadę, wyjadę na dobre i nikt więcej na świecie nie dowie się, że mogę widzieć jego niedawno zmarłego siostrzeńca, grającego w piłkę na trawniku.

ROZDZIAŁ 2

Jennie była niższa i bledsza, niż ją zapamiętał — jakby roześmiana, opalona, prowokująca dziewczyna, którą tyle lat temu uczył w drugiej specjalnej, zmarła, a teraz miał przed sobą tylko jej ducha. Siedziała w kącie kawiarni przy szklance wody mineralnej, patrzyła tępo w okno i dopiero gdy podszedł, podniosła wzrok, skupiła na nim spojrzenie i uśmiechnęła się blado.

— No, no… Jennie Bauer.

— Dziś Jennie Oppenheimer. Jim usiadł i zamówił coorsa.

— To, co się stało z twoim synem… jest straszne. Mam przyjaciół w San Fernando, którzy stracili w basenie córkę. Tragiczne.

— Utopiono ją z premedytacją, jak Mikeya?

Jim opadł na oparcie i popatrzył na nią, mrużąc oczy — tak, jak przyglądał się swoim uczniom, jeżeli zaczynali odbiegać od tematu.

— Widziałaś poruszające się krzewy i odciski mokrych stóp przy basenie?

— Ktoś tam był, panie Rook. Ktoś albo coś. Czułam to „coś". Było zimne i bardzo złe. Przysięgam na Boga, że sobie tego nie wymyśliłam.

Przyniesiono Jimowi piwo w szklance. Osobiście wolał pić prosto z puszki. Wziął garść precli i zaczął gryźć, aż całkiem je zmiażdżył, po czym spłukał papkę wielkim łykiem zimnego piwa.

— Pozwól, że coś ci powiem, Jennie… Z mojego doświadczenia wynika, że duchy są nieporównywalnie mniej zainteresowane naszym światem — fizycznym światem — niż my ich. Żyją swoim życiem, rozumiesz? Odeszły. Są zbyt zajęte, by martwić się jakimiś drobnymi, niezałatwionymi sprawami, takimi na przykład, jak to, dlaczego nie powiedziałem ojcu, że go kocham, kiedy jeszcze mogłem? Nie zagrażają nam jednak — w każdym razie niezbyt często. Bardzo rzadko starają się nas zranić. Zresztą nie zawsze mogą tego dokonać, nie mają bowiem… jak to się nazywa? Substancji.

— Ale ktoś utopił mojego Mike'a! Przysięgam na Boga!

Jim położył dłoń na jej ramieniu.

— Nie wiem, co powiedzieć. Widziałaś poruszanie się krzewów, widziałaś przy basenie odciski stóp, miałaś wrażenie, że ktoś przeszedł przez podwórko — ale nic z tego nie jest namacalnym dowodem, prawda? Spróbujmy podejść do tego poważnie.

Jennie wpatrywała się w niego. Pamiętał jej oczy: były tak niesamowicie błękitne… jak okna nieba, zanim je wybito.

— Mój syn utonął. Uważasz, że nie traktuję tego poważnie?

— Nie wiem… sprawiasz, że czuję się winny. Zawsze próbowałem was przekonać, że

wszystko, co się wydarza, ma mistyczne wyjaśnienie, ale może to nieprawda. Może życie to tylko życie, a wypadki to wypadki?

— Ty też mi nie wierzysz, prawda?

Jim wzruszył ramionami i odwrócił się. W głębi pełnej ludzi, jasno oświetlonej kawiarni zobaczył ładną dziewczynę z krótkimi blond włosami, ze śmiechem odrzucającą głowę do tyłu, i nagle poczuł gwałtowne ukłucie tęsknoty za życiem, jakim nigdy nie żył.

— Nie wiem, jak to powiedzieć, Jennie… kiedy duchy chcą nam zaszkodzić, niemal zawsze mają ku temu uzasadniony powód. Przynajmniej tak wynika z mojego doświadczenia. Zazwyczaj szkodzą nam z zemsty. Nie wyobrażam sobie jednak, co takiego mógłby im zrobić dziewięciolatek, żeby któryś z nich chciał go utopić.

— To wszystko?

— Obawiam się, że tak. To, co widziałaś, co czułaś… może był to jakiś rodzaj ujawnienia się ducha, nie masz jednak dowodu, że miało to jakikolwiek związek ze śmiercią Mikeya. Pomyśl o tym, że nawet jeśli był tam jakiś duch, mógł próbować ratować Mikeya, nie topić go. Każde dziecko ma pilnującego go ducha… przez niektórych zwanego aniołem stróżem. Może stróż Mikeya nie mógł nic zrobić, by go uratować?

Łzy spływały Jennie strumieniami po policzkach.

— Można to jakoś… zbadać?

— Hm… słyszałem, że niektóre media mogą przeprowadzać coś, co się nazywa „namierzaniem ducha”. Można to porównać z wywąchiwaniem zapachu. Ktoś, kto umie to robić, może stwierdzić, czy w danym miejscu rzeczywiście był duch, i dowiedzieć się, czy chciał komuś zaszkodzić. Nie sądzę jednak, by takie namierzanie ducha było precyzyjne.

— Umiesz coś takiego zrobić? Zapłacę ci.

— Namierzyć ducha? — Jim pokręcił głową. — Obawiam się, że to wykracza poza moje

umiejętności. Ja tylko okazjonalnie widzę różne rzeczy, a do tej procedury potrzeba w pełni wyszkolonego jasnowidza.

— Znasz jakiegoś?

— Kiedyś znałem, ale to było bardzo, bardzo dawno temu, w odległej galaktyce…

Jennie sięgnęła przez stół i ujęła go za obie ręce.

— Panie Rook… Jim… proszę, pomóż mi. Muszę wiedzieć, jak zginął Mike.

— Cóż, jutro w parku De Longpre są targi psychotroniczne. Może ktoś stamtąd będzie umiał ci pomóc.

— Pojedziesz ze mną? wyjście. — Jim nie lubił mieć do czynienia z zawodowymi jasnowidzami, bo zawsze sprawiali, że czuł się jak szarlatan — choć jego zdolności parapsychiczne prawdopodobnie znacznie przekraczały ich umiejętności.

Poza tym zamierzał zabrać jutro na wybrzeże Karen Goudemark — do „Captain Flynn's Famous Seafood Shack", a potem na romantyczny spacer brzegiem morza. Chciał ją namówić, by zrezygnowała z pracy w West Grove i pojechała z nim do Waszyngtonu. Była najbardziej pociągającą kobietą, jaką spotkał w życiu — delikatną, ciepłą, wesołą. Miała kości policzkowe jak Greta Garbo i włosy koloru miodu. Może to ostatnia okazja spędzenia z nią całego dnia.

— Jim, proszę… jestem gotowa na wszystko. Wziął serwetkę i wytarł Jennie łzy.

— Dobrze, pod warunkiem, że załatwimy to z rana. Może być dziesiąta?

Jennie podniosła jego dłonie i pocałowała go w kostki.

— Nie masz pojęcia, co to dla mnie znaczy. Czułam się, jakbym miała oszaleć.

— O, mam pojęcie… ciągle mi się to zdarza.

— Targi psychotroniczne? — spytała ze zdziwieniem Karen.

— Nie musimy być tam długo. Muszę tylko znaleźć kogoś, kto zna się na pewnym rodzaju kontaktu z duchami.

— Jim… wiesz, że nie mam czasu na takie mistyczno–hipisowskie hokus–pokus.

— Wiem, ale obiecałem. Chodzi o Jennie Bauer. Była w mojej klasie jakieś siedem lat temu. Jej dzieciak utonął. — Opowiedział o poruszających się krzakach, odciskach stóp i wrażeniu Jennie, że „przeszło obok coś zimnego".

— Kiedy to się stało?

— Dwa dni temu. Biedaczka ciągle jest w szoku.

— Dwa dni temu? I ty zabierasz ją do medium? Jezu, Jim, ona potrzebuje psychoterapeuty!

— Jest przekonana, że to, co widziała, było rzeczywiste, ale nikt jej nie wierzy. Nawet mąż.

— Sądzisz, że ktoś na tych psychotronicznych targach może coś dla niej zrobić? Daj spokój, Jim, doskonale wiesz, że ten biznes z seansami to oszustwo. Będzie cierpieć jeszcze bardziej niż teraz. I na dodatek straci pieniądze.

Jim wzruszył ramionami.

— Sam nie wiem… Jest absolutnie pewna, że na jej podwórzu pojawiła się zła istota. Jeżeli ja jej nie pomogę, zacznie sama szukać, a wtedy rzeczywiście ktoś może ją oszukać i oskubać.

Karen pokręciła głową.

— Jesteś niemożliwy, wiesz o tym? Wydaje ci się, że twoim obowiązkiem jest wyleczyć świat z analfabetyzmu, dysleksji, wyobcowania kulturowego, braku szacunku dla Longfellowa, trądziku i niskiego poczucia własnej wartości… no i ze wszelkich zjawisk nadprzyrodzonych, od aniołów po zombie.

— To nieprawda. Nigdy nie twierdziłem, że umiem leczyć trądzik.

— Niech ci będzie — mruknęła Karen. — Pojadę na ten psychotroniczny ubaw, ale pod jednym warunkiem: że zdążymy na obiad do „Captain Flynn's".

— Umowa stoi. Na sto procent. Kocham cię za to. — Wyprowadził ją na zewnątrz i zamaszyście otworzył przed nią drzwi swojego brązowego jak siodło kabrioletu eldorado. — Nie

pożałujesz. Na niektórych takich targach… wiesz, można trafić niesamowite okazje. Dzianinę, wyroby z gliny. Magiczne kryształy.

— Jedźmy, dobrze? — powiedziała Karen.

Jennie wyglądała jeszcze bardziej blado niż poprzedniego dnia, zwłaszcza że włożyła czarną płócienną sukienkę i zawiązała wokół głowy czarny szyfonowy szal. Przyjęła do wiadomości obecność Karen bladym, roztargnionym uśmiechem i usiadła z tyłu. W drodze do parku De Longpre w ogóle się nie odzywała.

— Miałaś jakieś informacje od porucznika Harrisa? — zapytał Jim.

— Nie. Nie odezwał się ani słowem. Prawdopodobnie uważa mnie za histeryczkę.

— Nie popadłaś w histerię. Jeżeli coś widziałaś, to widziałaś.

— Właśnie o to chodzi.. Niczego nie widziałam, Tracey też nie. Dlatego chcę, żebyś spróbował tego namierzania ducha.

— Namierzania ducha? — powtórzyła Karen, sceptycznie unosząc brwi.

Jim oparł się wygodniej, by lepiej znosić wstrząsy na wyboistej drodze. Zjechali z Santa Monica Boulevard i znaleźli się na Cherokee Avenue, pod migoczącymi cieniami palm.

— Tak. Zajmują się tym zawodowi egzorcyści. Każde pojawienie się ducha pozostawia po sobie ślad. Wibrację powietrza. Fragment ektoplazmy. Odcisk palca albo stopy. Dobry jasnowidz może wykryć te ślady i powiedzieć, czy w badanym miejscu przebywał duch i jakiego był typu. Taka jest przynajmniej teoria. To coś w rodzaju psychotronicznego badania sądowego.

Karen wzięła wdech, jakby zamierzała coś powiedzieć, jednak najwyraźniej zmieniła zdanie.

Jim uśmiechnął się do niej. Podejrzewał, że zamierzała powiedzieć coś niezbyt grzecznego.

Znaleźli miejsce do parkowania dwie przecznice od parku, między pomalowanym w kwiaty volkswagenem busem i trzykołowym motocyklem, z którego rączek zwisały skóry szopa pracza. Teren targów wypełniali brodacze w bandanach, kobiety w obszernych kaftanach, dzieci z

twarzami pomalowanymi farbami oraz postacie w okularach, pomiętych płóciennych garniturach i ortopedycznych sandałach. Między namiotami i straganami snuł się zapach marihuany i papierosów ziołowych, w poranne niebo wzlatywały różnokolorowe balony.

— O mój Boże… —jęknęła Karen. — Kolejne lato miłości.

— Skąd wiesz? — spytał Jim. — W sześćdziesiątym siódmym nie było cię jeszcze na świecie.

— A ile ty miałeś lat? Dwa?

— Wcześnie się rozwinąłem.

Zaczęli chodzić między straganami, w których oferowano lecznicze kryształy, czytanie z dłoni, lekcje I Ching oraz wegańskie burgery medytacyjne. W głębi parku jakiś zespół grał starą piosenkę o miłości pod tytułem Andmoreagain. Jim podszedł do tablicy, przy której starsza kobieta z rozczochranymi siwymi włosami i wielkimi kolczykami z koliście zwiniętego drutu sprzedawała parapsychiczne naszyjniki i cygańskie bransolety.

— Szukam medium — powiedział.

Kobieta zaciągnęła się mocno podejrzanie grubym papierosem.

— Znalazłeś się we właściwym miejscu, kapitanie. Mediów tu jak psów. Pełen wybór.

— Szukam medium szczególnego rodzaju. Takiego, które umie namierzać ducha.

— Namierzać ducha? Nawet gdyby mnie ugryzło w dupę, nie miałabym pojęcia, czym się to je. Spróbuj w tych namiotach w głębi. Może jednak, zanim pójdziesz, kupisz parapsychiczny naszyjnik? Tylko dychę. Załóż go wieczorem na szyję, to dowiesz się przez sen, kiedy umrzesz. Daję gwarancję.

— Gwarancję? Czy to znaczy, że jeżeli nie umrę, kiedy trzeba, mogę przyjść po zwrot pieniędzy?

— Możesz, ale ostrzegam, kapitanie… jeszcze nikt do mnie nie wrócił.

— Niech będzie, kupię. Karen, a ty?

— Daj sobie spokój, Jim. Wiem, kiedy umrę. Za dwadzieścia minut, chyba że zaraz zjem obiad.

Jim dał kobiecie dziesięciodolarowy banknot i w zamian dostał naszyjnik z monet, rzecznych pereł i kolorowych paciorków. Kiedy brał go do ręki, zauważył młodą kobietę w mocno wydekoltowanej sukience, wpatrującą się w niego z końca następnego szeregu straganów. Miała kruczoczarne włosy, gładkie i błyszczące jak skrzydło kruka, i bardzo bladą twarz.

Przyglądała mu się przez długą chwilę, po czym odwróciła się i zniknęła w tłumie.

Poszli we troje wzdłuż szeregu namiotów, przeciskając się wężykiem między żonglerami, mimami i połykaczami ognia. W końcu dotarli do niedużego namiotu, na którym wisiała tabliczka z napisem: JULIE HOROWITZ, SŁAWNE MEDIUM. POROZMAWIAJ ZE SWOIMI ZMARŁYMI UKOCHANYMI.

— Dajcie mi minutę — poprosił Jim, schylił się i wszedł do namiotu.

W środku, w pomarańczowej poświacie, za niewielkim stolikiem siedziała młoda kobieta z podniesionymi na czoło okularami i patrzyła na rozłożone przed nią karty tarota. Wyglądała nie jak umiejące rozmawiać ze zmarłymi ukochanymi Sławne Medium, a jak sekretarka z któregoś z seriali komediowych z lat sześćdziesiątych, na przykład The Beverly Hillbillies*.

— Dzień dobry — zagaił Jim. — Zastanawiałem się, czy mogłaby mi pani pomóc znaleźć ducha.

— Oczywiście. Umiem znajdować wszystko… pod warunkiem, że gdzieś przeszło. O kogo chodzi? Kogoś bliskiego?

— Tak naprawdę nie mam pojęcia.

— Zna pan jego imię? Żeby wezwać ducha, muszę wiedzieć, jak miał na imię.

— Mhh… wiem o nim tylko to, że kilka dni temu przeszedł przez podwórko pewnej kobiety i być może jest odpowiedzialny za utonięcie jej syna.

— Obawiam się, że nie rozumiem, czego pan ode mnie oczekuje.

— Żeby pojechała pani do jej domu i powiedziała mi, czy naprawdę był to duch, a jeśli tak — jakiego rodzaju.

* Hillbillie to w amerykańskim slangu określenie osoby pochodzącej z zapadłej dziury.

Julie Horowitz zdjęła okulary i uważnie popatrzyła na Jima wyłupiastymi, nieco zezowatymi oczami.

— Mówi pan o technice określanej jako namierzanie ducha. Obawiam się, że to przekracza moje możliwości. Znajduję duchy poprzez łączenie tęsknoty żywych z żalem tych, którzy niedawno odeszli. Nie zajmuję się przypadkowymi manifestacjami. Takie duchy mógłby zirytować fakt, że ktoś się nimi interesuje.

— Może mi pani polecić kogoś, kto się na tym zna?

— Przykro mi… nie sądzę, by znalazł pan tu kogoś takiego. Nie zajmujemy się polowaniem na duchy, jesteśmy raczej grupą spotkaniową, organizującą kontakty między żywymi i tymi, co odeszli.

— Rozumiem. W każdym razie dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić swój czas.

— Bardzo proszę. Jeżeli jednak uda się panu znaleźć kogoś, kto podejmie się namierzyć ducha, proszę być bardzo… ostrożnym. Słyszałam o medium w Bel Air, które próbowało namierzyć ducha w domu jakiegoś producenta filmowego, i od tego czasu nie może przestać krzyczeć.

— Dziękuję za radę. — Jim wyszedł z namiotu na słońce. — Obawiam się, że nie mamy szczęścia. Ci ludzie są w stanie zorganizować człowiekowi rozmowę ze zmarłą ciotką, ale na tym koniec.

— W takim razie pojedźmy na obiad — zaproponowała Karen.

— Oczywiście — zgodził się Jim. — Jennie… może odwiozę cię do domu? Jutro spróbujemy znowu. Znam parę osób, które mogłyby mi pomóc.

— W porządku — odparła Jennie. Ukryła się za wielkimi czarnymi okularami, ale Jim słyszał

rozczarowanie w jej głosie. Ujął dziewczynę za rękę i poprowadził przez tłum w kierunku wyjścia. Kiedy mijali stragan zawieszony setkami luster, Jim niemal w każdym ujrzał odbicie bladolicej kobiety w czerni. Patrzyła na niego z luster w pozłacanych ramach, luster otoczonych muszlami, ręcznych lusterek, których rączkami były mosiężne wróżki, luster zniekształcających odbicie i luster z dziwnego, przyciemnianego szkła. Obok niej stał mim w workowatym stroju pierrota — z twarzą białą jak kreda i czarną kreską zamiast ust.

Jim odwrócił się, podczas gdy Karen i Jennie, nie zauważywszy, że stanął, szły dalej do wyjścia. Młoda kobieta nie poruszała się, obserwując go z ledwie widocznym uśmiechem na ustach, tak samo białych jak reszta twarzy. Miała wysokie czoło i szeroko rozstawione oczy koloru szarego zimowego nieba. Jej sukienka z błyszczącego czarnego jedwabiu była bardzo wydekoltowana, góra ściśle przylegała do ciała, a rozkloszowana spódnica wyglądała niemal średniowiecznie. W zagłębieniu między pełnymi piersiami kobiety wisiał duży srebrny krzyż.

Jim podszedł do niej. Mim przysunął się, jakby dawał do zrozumienia, że jego rolą jest jej ochrona.

— Przepraszam bardzo — powiedział Jim. — Zna mnie pani?

— Nie, ale wiem, czego chcesz.

— Naprawdę? Dlatego pani za mną chodzi?

— Nie chodzę za tobą. Czekałam, aż mnie znajdziesz.

— To świetnie, bo może właśnie pani szukałem. Nazywam się Jim Rook.

Wyciągnęła rękę. Miała dłoń o długich palcach, bardzo miękką i zaskakująco chłodną.

— Susan Silverstone. A to mój przyjaciel, Medlar Tree*.

Jim zasalutował mimowi.

— Miło pana poznać, panie Tree.

* Medlar tree — nieszpułka zwyczajna, krzew lub drzewko z rodziny różowatych, w Polsce parkowa roślina

ozdobna, w cieplejszym klimacie jej różne odmiany uprawia się dla owoców.

— Medlar Tree to pełne imię — oświadczyła Susan Silverstone. — A także nazwa ostatniego ze znanych magicznych drzew. Jego owoce pomagają w walce z diabłami i wszelkimi czarnymi psotnikami.

— Rozumiem — odparł Jim i odwrócił się do Medlara Tree: — Przepraszam.

Mim ukłonił się zamaszyście.

Jim nie cierpiał mimów. Ponieważ nauczał języka, uważał, że odmowa mówienia to najgorszy rodzaj społecznej arogancji.

— Czego pani zdaniem szukam? — spytał Susan Silverstone.

— Tego samego, co wszyscy ludzie: otuchy, wsparcia. Z tym, że tobie chodzi o coś szczególnego, prawda? Chcesz się dowiedzieć, czy w określonym miejscu przechodził ktoś niegodziwy.

— Skąd pani to wie?

Dotknęła opuszkami palców skroni i obdarzyła go najbardziej niezwykłym spojrzeniem, jakie widział u kobiety. Jej oczy miały taki wyraz, jaki miałby ktoś, kto spojrzał na czyste nocne niebo i stwierdził, że wszystkie gwiazdy pogasły.

— Wiem, ponieważ mam zdolności parapsychiczne, a takiej osoby szukasz, prawda? Jestem znana z interpretacji ludzkiej aury.

Stojący za nią Medlar Tree ściągnął kąciki ust do dołu, co nadało jego twarzy wygląd smutnej maski z greckiej tragedii, i zaczął z dezaprobatą kręcić głową.

— Chodziłem i zadawałem pytania, nietrudno się więc domyślić, że czegoś szukam, zwłaszcza że nie jestem ubrany jak Jimi Hendrix — stwierdził Jim. — Nietrudno się też domyślić, że ta dama niedawno kogoś utraciła. Któż inny chodziłby w tak gorący dzień ubrany całkiem na czarno? Poza panią oczywiście.

— Pozwól więc, że powiem ci coś jeszcze… Twój niepokój jest związany z wodą, zgadza się?

Jim nie odpowiedział. Medlar Tree zaczął wykonywać w powietrzu ruchy, jakby płynął żabką, rytmicznie nadymając usta i wypuszczając powietrze jak pływak.

— Wiem, że twój niepokój ma związek z kimś tonącym — dodała kobieta.

Karen i Jennie zdążyły się już zorientować, że Jima nie ma z nimi. Jennie odwróciła się.

— Jim? — odezwała się, spoglądając z obawą na Susan Silverstone. — Wszystko w porządku?

— Ta dama zdaje się wiedzieć, po co tu przyszliśmy — wyjaśnił.

— Umie namierzać duchy?

— Oczywiście — odparła Susan Silverstone. — Namierzanie duchów to jedna z moich specjalności.

— Jaką ma pani stawkę?

— Właśnie straciłaś dziecko. Chyba nie sądzisz, że zażądam pieniędzy?

— Skąd pani o tym wie? — spytała Jennie. — Jim, powiedziałeś jej o tym?

Susan Silverstone położyła dłoń na przedramieniu Jennie. Na wszystkich palcach miała srebrne pierścionki — nawet na kciuku. Stojący obok Medlar Tree tarł oczy, jakby popłakiwał w żałobie. Jim spiorunował go swoim sławnym śmiercionośnym spojrzeniem, ale mim wydął tylko wargi i teatralnie machnął ramionami.

— Nie trzeba mi nic mówić — powiedziała Susan Silverstone. — Jest coś szczególnego w wyglądzie matek, które straciły dzieci… mają najsmutniejsze spojrzenie świata.

— Czy to znaczy, że mi pani pomoże? Jestem pewna, że ktoś był na podwórku, kiedy Mike poszedł pod wodę.

— Rzucę okiem. Uwierz mi, jeżeli cokolwiek tam było, dowiem się tego.

Podeszła do nich Karen. Popatrzyła znacząco na Jima i stuknęła palcem w cyferblat.

— Jim, jeżeli mamy zdążyć na wybrzeże przed dwunastą…

— Jeżeli mam dla was robić namierzanie ducha, musimy zabrać się do tego natychmiast — przerwała jej Susan Silverstone. — Po południu jadę do Bakersfield na psychoterapię sadu.

— Psycho…terapię… sadu? — spytała ze zdumieniem Karen.

— A dlaczego nie? Drzewa też mogą się zestresować, jak ludzie. Czasem całe ich grupy doznają poważnych urazów psychicznych. Czuje się to natychmiast po wejściu do sadu. To bardzo nieprzyjemne odczucie… jakby gdzieś kipiał nagromadzony prąd elektryczny. Taki stres może mieć katastrofalny wpływ na plony.

— Nic ciekawszego już chyba dziś nie usłyszę — stwierdziła Karen. — Muszę zrezygnować z obiadu, ponieważ gaj pomarańczowy dostał świra.

— Naprawdę mi przykro, Karen — powiedział Jim. — Może zamiast tego pójdziemy na kolację? Mogę zarezerwować stolik w „Palm".

— Cóż, mnie też jest przykro, Jim. Zwłaszcza że to ostatni dzień, który możemy spędzić razem.

— Zaczekajcie sekundę — powiedział Jim do Jennie i Susan i wziął Karen na stronę. Stanęli obok straganu z jedzeniem makrobiotycznym. — Posłuchaj… nie mogę tak zostawić tej sprawy. Jennie poprosiła mnie o pomoc i to jedyny sposób, jaki udało mi się wymyślić.

— To dość żałosna wymówka. Pewnie chcesz spędzić resztę dnia z tym cycatym medium w wydekoltowanej sukience.

— O czym ty mówisz? Nawet nie zauważyłem, jaką ma sukienkę.

— Czyli nie tylko nie można na tobie polegać, ale jeszcze na dodatek jesteś ślepy.

— Posłuchaj… zgoda, zauważyłem, że ma wydekoltowaną sukienkę, lecz wcale mnie nie interesuje. Ty mnie interesujesz. Chciałem zaczekać do obiadu, by cię zapytać, czy nie byłabyś skłonna pomyśleć o wyjeździe ze mną do Waszyngtonu.

— Kiedy?

— W środę, od razu. Albo za tydzień czy dwa, kiedy się spakujesz.

— Chcesz powiedzieć, że chciałbyś, żebym wyjechała z tobą do Waszyngtonu na stałe? Żeby tam z tobą mieszkać?

— To taki zły pomysł?

— Orzechy? — spytała właścicielka kramu ze zdrową żywnością. — Fasola?

Karen położyła dłoń na ramieniu Jima.

— Jim… naprawdę cię lubię. Niemal cię kocham, ale jak ty to sobie wyobrażasz? Wiesz, że jestem fanatyczką porządku. Moje swetry są poukładane kolorami. W butach tkwią prawidła. Możesz uznać, że mam prymitywną osobowość, ale ty… cóż, twoja szafa przywodzi na myśl wyprzedaż używanych ciuchów, a szuflada ze skarpetkami przypomina jamę z Indiany Jonesa, w której kłębią się węże. A twoja łazienka… znasz kogoś, kto trzyma w łazience pół roweru i komplet kijów do golfa? Poza tym jesteśmy bardzo różni psychicznie. Ja wierzę w fakty i liczby, a ty? W duchy, demony i dziwactwa, których nikt poza tobą nie widzi. Ja lubię Mozarta, ty Hootie and the Blowfish. Ja lubię aerobik, a ty wylegiwanie się na kanapie. Ja lubię brązowy ryż, ty hamburgery. Jim… dzięki tobie częściej się śmieję, czasem mnie inspirujesz, ale gdybyśmy spróbowali żyć razem, zapewniam cię, że nie skończyłoby się to dobrze.

Jim zmarszczył czoło i trzymając Karen za ręce, przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem zapytał:

— Czy to znaczy „nie”?

ROZDZIAŁ 3

Kiedy dojechali poobijanym eldorado Jima do domu Jennie, niebo miało upiorną, kadmowożółtą barwę, jakby już tylko kilka godzin brakowało do końca świata. Nad obramowaniem basenu unosiło się drżące gorące powietrze, a powierzchnia wody tak się szkliła, że niecka sprawiała wrażenie pustej.

— Twojego męża nie ma w domu? — spytała Susan Silverstone i ruszyła sztywnym krokiem

wokół basenu, uważnie się przy tym rozglądając na boki. Założyła okulary w cienkich złotych drucianych oprawkach, z czerwonymi szkłami. Medlar Tree rozparł się wygodnie na jednym z leżaków i zaczął przetaczać w palcach piłeczkę do ping–ponga.

— Doug pojechał na kilka dni do brata, do San Luis Capistrano — wyjaśniła Jennie.

— Nie został, by cię wspomóc?

— Nie wierzy, że cokolwiek widziałam albo czułam. Uważa, że wymyśliłam to sobie, ponieważ Mike utonął z mojej winy. Syn był dla niego wszystkim.

— Wygląda na typowego faceta.

— Nie mogę mieć o to do niego pretensji. Jest zupełnie rozbity.

— A ty nie?

Susan Silverstone obchodziła basen raz za razem, dłonie trzymała uniesione przed twarzą, jakby się modliła. Po jedenastym albo dwunastym okrążeniu zatrzymała się przy rosnących po przeciwległej stronie basenu oleandrach. Zmarszczyła czoło.

— Coś tu było — stwierdziła. — Wyszło z podwórka przez te krzaki.

— Ma pani rację… — powiedziała Jennie. — Dokładnie w tym miejscu, gdzie pani stoi, widziałam ruszające się krzaki, a odciski stóp były…

Susan Silverstone uniosła dłoń.

— Nie mów, gdzie były odciski stóp. W ogóle nic mi nie mów. Namierzanie ducha musi być czyste, pozbawione nastawień wstępnych.

Wróciła do stojącej przy domu grupki i wzięła z jednego z leżaków poduszkę. Położyła ją na ceglanym patio i uklękła, drapując wokół spódnicę, co wyglądało, jakby przy basenie zakwitł nagle czarny kwiat. Wyjęła z czarnej plecionej torby duży oszlifowany kryształ i coś, co wyglądało jak błyszcząca biała popielniczka. Postawiła ową „popielniczkę” na cegłach, po czym usytuowała kryształ pośrodku niej, na spiczastym końcu.

— Jak ona to zrobiła? — spytał zdziwiony Jim, ale Medlar Tree tylko zabalansował piłeczką pingpongową na nosie i przewrócił oczami. Jim złapał piłeczkę i zmiażdżył ją w palcach. — Nie dociera do ciebie, kretynie, że ktoś tu zginął?

Susan popatrzyła na niego i mógłby się założyć, że uśmiechnęła się lekko.

— Cokolwiek tu było — oświadczyła — odbiło światło, zmieniło kierunek powietrza i zaburzyło aurę otaczającą dom. Zakłócenia te można stwierdzić do kilku tygodni po przejściu obiektu, zwłaszcza jeżeli były połączone z niepokojem psychicznym i wydarzyło się coś tragicznego. Kryształ pokaże nam, co to było i co zrobiło.

Jim wziął Jennie za rękę.

— Nie wiem, co zobaczymy — powiedział — ale spróbuj nie poddać się strachowi, dobrze? Niektóre manifestacje mogą być dość przerażające.

— Chcę tylko wiedzieć, co się stało Mike'owi.

Medlar Tree wyraźnie okazywał, że się dąsa — wyciągnął się na leżaku ze skrzyżowanymi ramionami i wydymał wargi. Susan szybkim ruchem nadgarstka zakręciła kryształem. Zaczął wirować na spiczastej podstawie jak żyroskop, natychmiast złapał słoneczne promienie i wypełnił podwórko tańczącymi diamentami żółtego, pomarańczowego, zielonego i błękitnego światła. Susan klęczała z wyprostowanym tułowiem i szeroko rozpostartymi ramionami. Świetlne refleksy przemykały po jej twarzy i sprawiały, że wyglądała jak aktorka ze starego, migoczącego filmu.

— Przywracam spektrum światła, które zostało rozbite przez ducha, gdy tędy przeszedł — powiedziała. Brzmiało to bardziej jak zaklęcie niż wyjaśnienie. — Szukam śladów świadomości, pozostawionych przez niego, kiedy przechodził przez aurę twojego domu. Szukam jego zmysłów i odczuć. Próbuję oddychać jego oddechem.

Zamiast zwalniać, kryształ zdawał się obracać coraz szybciej i szybciej, a podwórko wypełniło

się burzą światła. Jim miał wrażenie, że znaleźli się w innym miejscu i czasie… w opóźnionym o ułamek sekundy czasie i oddalonej o wiele kilometrów przestrzeni. Jennie mocniej ścisnęła jego dłoń i szepnęła:

— To niesamowite… jakby nas tu wcale nie było. Jakbyśmy byli w minionym tygodniu, zanim wszystko się wydarzyło. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że Mike jeszcze żyje…

— Chyba trafiłaś w sedno — odparł Jim. — To twoje podwórko w zeszły czwartek. Patrzymy na… coś w rodzaju filmu, ukazującego, co tu się wtedy zdarzyło.

Susan Silverstone odchyliła głowę do tyłu. Światło padające z kryształu robiło się coraz jaśniejsze — aż w końcu zaczęło oślepiać. Jim ujrzał niewyraźne, drżące kontury dwójki dzieci. Jedno tańczyło albo podskakiwało po przeciwległej stronie basenu, drugie chlapało się w wodzie. Sylwetki były tak niewyraźne, że trudno było powiedzieć, czy to naprawdę dzieci, czy tylko migoczące rozbłyski. Jednak powierzchnia wody była rozbełtana, jakby w basenie naprawdę bawiło się dziecko.

— Co to jest? — spytała Jennie, wpijając dłonie w ramię Jima. — Co to? Co się dzieje? Co widzisz?

— Jennie… chyba widzę Mikeya…

— Gdzie? Gdzie on jest? Dlaczego go nie widzę?

— Jest tutaj, Jennie. Pluska się w basenie, jak w dniu, gdy utonął. Susan próbuje odtworzyć przebieg wydarzeń…

— Boże, pokaż mi, gdzie on jest! Jim, proszę! Może wyczuję Mike'a… nawet jeśli nie będę mogła go zobaczyć!

— Nie, Jennie… lepiej trzymaj się od tego z daleka. To jeszcze nie koniec.

— Ale to moje dziecko i straciłam je! Gdybym mogła go po raz ostatni przytulić…

— Nie podchodź do basenu! — ostrzegł ją Jim.

Głosy dzieci były bardzo ciche, jakby dochodziły z długiego tunelu. Odbijały się echem i były tak zniekształcone, że trudno było określić, czy to śmiechy, czy krzyki.

— Prawie go nie słyszę. Nie słyszę dokładnie, co mówi, ale to na pewno jego głos.

— Mike… — chlipnęła Jennie, próbując wyrwać dłoń z uchwytu Jima.

Nie zamierzał jej jednak puścić. W powietrzu pojawiło się napięcie, powietrze zagęściło się tak, jak przy zbieraniu się elektryczności przed burzą albo trzęsieniem ziemi. Światło wydobywające się z kryształu rozbłysło jeszcze mocniej i jarzyło się jak płomień z palnika tlenowo–acetylenowego.

Na podwórku było tak jasno, że Jim musiał osłonić oczy dłonią. Ledwie widział drugi brzeg basenu.

Przez płot po prawej stronie podwórza przeszła jakaś postać. Właściwie nie przeszła, a przepłynęła nad płotem — była wodnista i półprzezroczysta. Jim nie umiał określić, czy to mężczyzna, czy kobieta.

Susan Silverstone odwróciła się do Jima i powiedziała ostrzegawczo:

— Jest… duch idzie w naszym kierunku! Czuję go!

— Czujesz go? Ja go widzę! — odparł Jim.

— Co? — Susan rozejrzała się, dzwoneczki na szalu wokół jej głowy zadzwoniły. — Możesz go widzieć? Gdzie?

Jim skinął głową w kierunku patio, przez które duch właśnie przechodził. Nie chciał informować ducha, że go widzi i wskazuje drugiej osobie. Niektóre duchy, kiedy wiedzą, że są widziane, robią się nerwowe i złe — a nie wiedział, co ma przed sobą ani do czego ten twór jest zdolny.

Postać bardzo szybko przeszła przez patio. Sprawiała wrażenie bosej. Od czasu do czasu jaskrawe światło z kryształu oświetlało jej twarz albo ramię i Jim widział wtedy więcej

szczegółów.

Jennie trzymała go tak mocno, że jej paznokcie wbijały mu się we wnętrze dłoni.

— Gdzie on jest? — zapytała cicho. — Co robi?

— To chyba kobieta. Kobieta albo nastolatka. Nie widzę wyraźnie. Wygląda jak uformowana z wody.

Zjawa podeszła do brzegu basenu, gdzie pluskał się obraz Mike'a. Zawahała się przez ułamek sekundy, po czym zanurkowała — wyglądało to, jakby wylano do basenu dzbanek wody.

— Nie pozwolisz jej go skrzywdzić? — wyszeptała błagalnie Jennie. — Jim, proszę… nie pozwól jej go skrzywdzić.

— Przykro mi, Jennie, ale jeżeli ta zjawa zamierza zrobić mu krzywdę, nie będę w stanie temu zapobiec. To, co widzimy, już się wydarzyło. To tylko obraz… i nic więcej.

— Dlaczego nie widzę Mike'a? Jestem jego matką! Dlaczego go nie widzę?!

Jim nie odpowiedział. Powierzchnia wody wokół miejsca, gdzie pluskał się obraz Mike'a, została zmącona mocnym, kolistym ruchem — wyglądało to niemal tak, jakby wokół chłopca krążył potężny rekin. Susan Silverstone wstała i podeszła do skraju basenu z podniesionymi i znieruchomiałymi w przerażeniu ramionami. Nawet Medlar Tree wstał, zakrył uszy i zaczął kręcić głową.

Jennie miała wytrzeszczone oczy i przyciskała dłoń do ust. Woda w basenie gwałtownie falowała, rozdzierały ją wściekłe uderzenia i rozbryzgi i nagle Jim usłyszał przeraźliwy krzyk dziewczynki: Mike! Mike! Mamo, chodź szybko!

— Co się dzieje?! — zawołała Jennie. — Powiedz mi, co się dzieje!

Jim nie wiedział, co odpowiedzieć. Wiedział jedno — że musi z całej siły trzymać Jennie i nie może pozwolić jej się zbliżyć do basenu.

— Widzisz go teraz? — spytała Susan. — Jim, widzisz go?

Woda w basenie była spieniona, pośrodku kłębowiska Jim widział migoczący zarys postaci chłopca, krzyczącego i z całych sił walczącego o życie. Spod powierzchni uniosła się para rąk — uformowanych z wody. Objęły Mike'a ciasnym, niemal miłosnym uściskiem i zaczęły go wciągać pod wodę.

Rozkołysana kipiel powoli się uspokajała. Susan wstała i zdjęła okulary.

— Coś widziałam — oświadczyła. — Przysięgam na Boga, że widziałam ręce.

— Ja też — powiedziała Jennie, drżąca jak przerażony jeleń. — Tylko przez sekundę… parę rąk. Jim nie słuchał ich. Koncentrował się na przeciwległym końcu basenu, gdzie woda była najgłębsza. Po drabince wychodziła wodna postać. Odwróciła głowę, popatrzyła na niego i przez ułamek sekundy miał wrażenie, że widzi jej twarz. Twarz dziewczyny — piękną, ale udręczoną. Wiedział, że zjawa go zauważyła i wie, że ją zobaczył.

Po chwili twarz zniknęła, zniknęły też ramiona i barki, rozpłynęły się po powierzchni wody, z której postać była utworzona. Wzdłuż brzegu basenu pojawiły się ślady mokrych stóp, a krzaki zadrgały.

— Widziałeś, Jim? — spytała Jennie. — Naprawdę widziałeś?

Skinął głową.

— Nie mam pojęcia, co to było. Dziewczyna. Widziałem przez nią na wylot, jakby była zrobiona z wody.

Podeszła do nich Susan. Była bardzo poważna.

— Użyła wody do nabrania fizycznych kształtów… by móc utopić twojego syna. Słyszałam o różnych rzeczach, jakie duchy wykorzystują, by uzyskać nad nami przewagę w realnym świecie. Pył, błoto, włosy, nawet śmieci. Sześć lat temu znaleziono w piwnicy w Encino uduszonego starca… choć drzwi zaryglował od środka i nie było innego wejścia. W rogu leżała sterta starych worków, gazet i różnych śmieci. Gliniarze wezwali Davida DuQuesne. Jest ekspertem z zakresu

legend miejskich. Uznał, że worki i gazety musiały przybrać jakiś kształt. Nikt nie słyszał, by starzec miał jakichkolwiek wrogów… żywych wrogów, ale David uznał, że musiał mieć wroga w zaświatach. Jakiś duch postanowił dokonać zemsty.

— A co ty o tym sądzisz, Jim? — spytała Jennie. — W końcu widziałeś tę zjawę.

— Nie wiem, co o tym sądzić. Jeszcze nigdy nie spotkałem się z czymś podobnym, a uwierzcie mi, niejedno dziwactwo widziałem.

— Nie rozumiem tylko, dlaczego ten duch chciał skrzywdzić Mike'a.

— Cóż… — mruknął Jim — chyba trzeba to będzie dokładniej zbadać. Powiesz mi, gdzie Mike chodził do szkoły? Czy miał jakieś problemy z kolegami z klasy?

— Po co pytasz? Czasami sprawiał kłopoty, ale nie sądzę, by miał problemy z rówieśnikami ze szkoły. Albo z innymi dziećmi.

— Zastanawiam się tylko, czy kogoś skrzywdził, to wszystko. Może jakiś zmarły kuzyn chciał mu dać nauczkę?

— To raczej mało prawdopodobne — powiedziała Susan, a stojący za nią Medlar Tree zakręcił palcem nad głową, jakby dawał do zrozumienia, że Jim zgłupiał.

— Może, ale czy nie sądzisz, że utopienie przez dziewczynę utworzoną z wody albo uduszenie przez śmieci też jest mało prawdopodobne?

Jim odwiózł Susan do jej domu przy Franklin Avenue. Medlar Tree siedział z tyłu i za każdym razem, kiedy zatrzymywali się na czerwonym świetle, szczerzył się głupkowato i machał do ludzi w innych samochodach.

— Nie wiem, jak możesz z nim wytrzymać — mruknął Jim. — To musi przypominać życie z Marcelem Marceau.

— Medlar Tree nie jest taki, na jakiego wygląda — odparła Susan. — Kiedyś uratował mi życie, choć kosztowało go to bardzo wiele.

— Nie staje się przez to wcale milszy… — mruknął Jim. Dojechali już do Franklin Avenue i zatrzymał się przy krawężniku. — Naprawdę nie mam pojęcia, co dalej robić. Nie mogę iść na policję i stwierdzić, że mały Mike został utopiony przez wodnego ducha. I tak już uważają, że prawie całkiem zwariowałem.

— To chyba nie ma znaczenia, prawda? — odparła Susan. — Koroner oczywiście uzna to za wypadek, ale przynajmniej Jennie upewniła się, że śmierć Mike'a to nie jej wina.

— Problem w tym, że jej mąż nie wierzy w tę wersję.

— Jim… ktoś taki jak ja lub ty może jedynie mówić ludziom, co czuje. Nie może za nich zmieniać ich życia. Widzisz rzeczy i czujesz je, i jest to dziwny i wspaniały dar, ale to nie oznacza, że masz być detektywem, doradcą do spraw małżeńskich, psychiatrą i nauczycielem w jednej osobie.

— Zaczynasz mówić jak Karen.

— Cóż, jeżeli twoja dziewczyna tak mówi… wcale mnie to nie zaskakuje.

— Nie ma sprawy. Chyba powinienem być zadowolony z tego, co udało nam się dziś osiągnąć.

— Wejdź na drinka — zaproponowała Susan. — Pokażę ci moją kolekcję pająków.

Susan mieszkała na najwyższym piętrze wąskiego domu w hiszpańskim stylu, ukrytego w gęstym cieniu drzew. Z tyłu znajdowało się małe, wilgotne, otoczone omszałym murem podwórko z niedużą okrągłą fontanną na środku, wokół której porozstawiano rzeźby nagich greckich atletów. Mieszkanie Susan miało dwie sypialnie i było ozdobione tapetami w stylu arts and crafts* oraz ciemnymi aksamitnymi zasłonami. Meble były stare i ekscentryczne, a najbardziej ekscentryczny był ogromny fotel z wyrzeźbionymi na podłokietnikach groteskowymi twarzami z wytrzeszczonymi oczami i wysuniętymi językami. Wszędzie unosił się zapach zwietrzałego kadzidła.

— To głównie na pokaz — wyjaśniła Susan, zrzucając sandały i kładąc się na pozłacanym

szezlongu. — Osobiście wolę styl minimalistyczny. Pomalowane na jasnożółto ściany, żadnych krzeseł, w sypialni futony. Ale kiedy ludzie przychodzą do medium, oczekują… gotyku.

Medlar Tree poszedł do kuchni i wrócił z dużą butelką schłodzonego chilijskiego sauvignon. Nalał wszystkim po ogromnym kielichu, po czym wzniósł swój w milczącym toaście.

— Za co mamy wypić? — spytał go Jim.

Medlar Tree odstawił kieliszek i zaczął pantomimicznie pokazywać, że pływa. Potem odegrał walkę w wodzie i tonięcie. Wreszcie stanął cicho, z zamkniętymi oczami, jakby był martwy. Kiedy tak tkwił bez ruchu przez kilkadziesiąt sekund, Jim zaczął: „Co to…" — ale Susan uciszyła go syknięciem. Mim uniósł dłonie i zakrył nimi twarz. Gdzie ja to już widziałem? — zastanowił się Jim, jednak w tym momencie Medlar Tree bardzo powoli zaczął odsłaniać twarz — jakby otwierał książkę. Przez chwilę, tak krótką, że Jim nie był pewien, czy mu się nie przywidziało, twarz mima wyglądała zupełnie tak samo jak twarz wodnej zjawy, która wyszła z basenu. Włoski na karku Jima zjeżyły się z przerażenia.

— Sprytne, co? — powiedziała Susan. — Ale to tylko sztuczka nadająca się na przyjęcia. Sugestia hipnotyczna. Jest w tym dobry. Prawda, mój najdroższy Medlar Tree?

Jim uniósł kieliszek.

— Wobec tego piję za tę sztuczkę. I za ciebie, Susan. Przynajmniej pokazałaś Jennie, że to, co widziała, nie było jedynie wytworem jej wyobraźni.

Spędzili razem godzinę, potem Susan musiała iść na psychoterapię sadu. Rozmawiali, pili wino i śmiali się. Medlar Tree w dalszym ciągu doprowadzał Jima do szału, ale Susan najwyraźniej była tak wysokiego mniemania o swoim towarzyszu, że nie mógł okazywać mu otwartej wrogości. Wymagało to jednak z jego strony sporo wysiłku — zwłaszcza kiedy mim gwałtownie wyskoczył zza pleców Susan i wsadził sobie palce do nosa, by upodobnić się do Łona Chaneya z Upiora w operze.

— Kiedy po raz pierwszy zauważyłaś, że jesteś uzdolniona parapsychicznie?

— Bardzo dawno. Miałam wtedy sześć lat. Szłam z mamą Hollywood Boulevard i nagle usłyszałam krzyk kobiety. Rozejrzałam się i zobaczyłam ją: panią w średnim wieku, w jasno—brązowej sukience w kwiaty. Stała na krawężniku i krzyczała, jednak jej twarz była

* Arts and crafts — ruch artystyczny w Wielkiej Brytanii w drugiej połowie XIX wieku; ciążył do odnowy

rzemiosła artystycznego i powrotu do rękodzieła, inspirował się sztuką średniowieczną.

spokojna, a usta miała zamknięte. Dwie sekundy później zeszła z chodnika na jezdnię, prosto pod autobus. Uderzył ją i wyleciała w powietrze… Oczywiście zginęła. Z początku nie mogłam zrozumieć, dlaczego nikt nie słyszał krzyku, ale po dwóch czy trzech latach miałam podobne przeżycie i zrozumiałam, że nikt nie słyszał krzyku, ponieważ ta kobieta wcale nie krzyczała. Tylko ja coś słyszałam… — Zawahała się na moment i popatrzyła na Jima zmrużonymi oczami. Była bardzo piękna — w jakiś staromodny sposób. Czarne włosy, blada twarz — wyglądała jak fotografia gwiazdy filmowej z lat czterdziestych. — Wierzysz mi, prawda? I czujesz ulgę, że ktoś jeszcze nosi taki sam ciężar jak ty. Nie jesteś sam, Jim… i nigdy nie będziesz.

Medlar Tree sztyletował go wzrokiem, a były to sztylety, które mogą zabijać.

— Co pan powie na jeszcze jeden kieliszek sauvignona? — zapytał Jim i uśmiechnął się.

ROZDZIAŁ 4

Wieczorem, po prysznicu, zawiesił sobie na szyi „parapsychiczny naszyjnik” oraz srebrny medalik ze świętym Krzysztofem, który dostał od matki dwie godziny przed jej śmiercią. Nie miał pojęcia, dlaczego go włożył. Może chciał zbliżyć się do krawędzi? Może miał ochotę spojrzeć w Ciemność, stanąć z nią twarzą w twarz?

— Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że to nie zadziała? — powiedział do swojego odbicia w lustrze. Facet w lustrze był dziwnie obojętny. — Mam także nadzieję, że wcale nie chcesz, żeby zadziałało. Co zrobisz, jeżeli się dowiesz, że spotkasz swego Stwórcę jutro przy obiedzie,

zadławiwszy się kanapką z serem i lucerną?

Tak naprawdę wcale nie wierzył, że naszyjnik powie mu, kiedy ma umrzeć, ale od czasu gdy odkrył, że może widzieć duchy zmarłych wędrujące po świecie żywych, fascynowały go wszelkie okultystyczne gadżety, kryształowe kule, ouija*, karty do tarota, fetysze wudu i „lalki słońca" rdzennych mieszkańców Ameryki. Były to instrumenty, służące ludziom o parapsychicznych zdolnościach do zaglądania „na drugą stronę" i gdyby Jim kiedykolwiek znalazł coś, co naprawdę działa, mógłby pokazać ludziom, że duchy są wszędzie, tuż obok nich. Mógłby im pokazać, że zmarli krewni ciągle są w zasięgu ręki. Może wtedy nie czułby się tak bardzo inny — i tak bardzo samotny.

Przed pójściem do łóżka usiadł na kanapie i zapatrzył się w stojący na stoliku do kawy, wylizany przez Tibbles Dwa talerz po spaghetti. Potem zadzwonił do Karen.

— To ja, Jim. Chciałem ci powiedzieć, że ogromnie mi żal z powodu tego, co się dziś stało. Znacznie ogromniej niż ogromnie. Kosmicznie.

— Nie ma sprawy, Jim. Już ci wybaczyłam. Przecież to wszystko było w dobrej sprawie, prawda?

— Tak, oczywiście. Wierz albo nie, ale namierzanie ducha się udało. Udało się! Widzieliśmy go! To znaczy ja go widziałem. Przynajmniej Jennie nie obwinia się już o spowodowanie śmierci Mikeya.

— Więc się przebiła? To twoje cycate medium w wydekoltowanej sukience.

— Susan? Jest bardzo ciekawą młodą kobietą i naprawdę ma parapsychologiczne zdolności. Bardzo ciekawą.

— I cycatą.

— Tak, cycatą. Zgadza się. Ale nie to czyni z niej interesującą osobę.

— Wszystko jedno z jakiego powodu, w każdym razie ją lubisz.

— Oczywiście, że lubię. Nie zamierzam zaprzeczać. Lubię wiele kobiet. Na Boga, lubię wiele kobiet, ale to nie znaczy, że się z wieloma zadaję. Chcę, żebyś pojechała ze mną do Waszyngtonu. Dlatego dzwonię: w celu złożenia powtórnej oferty. Bardzo poważnie przemyślałem sprawę twojego kolorystycznego kodu układania swetrów, twojego aerobiku, logicznego umysłu oraz tofu i doszedłem do wniosku, że bez trudu mogę się przystosować. Naprawdę bez trudu. Wiesz, co zrobiłem dziś wieczorem zaraz po przyjściu do domu? Poprzestawiałem przyprawy na półce. Teraz wszystko stoi w alfabetycznym porządku: od anyżku po wasabi. Potem uporządkowałem szufladę ze skarpetkami. Przysięgam! Wszystkie skarpetki dobrałem parami, pozwijałem i

* Ouija — ruchoma tabliczka z literami alfabetu i innymi znakami, za pomocą której w czasie seansu spirytystycznego duch komunikuje się z osobami biorącymi udział w seansie.

poukładałem szeregami. Wyglądają jak świąteczna parada w West Point. No, może poza siedmioma albo ośmioma, które najwyraźniej nie mają przyjaciela.

— Może mogłoby ci w tym pomóc twoje cycate medium w wydekoltowanej sukience? Jeżeli potrafi poddawać terapii drzewa, na pewno poradzi sobie z wyleczeniem paru skarpetek.

— Karen, to ciebie proszę, żebyś pojechała ze mną do Waszyngtonu. Nikogo innego. Wyjdź za mnie za mąż.

— Nie, Jim. Przykro mi. To, co się dzieje między nami… jest dobre. Czasem nawet cudowne, ale to za mało.

— Co jest za mało?

— Przykro mi.

— Tobie jest przykro… a ja? Jak sądzisz, jak ja się czuję?

— Nie chcę cię ranić, Jim, ale to by się nigdy nie udało… nawet z ułożonymi alfabetycznie przyprawami.

— Cóż, wydaje mi się, że zrozumiałem.

— Zobaczymy się jutro w szkole.

— Jasne.

— Nie złość się, Jim. Sam wiesz, że nic by z tego nie wyszło. Małżeństwo to nie tylko uporządkowana szuflada ze skarpetkami.

Z miejsca, gdzie Jim siedział, widać było wyblakłe i pogniecione szorty w biało—czerwone paski, które kopnął pięć dni temu pod fotel. Zaczęło mu być żal siebie samego i spuścił głowę w geście rezygnacji, jak marionetka, której przecięto sznurki.

Zasnął w kilka minut, co było dziwne po dniu obfitującym w tyle niezwykłych wydarzeń. Po podobnych doświadczeniach był zazwyczaj podenerwowany, pocił się i wiercił w łóżku godzinami, a przez głowę przelatywały mu, niczym fragmenty czarno–białego filmu, jakieś niesamowite obrazy. Blade, pozbawione konturów twarze, wpatrujące się w przestrzeń spoza częściowo zaparowanych okien. Postacie w mnisich kapturach i habitach, znikające bezgłośnie za rogiem, zanim zdążył je dogonić. Czasem słyszał muzykę — grę na rozstrojonym pianinie w pokoju na poddaszu, od którego ścian każdy dźwięk odbijał się głośnym echem. Czasem kobiece głosy powtarzały z płaczem niekończącą się litanię: „Nie… nie… nie…”.

Jednak tego wieczoru niemal natychmiast zsunął się długą, ciemną półką w nieświadomość, a kiedy otworzył oczy, znajdował się w śnie tak wyraźnym i pełnym szczegółów, że wydawał się realniejszy od rzeczywistości.

Szedł szerokim, szarym brzegiem oceanu, wiatr dmuchał mu w uszy. Niebo było zachmurzone, a plaża tak płaska, że fale mogły osiągnąć najwyżej kilka centymetrów wysokości. Woda zalewała mu buty i nasączała skarpetki, po czym się cofała.

Po jakimś czasie zorientował się, że ktoś przed nim idzie — chyba kobieta. Wiatr rozwiewał jej włosy i szła do przodu z widocznym wysiłkiem, z pochylonymi plecami.

Próbował przyspieszyć, by ją dogonić, ale wciąż pozostawała poza jego zasięgiem. Miał

wrażenie, że jeśli natychmiast z nią nie porozmawia, stanie się coś bardzo złego. Wiatr się nasilił, powietrze znacznie się oziębiło, a fale zaczęły mocniej uderzać o nogawki jego spodni, mocząc je po kolana.

Nagle uderzyła go ogromna fala. Była lodowata i spadła na niego jak tona zimnego, mokrego cementu, zmuszając go do opadnięcia na kolana. Kiedy usiłował wstać, prąd zwrotny oderwał mu stopy od podłoża i zanim się zorientował, znalazł się w głębokiej na dwa i pół, może nawet trzy metry słonej wodzie. Dziko machał rękami i kopał nogami, zupełnie bezradny.

Rozpaczliwie próbował wydostać się na powierzchnię, ale bez względu na to, jak mocno kopał i wymachiwał ramionami, nie udało mu się unieść nawet centymetr wyżej. Coś trzymało go za kostkę… i wciągało w głębinę.

Czując, że płuca mu pękają z braku powietrza, zaczął się rzucać na boki, żeby zobaczyć, co go trzyma. Kiedy rozpoznał zamierzającą unicestwić go siłę, poczuł się, jakby przeszyła go lodowata włócznia: ujrzał tę samą utworzoną z wody postać, która wyszła z basenu Jennie. Jej skóra marszczyła się jak szybko płynący prąd, a oczy bez źrenic i tęczówek błyszczały niczym szkło. Już sam wyraz jej twarzy mógł przerazić: najwyraźniej była wściekła i chciała go utopić.

Kopał i kopał, ale nie mógł wyrwać się z uchwytu. Płuca bolały go, jakby zaraz miały eksplodować. Pulsowało mu w głowie i z całych sił walczył, by nie otworzyć ust i nie połknąć wielkiego haustu lodowatej morskiej wody.

Podciągnął tułów w górę i rozpaczliwie kopnął obydwiema nogami. Zjawa rozpadła się na kawałki — rozprysnęła jak kulka rtęci. Kopał raz za razem, wyrzucając ciało ku górze.

Kiedy znalazł się wreszcie na powierzchni, zaczął wymachiwać ramionami, by utrzymać się nad wodą.

Rozejrzał się wokół i stwierdził, że nie znajduje się w wodzie, a we własnym łóżku — obok stała komoda, na niej budzik, na oparciu wiklinowego fotela wisiały bojówki. Leżał na łóżku, na

skotłowanej pościeli, w przemoczonym lodowatym potem podkoszulku. Usiadł i wytarł twarz dłońmi, wypił duży łyk odstałej wody. Zza okien dolatywały dźwięki samby, po ulicy jeździły samochody. Spojrzał na zegarek przy łóżku. Wskazywał 13:06:01.

Dziwne. Nie mogło być sześć minut po pierwszej w południe, ciemność na zewnątrz wskazywała raczej na drugą w nocy. Wziął do ręki budzik. Dostał go w zeszłym roku od swoich uczniów, z tyłu był wygrawerowany napis: DLA JIMA ROOKA, PONIEWAŻ OTWORZYŁ NAM OCZY.

Do pokoju weszła TD i miauknęła cichutko.

— Co? Co znowu?

TD wskoczyła na łóżko i trąciła nosem budzik.

— Co chcesz mi powiedzieć, ty wiedźmo ciemności? Popsuł się budzik, to wszystko. Prawdopodobnie bateria jest zużyta.

TD miauknęła jednak ponownie, niemal przewróciła łebkiem zegarek, po czym położyła na nim łapę.

— Chcesz mi coś powiedzieć, tak? Wiem. Najwyraźniej jednak nie pojmujesz, że próbujesz się porozumieć z przedstawicielem znacznie bardziej rozwiniętego gatunku. Kiedy koty zaczną pisać kuplety i wysyłać e–maile, może dorównają człowiekowi, ale teraz… to miauczenie i walenie łbem… przepraszam, nie rozumiem, o co chodzi.

TD nie rezygnowała jednak. Zeskoczyła z łóżka, pomaszerowała do salonu i wskoczyła na oparcie krzesła stojącego przed kalendarzem. Jim poszedł za kotką i patrzył na nią, nic nie rozumiejąc. Zniecierpliwiona TD podskakiwała i trącała kalendarz łapą.

— Nie rozumiem — mruknął Jim. Kotka pobiegła z powrotem do sypialni i trąciła nosem budzik. — Zegar… kalendarz. Kalendarz… zegar. Co się dzieje, TD?

Kotka znów gdzieś pobiegła, a kiedy wróciła, trzymała w zębach kartę „śmierć” z talii Grimaud.

Upuściła kartę przed nogami Jima.

— Zegar — kalendarz — karta „śmierć". Hej, momencik! To zaczyna mieć sens. Zegar jest przestawiony, tak? Liczby na cyferblacie… nie, to nie czas… data? Trzynasty czerwca dwutysięcznego pierwszego roku. To będzie… zaraz… za dziewięć dni.

Jim powoli podniósł rękę i dotknął wiszącego na swojej szyi „parapsychicznego naszyjnika". „Załóż go wieczorem na szyję, to dowiesz się przez sen, kiedy umrzesz".

— Mowy nie ma, Jose — powiedział do TD. — Wierzę w możliwość zaglądania w przeszłość, ale nie wierzę w przepowiadanie przyszłości. To się jeszcze nie wydarzyło. — TD stała w miejscu i przyglądała mu się z uporem. — Skąd ktokolwiek miałby to wiedzieć? Zwłaszcza kot… Dlatego że według Egipcjan słońce wschodzi ze śmietników?

Wrócił jednak do sypialni i popatrzył na leżący na łóżku budzik, który ciągle wskazywał 13:06:01. Poczuł, że ogarnia go lodowata bezradność — podobna do tej, jaką musiał czuć Ebenezer Scrooge, kiedy Duch Wigilii Przyszłości pokazał mu jego grobowiec.

Poszedł do kuchni, nastawił czajnik i zrobił sobie kubek gorącej czekolady. Ostatnio udało mu się nabrać nieco ciała, niewiele, ale Karen zawsze mówiła, że wygląda jak niedożywiony — „jak uciekinier z miejsca, o którym reszta świata nie chce nawet myśleć".

Była 2.25 rano. Jim siedział w kuchni przy stole i kończył czekoladę, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Poczłapał do korytarza i wyjrzał przez judasz. Pod drzwiami stał Mervyn — z twarzą obłożoną jaskrawozieloną maseczką kosmetyczną i włosami nakręconymi na lokówki.

— Cholera — zaklął pod nosem Jim i otworzył drzwi.

— Cześć, Jim! Zauważyłem, że się u ciebie pali, i pomyślałem, że może przyda ci się towarzystwo. — Mervyn był ciasno owinięty błyszczącym, różowym jedwabnym kimonem w wielkie czarne chryzantemy, a na nogach miał japońskie drewniaki, które powodowały, że chwiał się przy każdym kroku jak przerośnięty kurczak. — Jeśli przeszkadzam, możesz mnie wyrzucić. W

tych butach prawdopodobnie zaraz sam się wyrzucę… Co o nich sądzisz? Dał mi je japoński biznesmen za zaśpiewanie po japońsku Hello, Dolly, choć może raczej powinienem powiedzieć „Herro, Dony". Byłem sensacyjny.

— Zawsze jesteś sensacyjny, Mervyn. Wchodź, czuj się jak u siebie w domu. Nie mogłem spać. To znaczy spałem, ale miałem koszmarny sen.

— Wiesz dlaczego? — spytał Mervyn i zwalił się na krzesło w kuchni. — Jesteś rozbity emocjonalnie z powodu wyjazdu do Waszyngtonu. Opuszczasz Los Angeles, zostawiasz swoją klasę, porzucasz TD. Masz prawo być podenerwowany.

— To nie stres… na pewno nie jest dla mnie stresem to, że zostawiam szkołę. Doktor Friendly używał sobie na mnie co dzień przez cały miniony semestr, a druga specjalna… cóż, w przyszłym roku będzie kolejna druga specjalna, z nowymi twarzami. Nie będzie mi brakowało uczniów, których nie znam. Jeśli zaś chodzi o TD… owszem, jest dekoracyjna, na pewno, ale nie bardziej przydatna od za mocno wypchanej poduszki.

— Nie bądź negatywnie nastawiony… będzie ci brakowało nas wszystkich. Nawet uczniów, których nie widziałeś na oczy. A poza tym — masz piękny naszyjnik. Bardzo w stylu New Age.

Jim zdjął naszyjnik i podał go Mervynowi.

— Ma podobno właściwości jasnowidzące. Dziesięć dolców na targach psychotronicznych. Przepowiada dokładną datę śmierci właściciela.

— Daj spokój. Chyba w to nie wierzysz?

— Nie wiem. W tym jednak problem, bo miałem go na szyi w czasie snu, kiedy zaczął się koszmar. Śniło mi się, że tonę. Coś trzymało mnie za kostkę — dziewczyna — i ściągało mnie w głąb oceanu. Obudziłem się i na zegarze była ta data…

Mervyn, nic nie rozumiejąc, wpatrywał się w budzik.

— Fajny zegareczek. Ma dodatkowe budzenie? Uwielbiam budziki, które dzwonią, potem robią

przerwę i pozwalają chwilę dospać się. Już samo to określenie… „dospać się”… czyż nie jest wspaniałe? Zanim człowiek wyjdzie z łóżka, by zacząć walczyć z problemami codziennego życia, może sobie jeszcze trochę poleżeć i poukładać je w głowie. Nie uważasz, że codzienne życie jest przygnębiające? Mógłbym spędzić resztę życia w łóżku…

— Mervyn, popatrz, co ten zegarek wskazuje. Mervyn zmrużył oczy i przyjrzał się uważnie budzikowi.

— Źle chodzi, prawda? To ani dziś, ani wczoraj. Tak poza tym, czy słyszałeś kiedyś, jak śpiewam Yesterday*! Doprowadza ludzi do łez. Mnie też. Zwłaszcza wysokie nuty.

— Mervyn… kiedy obudziłem się z sennego koszmaru, zegarek wskazywał trzynasty czerwca dwa tysiące pierwszego roku i od tej chwili się nie poruszył. To dzień, w którym z ziemskiego wykręcimy się zamętu.

— Że co?

— „Z ziemskiego wykręcimy, się zamętu”*. W ten sposób Szekspir określał przeniesienie się do parku sztywnych. Budzik właśnie mnie poinformował, że zostało mi jeszcze dziewięć dni życia.

— To absurdalne.

— Tak sądzisz?

Jim opowiedział mu o prośbie Jennie, o Susan Silverstone i wodnej postaci, która wyszła z basenu, kiedy Susan zaczęła namierzanie ducha, i Mervyn szybko spoważniał.

— Może nie powinieneś jechać do Waszyngtonu. Chyba nie jesteś w najlepszej formie.

— Ten dziewięciolatek został utopiony, a jego matka poprosiła mnie o dowiedzenie się, kto to zrobił! Potem dostałem ostrzeżenie, że może mi się przydarzyć coś złego. Coś związanego z wodą.

— Ostrzeżenie? Od kogo? Powinieneś zawiadomić policję.

— Nie mogę. Nie uwierzyliby mi. To ostrzeżenie jest… z kart.

— O, z kart! Wiesz, co o nich sądzę. Nadają się wyłącznie dla paniuś przechodzących

klimakterium, samotnych wdów i gejów w średnim wieku.

— No to co? To, że przemawiają do słabych i wrażliwych ludzi, nie oznacza wcale, że mówią nieprawdę. Są rzetelne, Mervyn. Mówią prawdę. Poza tym nie ma w tym nic złego, jeżeli ktoś przechodzi menopauzę albo jest samotny. Albo jest w średnim wieku. Albo jest gejem.

— Rany! Chyba powinieneś zobaczyć, co to naprawdę znaczy… ja mam wrażenie, że jestem każdą z tych osób.

— Na boga, Mervyn! Próbuję ci powiedzieć, że za dziewięć dni umrę! Chyba utonę.

— W takim razie powinieneś się trzymać z dala od wody. Mam na myśli nie tylko baseny i ocean. Nie powinieneś trzymać nawet szklanki wody przy łóżku.

— Wynoś się.

— Przecież żartuję. Próbuję zmusić cię do logicznego myślenia. Biednego Mike'a wciągnęło pod wodę, ale najprawdopodobniej był to tylko wypadek. Spowodowany awarią pompy. Brakiem odpływowej kratki zabezpieczającej. Nie uwierzysz, ile jest przypadków wkręcenia dzieciom włosów w filtr basenu. Skalpują więcej ludzi niż Siuksowie Oglala. Wiem, bo pracowałem w Valley Pool Pumps. Mógłbym ci opowiedzieć niejedną mrożącą krew w żyłach historię. Raz znaleźliśmy gościa, któremu wessało kucyk do odpływu wanny, kiedy się kąpał, więc został w wodzie i fermentował przez siedemnaście dni. Kiedy go znaleźliśmy, był z niego ludzki rosół.

— Mervyn, daj spokój z tymi horrorami, dobrze? Powiedz lepiej, czy słyszałeś kiedyś o istocie wodnej… postaci, utworzonej z wody?

— Co ty, Jim… nie sądzę. Próbujesz mnie przestraszyć. Najbardziej do tej twojej historii pasuje to, co słyszałem o dwóch ludziach, którzy zajmowali się basenem w Sherman Oaks. Napełniali go po tym, jak utonęła tam czyjaś córka. Kiedy był prawie pełny, jeden wepchnął drugiego do wody — no wiesz, dla żartu — i tamten wyskoczył z wody okropnie przerażony. Twierdził, że coś

* Yesterday (ang.) — wczoraj. Tytuł wielkiego przeboju zespołu The Beatles.

* Hamlet, przełożył Wł. Tarnowski.

próbowało go wciągnąć pod wodę i utopić. Co? Poza nimi nie było nikogo, potwierdził to drugi robotnik. Sąsiad, który zaglądał przez płot, też nikogo nie widział.

— Brzmi to nieco podobnie — przyznał Jim. — Postać, którą widziałem… była zrobiona z samej wody… przysięgam. Ale miała ręce, które mogły wciągnąć człowieka pod wodę. Do tego taki wyraz twarzy… miałem wrażenie, że jeśli tylko uda jej się mnie złapać, zabije mnie.

— Hmm… Jesteś pewien, że to nie była moja matka? Kiedy się wścieka… stary, to jej spojrzenie! Może zabić.

— Mam wrażenie, jakbym tracił zmysły, Mervyn — jęknął Jim. — Jakbym tracił zdolność odróżniania między tą a tamtą stroną rzeczywistości.

Mervyn ujął go za rękę i mocno ścisnął.

— Jim, jesteś dobrym człowiekiem. Lepszym, niż sądzisz, ale czasem powinieneś sobie pozwolić na odrobinę egoizmu. Zrobić coś tylko dla siebie. Ja tu sprzątam, przepycham ubikacje i załatwiam zakupy dla staruszków, ale to ani dobroczynność, ani męczeństwo. Robię to, bo lubię. Jeżeli masz taki sam stosunek do tego, co sam robisz… do tych młodych ludzi, których uczysz czytać i szanować poezję… Robisz to, ponieważ nadaje to sens twojemu porannemu wstawaniu, mam rację?

— Może tak. Nie wiem.

— Boisz się, prawda?

Jim popatrzył na Mervyna, który w zielonej maseczce na twarzy i papilotach wyglądał jak wódz jakiegoś prymitywnego plemienia.

— Masz rację jak cholera, boję się. Jeżeli ta zjawa jest prawdziwa, chyba znienawidzę tę moją umiejętność widzenia pozazmysłowego.

— Co powiesz na drinka? Pina colada z różową parasolką na pewno poprawi ci humor.

— Może lepiej filiżankę kawy.

— Jasne… jeśli tak wolisz.

Jim poszedł do kuchni i zapalił światło. Kiedy podchodził do zlewozmywaka, zauważył na odsączarce drżenie, jakby zmykało po niej stado karaluchów. Po chwili dostrzegł jednak, że nie są to żadne karaluchy, ale krople wody. Uciekały z odsączarki, wpadały do zlewu i stamtąd leciały do kranu. Zamarł i z przerażeniem obserwował, jak woda kropla po kropli leci prosto do góry — wbrew prawu grawitacji — i znika.

Wyglądało to tak, jakby przyłapał na czymś krople wody, więc uciekały przed nim i chowały się. Podszedł ostrożnie do zlewu, położył rękę na kranie i zastanawiał się, czy nalać wody do maszynki do kawy. Po dłuższej chwili wrócił do salonu.

— Przykro mi, Mervyn, jestem wykończony. Może ogłośmy, że jest noc. A raczej dzień. Patrz, już świta.

— Nie będzie kawy? Jim pokręcił głową.

— Nie teraz. Zawsze mam po niej senne koszmary.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy rano wszedł do klasy, uczniowie gadali, śmiali się, obrzucali się czym popadnie i siedzieli z nogami na ławkach. Nie mógł mieć do nich pretensji — zostały dwa dni do końca semestru letniego, dnia zakończenia edukacji w drugiej specjalnej. Jeżeli do tej pory nie nauczyli się niczego o wyrażaniu własnych myśli, już nigdy się tego nie nauczą.

Powiesił wymięty niebieski popelinowy płaszcz i usiadł za biurkiem. Otworzył egzemplarz Współczesnych poetów amerykańskich i zaczął go powoli kartkować, przed odwróceniem każdej strony liżąc palec. Druga specjalna powoli się uspokajała. Nestor Fawkes przeniósł się do tyłu i zmarszczył czoło. Był ubrany w znoszony podkoszulek, niechlujne dżinsy i sportowe buty z całkowicie przetartymi podeszwami. Miał posiniaczone kości policzkowe i jaskrawe zadrapanie na

czole.

Z całej drugiej specjalnej Jim właśnie Nestora najbardziej niechętnie zostawiał, bo chłopak wciąż jeszcze potrzebował pomocy — zarówno w edukacyjnym, jak i emocjonalnym zakresie — niestety będzie musiał być pozostawiony sam sobie. Co miał robić? Nie mógł brać na siebie odpowiedzialności za cały świat. Po pierwsze, nie miał na to czasu. Jak powiedział Mervyn: „Czasem powinieneś sobie pozwolić na odrobinę egoizmu".

Stella Kopalski paplała jak najęta. Miała jasne, upięte do góry włosy i zielone jak mięta pieprzowa oczy, a ubrała się dziś w superobcisły biały podkoszulek, bardzo krótką dżinsową spódnicę i sięgające za kostki białe buty na wysokim obcasie.

— Wiesz, nad jaką pracą na lato się zastanawiam? — mówiła właśnie. — Pójdę do tego baru topless przy Sunset — „Jugg's". Założę się, że do września dostanę rolę w filmie.

Jim nie skomentował tego, dalej przewracał kartki w tomiku poezji. Miał mieć z tymi dzieciakami już tylko sześć lekcji, a potem wyjeżdżał do Waszyngtonu, by uczestniczyć w pracach nad realizacją rządowego programu poprawy czytelnictwa. Jeśli do tej pory nie udało mu się zmienić ich życia, nigdy mu się to nie uda. Stella Kopalski napisała jeden z najsmutniejszych i najbardziej wymownych wierszy, jakie czytał w tym roku, jeżeli jednak uważała, że jej przeznaczeniem jest praca w barze topless przy Sunset, nic na to nie poradzi.

Zawsze gdy otwieram drzwi szafy,

Ubrania na wieszakach przypominają dni, które spędziłam

Z przyjaciółmi, najdroższymi przyjaciółmi; z tymi, którzy kochali mnie naprawdę,

Ludźmi, którzy nie żyją albo zniknęli.

Chowam twarz w miękki las bawełny i wełny i płaczę, płaczę za was wszystkich.

Był także Tarquin, czarny arcyraper, wysoki i patykowaty, z wiecznie wetkniętymi w uszy słuchawkami walkmana, słuchający jakichś piosenek o dziwkach i rozwalaniu ludzi. Był

Washington Freeman III, który uważał, że społeczeństwo powinno zapewnić mu warunki do życia niezależnie od tego, co będzie robił. „Nie pchałem się na świat, co nie?”. Była Laura Killmeyer, która już nie robiła się na wiedźmę, nie malowała twarzy na biało i nie rysowała brwi tak, że wyglądały jak dwa wysokie, czarne łuki. Teraz ubierała się w obcisłe czarne podkoszulki i szerokie, łopoczące przy chodzeniu spodnie z płótna żeglarskiego i miała krótko obcięte, ciemnoczerwone włosy. Była także Dottie Osias, która wreszcie przestała niewolniczo naśladować Laurę Killmeyer i prezentowała własną modę: workowate stroje w pomarańczowym kolorze. Kochał ich wszystkich i choć oni też go kochali, byliby głęboko zażenowani, gdyby wiedzieli, jak silnym darzył ich uczuciem. Kochał Joyce Capistrano, Randy’ego Rellinga juniora i Lindę Starewsky z bujnymi rudymi lokami i kończynami jak u nowo narodzonej żyrafy. Waylona Price’a i Christophe’a l’Ouverture, który pochodził z Haiti i bardzo interesował się wudu. Klasa Jima wciąż stawiała mu nowe wyzwania, a każdy nowy rok był źródłem nowych twarzy i nowych szans.

— No dobrze… — powiedział w końcu i podniósł głowę znad książki. — Spędzimy jeszcze razem dwa dni. Potem wyjeżdżam do Waszyngtonu, by tworzyć rządowy program czytelnictwa, a wy… cóż, wy zajmiecie się tym, czym zajmuje się młodzież po skończeniu publicznej szkoły średniej. Przejmiecie General Motors, otworzycie stragan z fistaszkami, będziecie tańczyć, śpiewać, zdobędziecie Hollywood…

— Wróci pan kiedyś? — spytał Tarquin.

— Do West Grove? Nie sądzę.

— A co z dzieciakami, które przyjdą tu we wrześniu? Które nie umieją zbyt dobrze czytać ani pisać?

— Dostaną odpowiednią opiekę. Drugą specjalną przejmie panna Schaumberg. Uwierzcie mi, zna się na rzeczy. Powinniście ją usłyszeć, jak recytuje mowę gettysburską*. Można dostać dreszczy.

— Na sam widok panny Schaumberg można dostać dreszczy! Jak na Nocy żywych trupów.

— Zachowuj się, Tarquin. Panna Schaumberg jest damą i jedną z najlepszych nauczycielek wyrównawczego angielskiego w hrabstwie.

— Pan tu rządzi, panie Rook.

— Miło, że to mówisz. Możemy przejść do lekcji?

— Nie rozumie pan. Pan tu RZĄDZI. W przyszłym roku ma tu przyjść mój młodszy brat. Do kogo się zwróci? Do panny Schaumberg? Nie sądzę. Może ta kobieta umie uczyć, nie twierdzę, że nie, ale w tej klasie, z panem, uczyliśmy się nie tylko angielskiego…

— Na Boga, Tarquin, jestem tylko nauczycielem.

— Nie, panie Rook. Jest pan radiolatarnią. Wciskał mi pan masę gówna, o którym nawet nie chciałem słyszeć. Walt Whitman… głupia biała ciota. William Szekspir ma z tysiąc lat i jest z Anglii… kogo to obchodzi? Ale uczył mnie pan także o Theodorze Spencerze i wielu innych rzeczy, które otworzyły mi oczy, jakbym był przedtem ślepy. — Tarquin dźgnął palcem powietrze, a był tak rozemocjonowany, że o mało się nie rozpłakał. — Byłem przedtem ślepy jak Stevie Wonder, tyle że na dodatek biedny. Zanim więc pan odejdzie, chciałbym zacytować wiersz Theodora Spencera, który nam pan czytał.

Ona była wysokiej klasy dziwką i lalunią,

On tańczył, poza tym niewiele umiał,

A jednak prowadzał się z tą wysoką damunią.

Powinienem wiedzieć, Że ta dziwka i ten jej lalunio

Tancerzyk — jak próżniaczy niunio

* Przemowa Abrahama Lincolna, wygłoszona 19.11.1863 roku podczas uroczystości otwarcia narodowego

cmentarza wojskowego na polu bitwy pod Gettysburgiem, w której prezydent powiedział, że wojna secesyjna była

walką o przetrwanie państwa opartego na wolności i równości wszystkich obywateli. Ta dwuminutowa mowa została

wygłoszona po dwugodzinnej oracji Edwarda Everetta, jednego z najsławniejszych mówców tamtych czasów. Choć

ówcześni dziennikarze zbagatelizowali mowę Lincolna, Everett był poruszony słowami Lincolna i pogratulował mu

listownie. Dziś mowa gettysburską jest powszechnie uważana nie tylko za klasyczny wzorzec sztuki oratorskiej, ale

także za jedną z najbardziej poruszających wypowiedzi, wyrażających ducha demokracji.

Tanecznym ruchem próżniaczego trutnia

Stańczy się w piach i wsadzi także w piach damunią.

Próżniacza dziwka z miasta i ten jej lalunio

Tancerzyk — nie, nie, złościć się nie umiem,

Że ci tancerze muszą potknąć się i złamać kark.

Myślę o laluniu i dziwce i nie, złościć się nie umiem.

Na próżniaczą dziwkę i tego jej lalunia

Tancerzyka — jak próżniaczego niania

Co prowadzał się z tą wysoką damunią!

Sypnęli piach i tańczy już nad nimi tylko wiatr.

— Hej! — zawołał Jim, na którym ta deklamacja zrobiła duże wrażenie. — To musi być

pierwszy wiersz, którego nauczyłeś się na pamięć!

— Nauczyłem się go, by panu pokazać — oświadczył buntowniczo Tarquin. — Zawsze

rozumiałem ten wiersz, choć nigdy nie wiedziałem dlaczego, ale w którymś momencie zaskoczył z

czymś innym w mojej głowie. Właśnie to pan dla nas robił: sprawiał pan, że różne rzeczy w

naszych głowach zaskakiwały, a to największy komplement, jaki komukolwiek kiedykolwiek

powiedziałem.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i do klasy zajrzał doktor Friendly.

— Panie Rook… mogę słówko?

— Oczywiście. Moi drodzy, na dwieście dwudziestej pierwszej stronie Amerykańskich poetów XX wieku znajdziecie Elegię Johna Ciardiego. Przeczytajcie ją i kiedy wrócę, powiecie mi, co o niej sądzicie. Interesują mnie wyłącznie oryginalne opinie. Macie już za sobą wszystkie egzaminy i chcę, żebyście zaczęli myśleć na własny rachunek, bo właśnie to was teraz czeka w wielkim, okrutnym świecie, w który się wybieracie.

Kiedy wyszedł na korytarz, doktor Friendly natychmiast objął go ramieniem i popchnął w głąb korytarza.

— James… Jim… wiem, że woli pan, by zwracać się do pana Jim… otrzymaliśmy właśnie bardzo ważną wiadomość.

— Niech pan mówi.

Jim jeszcze nigdy nie widział doktora Friendly'ego w takim stanie. Zazwyczaj zachowywał się zupełnie inaczej i nigdy nie omijał okazji, by dać do zrozumienia, jakim kryminalnym marnotrawstwem czasu i środków publicznych jest próba nauczenia literatury idiotów z nizin społecznych. Był wysokim, patykowatym mężczyzną z szopą poskręcanych siwych włosów i wybałuszonymi oczami. Ponieważ uważano go za dobrego nauczyciela, został rok wcześniej sprowadzony do West Grove Community College w celu uzyskania lepszej średniej wyników nauczania. Ale w jego wykonaniu poprawianie średniej oznaczało często ciche pozbywanie się uczniów najsłabszych i najbardziej potrzebujących pomocy oraz tych, którzy nie byli w stanie zdać żadnego egzaminu.

— James… chodzi o Dennisa Pease'a. Jakieś dwadzieścia minut temu był telefon z wydziału policji.

— Co się stało? Jest ranny?

— Obawiam się, że gorzej, James. Utopił się. Wczoraj wieczorem z grupą przyjaciół poszedł posurfować na plaży stanowej imienia Willa Rogersa i o pierwszej w nocy zgłoszono jego zaginięcie. Ciało zostało wyrzucone na brzeg dziś rano, około szóstej.

— Mój Boże… to nie może być prawda…

— Przykro mi, James. Matka zidentyfikowała go mniej więcej godzinę temu.

— Jezu! — Jimem tak zaczęło trząść, że musiał się oprzeć o framugę drzwi. Dennis Pease był jednym z jego najbardziej obiecujących i najwrażliwszych uczniów. Bardzo ciężko pracował — nie tylko próbując pokonać trudności z czytaniem, ale także szykany ze strony matki—alkoholiczki. Robiła wszystko, by wywołać w nim poczucie winy. Zamiast chodzić do college'u, mógłby zarabiać osiem dolarów na godzinę, pracując w myjni samochodowej albo pakując ludziom zakupy w supermarkecie. Jak mógł kochać matkę, skoro nie dawał jej pieniędzy na wódkę?

— James, jeżeli zechce pan zwolnić klasę na resztę dnia, zrozumiem — powiedział doktor Friendly. — Oczywiście w czasie jutrzejszej akademii z okazji zakończenia roku zrobimy minutę ciszy, a pastor wygłosi odpowiednie kazanie.

Jim pokręcił głową.

— Nie… muszę z nimi o tym osobiście porozmawiać. Nie mogę ich posłać w szoku do domu.

— Cóż… jak pan chce. Ale proszę nie przesadzać z… ckliwościami, dobrze?

— Nie przesadzać z „ckliwościami"? Z ckliwościami?! Utonął ich przyjaciel i kolega z klasy, chłopak, który jeszcze nie skończył dwudziestu jeden lat, a pan mi każe nie przesadzać z ckliwościami?

Doktor Friendly wzruszył ramionami jak popsuty robot.

— Chodzi o to, że… hm… o to, że ma pan czasem skłonność do emocjonalizmu…

— Oczywiście, że zależy mi na emocjonalizmie. Uczę tych młodych ludzi wyrażać swoje

uczucia. Uczę ich, jak mówić światu, co naprawdę myślą. Czego pan ode mnie oczekuje? Chce pan, żebym wrócił do klasy i powiedział: „Chłopaki i dziewczyny, Dennis Pease nie żyje, wracajcie do swoich zajęć”?

Doktor Friendly położył Jimowi dłoń na ramieniu. Jego głos był gładki jak oliwa, wylewana ze świeżo otwartej puszki sardynek:

— James, wie pan, co zawsze w panu lubiłem? Prostolinijność. Nie spotyka się teraz prostolinijnych ludzi. Pan jednak… zajmuje się tą klasą bezmózgich istot jak kandydatami do Princeton. Proszę mnie źle nie zrozumieć… nie robię się sentymentalny, ale kiedy pan odejdzie, będzie mi pana brakowało. To będzie jak obudzenie się i stwierdzenie, że przeziębienie minęło.

— Mogę pana przeprosić? Mam do przekazania bezmózgim istotom złe wieści.

Doktor Friendly skinął głową i uśmiechnął się.

— Ależ oczywiście. Proszę nie zapomnieć im powiedzieć, że zarówno ja, jak i doktor Ehrlichman… łączymy się z nimi w nieutulonym żalu.

Jim ugryzł się w język. Ułożył już w myśli najbardziej złośliwą odpowiedź, jaką był w stanie wymyślić, oczywiście w ulicznym slangu, którego używania zakazywał Washingtonowi Freemanowi III, powiedział jednak sobie: nie. Nic by to nie dało, a doktor Friendly tylko by utwierdził się w przekonaniu, że jego podwładny jest wrogo nastawiony i nie panuje nad sobą. Poza tym byłoby to obraźliwe wobec tragicznie zmarłego ucznia.

— Dziękuję — burknął. — Nie wiem, co zostanie wykute na nagrobku Dennisa, ale wiem, co wykują na pańskim.

— James, niech pan da spokój… bądźmy dorośli.

— Oczywiście. Ma pan rację. Szkoda tylko, że Dennis nie miał okazji dorosnąć.

Doktor Friendly popatrzył na niego ze zmarszczonym czołem. Otworzył usta, zaraz jednak je zamknął. Najwyraźniej nie rozumiał, co Jim ma na myśli — i chyba nie chciał się dowiedzieć.

— Zobaczymy się później, w pokoju nauczycielskim — oświadczył i odszedł wypastowanym korytarzem, piszcząc gumowymi podeszwami. Przed zakrętem zatrzymał się jednak, odwrócił i zawołał: — Niech pan powie… co wykują na moim nagrobku?

— GEORGE FRIENDLY… POMYŁKA W NAZEWNICTWIE* — odparł Jim i wrócił do drugiej specjalnej.

Kiedy przekazywał wiadomość, druga specjalna zamilkła. Po chwili Stella Kopalski zaczęła pochlipywać i zaraz dołączyła do niej Laura Killmeyer. Nawet chłopcy pospuszczali głowy, a ich łzy zaczęły spadać na egzemplarze Amerykańskich poetów XX wieku.

Jim szedł powoli między rzędami ławek i kładł dłoń na każde ramię.

— Dennis był dobrym, spokojnym chłopcem — mówił. — Walczył z wieloma trudnościami, ale był wytrwały i nigdy się nie poddawał. Jego matka, jak większość z was wie, ma problem z alkoholem i raczej nie ułatwiała mu życia. Dennis nigdy jednak nie powiedział na nią złego słowa. Rozumiał, że to choroba, a ona jest jej ofiarą tak samo jaki on. Najsmutniejsze jest chyba to, że miał skończyć szkołę z dobrymi stopniami, które dałyby mu szansę znalezienia pracy, o której

marzył — pracy z ludźmi chorymi i niepełnosprawnymi. Nie był już samotny ani wyizolowany, miał przyjaciół… nie tylko tutaj, w drugiej specjalnej, także poza szkołą. Trudno zrozumieć, dlaczego zabiera się nam kogoś takiego jak Dennis, spróbujmy jednak pomyśleć o chwilach, kiedy sprawiał, że się śmialiśmy i czuliśmy lepiej… dlatego, że żył. Wstał Nestor Fawkes — z tomikiem poezji w dłoni — i powiedział z wahaniem:

— Ten wiersz, panie Rook, który… dał nam pan do przeczytania… jest w nim fragment, który chciałbym przeczytać głośno… dla Dennisa.

— Człowieku… — jęknął Washington Freeman III i pokręcił głową.

— Mów, Nestor — odparł Jim. — To przecież elegia. Chłopak odchrząknął i zaczął recytować:

Miłość w ich ślady podążała, o czym zaświadczą łzy,
Rośli jak trawa smukli, ruchem wpadali ryb
W milczące oceany, gdzie odpoczną,
Ciemni jak mątwy. Drzewom podobni chcieli być
I chociaż minął liści czas, będą żyć.

Nestor miał tak ściśnięte gardło, że ledwie udało mu się skończyć ostatni wers. Wszyscy uczniowie siedzieli z pochylonymi głowami.

— Pomilczmy przez kilka chwil i pomyślmy o Dennisie — powiedział Jim. — Potem chciałbym, żebyśmy się wymienili paroma wspomnieniami i poszli do domu. To był bardzo smutny koniec roku, mam jednak nadzieję, że jutro opuścicie szkołę otwarci na przyszłość i nie żałując przeszłości.

Usiadł za biurkiem i patrzył, jak mija poranek. Uczniowie cicho rozmawiali między sobą, dolatywały do niego strzępki rozmów:

„Pamiętasz, jak niosłem tacę z obiadem, a Dennis podstawił mi nogę? Mielonka i tłuczone ziemniaki poleciały dookoła, a Dottie dostała tiarę z brokułów. To była chyba pierwsza aspołeczna

rzecz, jaką Dennis zrobił w życiu. Skoczyłem na niego, jakbym chciał mu łeb oderwać. On na to: »Sorry, stary, przykro mi, nie wiem, dlaczego to zrobiłem«. Prawda jest taka, że zrobił to, bo chciał przestać się kogokolwiek bać".

* Friendly (ang.) — przyjazny, życzliwy, towarzyski.

„A pamiętacie, jak przyszedł ubrany jak dziewczyna — w blond peruce, wysokich obcasach i w ogóle, bo Ray go nazwał ciotą?".

Jim zamknął oczy. Gdy ci młodzi ludzie rok temu przyszli do jego klasy, byli dziećmi — zarówno emocjonalnie, jak i edukacyjnie — a teraz umieli analizować zachowania nie tylko innych, ale i swoje własne, nauczyli się też wyrażać własne emocje. Był z nich dumny, teraz jednak mógł myśleć tylko o tym, że zgaszone zostało kolejne cenne światło — na długo przed porankiem.

Kiedy szedł przez parking, dogonił go porucznik Harris. Dochodziło południe i słupek rtęci wskazywał czterdzieści stopni. Porucznik miał przerzucony przez rękę brązowy płaszcz, a krawat w żółte paski poluzował „na pół masztu".

— Jim! Możemy chwilę porozmawiać?

— Oczywiście. Właśnie jadę do domu.

— Zwolnił pan klasę?

— Porozmawialiśmy trochę, a potem pozwoliłem im iść. Dennis Pease był bardzo lubianym uczniem. Przyjaźnił się ze wszystkimi… biedny chłopak.

— O to właśnie zamierzałem zapytać. Miał w szkole jakichś wrogów? Ściął się z kimś? Niekoniecznie ze swojej klasy, może z innej?

Jim pokręcił głową.

— Dennis był delikatny jak śmietanka. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek się z kimkolwiek pokłócił. — Zawiesił głos i zdjął okulary. — Dlaczego pan pyta?

— Nie miał nigdy problemów z dziewczynami?

— Nie ma takiej możliwości. Umawiał się od czasu do czasu na randki, ale nie miał nikogo na poważnie.

— Jest pan pewien?

— Poruczniku, uczę angielskiego na poziomie wyrównawczym. Poezji, dramatu, literatury specjalizującej się w wyrażaniu emocji. Moim zadaniem jest nauczanie tych dzieciaków wyrażania uczuć słowami. Jeżeli któryś z nich ma jakiekolwiek problemy natury uczuciowej, to proszę wierzyć —ja pierwszy się o tym dowiaduję.

Porucznik Harris wyjął pomiętą chusteczkę i starł pot z zaczerwienionych zmarszczek na czole.

— Jest ktoś inny, z kim powinienem porozmawiać? Kto był jego najbliższym kumplem?

— Poruczniku, czy coś jest nie tak? Zdawało mi się, że Dennis utonął w czasie surfingu.

— To prawda, ale patolog stwierdził, że na kostkach nóg miał siniaki, co wskazywałoby na to, że wciągnięto go pod wodę… i ściągnięto w dół z dużą siłą.

— Słucham…? Chce pan powiedzieć, że ktoś go zamordował?

— Siniaki na kostkach sugerują taką możliwość. Gdyby powstały na lądzie, oznaczałoby to, że sprawca ciągnął go brzuchem po piasku, co spowodowałoby powstanie ran na kolanach i łokciach, których jednak nie stwierdzono. Możliwe też, że ktoś ciągnął go za nogi w dół na sali gimnastycznej, kiedy wisiał na poręczach…

— Tę ewentualność może pan odrzucić. Dennis nienawidził wuefu.

Porucznik Harris rozejrzał się po rozświetlonym słońcem campusie. Flagi łopotały na wietrze, uczniowie grali w koszykówkę albo siedzieli na trawie. Westchnął.

— Wiek bez obowiązków i bez odpowiedzialności, co?

— Każdy z nich ma jakieś problemy. Czy będę miał odpowiednio dobre stopnie? Co będę robić po opuszczeniu college'u? Dlaczego kapitan drużyny futbolowej nie zwraca na mnie uwagi?

— Ciekawe, jaki był problem Dennisa. I z kim?

— Z kim? Nie mam pojęcia. Czy to jednak nie jest dość skomplikowany sposób zabijania kogokolwiek? No wie pan… ściąganie go w głąb oceanu za kostki? Jak można coś takiego zrobić, samemu nie tonąc?

— Myślę, że da się to zrobić, jeżeli zaskoczy się ofiarę znienacka i spowoduje, że zachłyśnie się wodą. Albo jeżeli umie się samemu przez długi czas wstrzymać oddech. Albo jeżeli ma się sprzęt do nurkowania.

— Kogo pan szuka, poruczniku?

— Nie ma wątpliwości: dobrego pływaka.

— Niech pan da spokój… to dotyczy osiemdziesięciu procent populacji Los Angeles.

— Ten pływak był bardzo silny, ale sądząc po śladach na kostkach Dennisa Pease'a… zrobiła to kobieta.

Mervyn przygotowywał sobie kąpiel. Po posprzątaniu budynku i porobieniu zakupów dla starszych mieszkańców musiał się wymoczyć — przy dźwiękach największych przebojów Cole'a Portera i dużym, rodzinnym opakowaniu malinowego ciasta.

Wieczorami pod pseudonimem Chet Sideways śpiewał satyryczne piosenki w „Slant Club", ale popołudniami lubił być poważny i spędzał czas samotnie. Bardzo niewielu ludzi wiedziało, że jego niesamowite stroje i afektowane zachowanie służą jedynie samoobronie — ochronie prawdziwego Mervyna przed zranieniem. Kiedy miał trzy lata, oddano go do adopcji i spędził pozbawione ciepła dzieciństwo pod opieką przybranych rodziców.

Nie był nawet pewien, czy jest gejem, ale jedynymi ludźmi, którzy go akceptowali i okazywali mu jakiekolwiek uczucia, byli homoseksualni mężczyźni, a jedynymi kobietami, z jakimi się kiedykolwiek zetknął, były zimne i władcze przybrane matki, które ignorowały go, kiedy płakał, i nie całowały go na dobranoc.

Wanna napełniała się dość powoli, podszedł więc do lustra i pęsetą wyrwał sobie kilka włosów

z brwi. Najbardziej lubił, jeśli miały łukowaty kształt, taki jaki u Joan Crawford. Niepokoiło go, że w kącikach oczu zaczynają mu się tworzyć kurze łapki, a szczecina na podbródku siwieje, ale posłał sobie dłonią całusa i mruknął:

— Ty wspaniały szatanie… ty…

W tym momencie usłyszał dolatujący z wanny dziwny bulgot. Odwrócił się i zmarszczył czoło. Woda falowała, jakby ktoś przegarniał ją dłonią, ale poza tym nic się nie działo. Może wzburzyło ją lekkie trzęsienie ziemi, którego nie odczuł? Albo utworzony w czasie nalewania pęcherz powietrza? Zajął się dalej depilowaniem brwi, nucąc *Night and Day*.

Kiedy skończył, rozwiązał pasek jasnego atłasowego szlafroka i powiesił go na kołku, wkręconym w drzwi wejściowe. Zauważył, że są lekko uchylone, choć nie powinny, ale nie zamknął ich. Nikogo się przecież nie spodziewał.

Zanim wszedł do wanny, zważył się. Sto dwadzieścia osiem kilo — półtora mniej niż tydzień temu. Klepnął się z aprobatą po brzuchu. Jeszcze tylko dwadzieścia dziewięć kilo i osiągnie wymarzoną wagę. Rupert Everett — uważaj!

Położył malinowe ciasto na tacy, obok butelki z płynem do kąpieli i kremu do złuszczania naskórka, a potem wszedł do wody, pomrukując z zadowolenia i ulgi. Była to jedyna godzina w ciągu dnia, kiedy mógł się rozluźnić i pomarzyć. Nie musiał się w tym czasie martwić o pracę, o załatwianie sprawunków ani o pachnące indykiem wymioty, które w korytarzu zostawiał pekińczyk pani Laksy.

— „Noc i dzień… — nucił pod nosem. — Jesteście częścią mnie…”.

Opryskał sobie twarz wodą, po czym przetarł frotową rękawicą kark i miejsca za uszami. Jeżeli nie umył się za uszami, jego przybrana matka posyłała go do szkoły bez drugiego śniadania, więc do tej pory to robił — dwa razy dziennie. Doskonale pamiętał, jak okropne jest spędzenie całego dnia w szkole bez jedzenia.

Teraz mógł sięgnąć po duży kawałek malinowego ciasta. Gdy odgryzł pierwszy kęs, poczuł, że w wodzie, pod pianą, coś zadrgało. Było śliskie i umięśnione i pierwszą myślą Mervyna było: WĄŻ! Boże, kiedy nie patrzył, do wanny wślizgnął mu się wielki wąż!

Wrzasnął przeraźliwie, wypluwając ciasto. Złapał za brzeg wanny, by wyciągnąć się z wody, poślizgnął się jednak i plasnął z powrotem do wody, rozchlapując ją po całej łazience.

To nie był wąż, ale coś więcej. Dwa węże! Nie — coś większego od dwóch węży! Zaczął gorączkowo macać pod wodą, próbując znaleźć intruza, by go złapać i wyrzucić z wanny.

Kiedy spojrzał na podłogę łazienki, stwierdził, że woda, którą wychlapał z wanny, wraca po kafelkach w jego kierunku, jakby była namagnetyzowana. Znów złapał za poręcz, zanim jednak udało mu się podciągnąć, woda tuż przed jego twarzą skłębiła się i wyrosła z niej postać. Była uformowana z gorącej, przezroczystej wody i unosiła się z niej para.

Mervyn opadł z powrotem do wanny. Był przerażony. Postać uniosła się nad nim i choć mógł patrzeć przez nią i dostrzegał znajdujące się z tyłu różowe kafelki oraz wpadające przez listewki żaluzji promienie słońca, wyraźnie widział, że ma do czynienia z młodą kobietą.

— Jasna cholera… — jęknął oblepionymi ciastem ustami. — Powiedz mi, że śnię…

Postać unosiła się jednak coraz wyżej, a potem pochyliła się ku niemu. Wiedział, że to nie sen. Na pewno nie był to senny koszmar. Przez kłębiącą się wokół postaci parę majaczyła twarz zjawy. Wpatrywała się w niego szklistymi oczami, jej usta były ściągnięte w dół w wyrazie bezgranicznej nienawiści.

Ponownie spróbował wstać, ale postać pchnęła go do tyłu. Uderzenie było niezwykle silne i Mervyn poczuł się tak, jakby runęła na niego potężna morska fala. Został obrócony plecami do góry. Kiedy chciał podnieść się na kolana, postać uderzyła go kilka razy w plecy, po czym złapała za szyję i wepchnęła mu głowę pod wodę.

— Nnn…ieee… — zabulgotał i szarpnął głowę ku górze, starając się złapać powietrze. Postać

pchnęła go jednak ponownie w dół — z taką siłą, że przycisnęła mu nos do dna wanny. Walczył, kopał i próbował przewrócić się na plecy, ale postać usiadła na nim okrakiem i ścisnęła jego tułów udami. Był zaklinowany w wannie.

Miał otwarte oczy i widział wylatujące ze swoich ust pęcherzyki powietrza. Ujrzał opadającą na dno szczoteczkę do paznokci, która przez chwilę wirowała w wodzie, a potem odpłynęła na bok. Podjął ostatnią rozpaczliwą próbę podniesienia się na ręce i kolana i przez kilka sekund miał wrażenie, że mu się uda. Kiedy uniósł głowę nad wodę, zaczął parskać i prychać, jednak postać złapała go za gardło i ponownie wepchnęła mu głowę pod pianę — z taką siłą, że złamała Mervynowi nos. Woda zabarwiła się na czerwono.

Płuca mu pękały. Zdawał sobie sprawę z tego, że za chwilę połknie pierwszą porcję pachnącej jaśminem wody. Nie mógł uwierzyć, że tak właśnie umrze. Bolały go uszy, a nos pulsował, jakby połamano go na tysiąc kawałków.

— ABBGGBBLLLRRHHH… — wybełkotał i ostatnie pęcherzyki powietrza wyleciały mu z płuc.

ROZDZIAŁ 6

Jim wszedł do holu domu, w którym mieszkał. Pod jedną pachą miał starą teczką z brązowej skóry, a pod drugą dwie torby z zakupami. Nie kupił nic do jedzenia. Po usłyszeniu o śmierci Dennisa przeszedł mu apetyt, ale musiał kupić whiskas dla Tibbles Dwa i płyn do czyszczenia, by w środę, kiedy będzie wylatywał do Waszyngtonu, jego mieszkanie wyglądało nieco mniej brudno i nieporządnie.

Ciągle jeszcze nie miał pomysłu, co zrobić z samochodem. Eldorado miał prawie 14 lat i potrzebował nowych amortyzatorów oraz uszczelki głowicy, Jim nie chciał się jednak z nim rozstawać. Wyprodukowano go w epoce, kiedy samochody musiały przypominać liniowce oceaniczne. Osiem przecinek dwa litra pojemności, prawie sześć i pół metra długości. Może

Mervyn będzie się mógł nim zaopiekować — zawsze był miłośnikiem tak ostentacyjnych rzeczy.

Kiedy mijał mieszkanie przyjaciela, zauważył, że drzwi wejściowe są lekko uchylone. Cofnął się i zapukał.

— Jesteś tam? — zapytał. Wiedział, że Mervyn lubi spędzać popołudnia w samotności, słuchając muzyki, ale to, że zostawił uchylone drzwi, było dość niezwykłe. — Mervyn! To ja, Jim!

Odstawił zakupy i ostrożnie wszedł do mieszkania. W środku stał trzyczęściowy komplet mebli z tapicerką w lamparcie cętki, a ściany były ozdobione plakatami znanych cyrków: Barnum i Bailey, Pindar i Bouglione, Forepaugh i Sells. Byli na nich akrobaci, klowni i piersiaste kobiety ze strusimi piórami we włosach, siedzące na koniach o podobnie wysklepionych piersiach. Na komodzie stało zdjęcie w ramce, przedstawiające kobietę w słomkowym kapeluszu, bardzo podobną do Mervyna. Miała takie same smutne oczy.

Z łazienki dolatywała muzyka Cole'a Portera, ktoś śpiewał *You'd Be So Nice To Come Home To*. Jim postał przez chwilę pod drzwiami, ponieważ jednak nie usłyszał głosu Mervyna, który zazwyczaj też śpiewał, zapukał do drzwi.

— Mervyn? Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Twoje drzwi były otwarte i chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku. — Nie było odpowiedzi, więc zapukał ponownie. — Mervyn? Jesteś w środku? Chyba nie utonąłeś?

Nadal nie było odpowiedzi. Jim pchnął lekko drzwi i zajrzał do mieszkania — mając nadzieję, że nie zastanie Mervyna w wannie albo, co gorsza, na sedesie. Z początku miał wrażenie, że łazienka jest pusta, kiedy jednak wszedł kilka kroków do środka, dostrzegł w wannie krzywiznę przypominających wieloryba pleców.

— Mervyn! Mervyn! Co się stało?!

Mervyn leżał twarzą do dołu w pustej wannie, ściskając w dłoniach zatyczkę. Z nosa kapała mu krew, która ściekała odpływem, wargi miał sine.

Jim spróbował przewrócić go na bok, ale Mervyn był zbyt śliski i ciężki i nie udało mu się go podnieść. Przycisnął palec do jego tętnicy szyjnej, nie mógł jednak wyczuć pulsu.

— Mervyn! — zawołał, potrząsając mokrym ciałem. — Mervyn, słyszysz mnie? To ja, Jim! — Jezu; pomyślał. Jezu, jeszcze tego mi brakowało.

Wrócił do salonu i drżącymi dłońmi podniósł słuchawkę telefonu w stylu madame Pompadour.

— Pogotowie? Mam tu faceta, który utonął we własnej wannie. Nie wiem, jestem tylko sąsiadem. Tak, próbowałem ułożyć go w bezpiecznej pozycji, ale on waży prawie sto czterdzieści kilo.

— Proszę chwilę zaczekać — powiedział nosowy głos po drugiej stronie linii. — Zaraz będzie u pana ekipa ratowników.

Jim zaczął chodzić nerwowo po łazience, od czasu do czasu spoglądając na ogromne, nieruchome ciało i zastanawiając się, jak można utopić się w pustej wannie.

Właśnie zamierzał po raz drugi wykręcić 911, kiedy Mervyn wydał z siebie basowe, zaflegmione kaszlnięcie. Po chwili zakaszlał ponownie i z jego ust wydobyło się głośne westchnienie, jakby przeszkodzono mu w trakcie jakiegoś szczególnie przyjemnego snu. Potem zakaszlał jeszcze raz i uniósł dłoń. Palce zapiszczały, przesuwając się po ściance wanny. Jim ukląkł obok niego i pomógł mu podnieść głowę. Nos Mervyna był tak opuchnięty i czerwony, że wyglądał jak nochal klowna.

— Mervyn… to ja, Jim. Wszystko gra?

— Jim… cześć. Nie żyję?

— Żyjesz. Leżysz w wannie. Co się stało?

— Wodna kobieta. Ta sama, o której mówiliśmy wczoraj w nocy. Chciała mnie zabić. Wyszła prosto z wody i zamierzała mnie zabić.

— Żartujesz sobie ze mnie…

— Wyglądam na skłonnego do żartów? Z początku sądziłem, że to wąż, ale to nie był wąż. Potem złapała mnie za gardło i próbowała utopić.

— Chodź, Mervyn, musisz się stąd wydostać. Wygląda na to, że masz złamany nos.

— A jak mogłoby być inaczej? Trzasnęła moim kulfonem o dno wanny. — Powoli, pojękując i dysząc, Mervyn obrócił się i wylazł z wanny. Jim czekał z szeroko rozłożonym tureckim ręcznikiem i odwróconą głową. — Jesteś aniołem, Jim. Aniołem prosto z nieba. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

— Wezwałem ratowników… zaraz powinni tu być.

— Naprawdę jesteś aniołem. Powinieneś siedzieć po prawicy Boga.

— No, może jeszcze nie teraz. Mervyn… chyba lepiej będzie, jak usiądziesz. Cały drżysz.

— Gdybyś widział to, co ja, też byś drżał. Wyskoczyła prosto z wanny. WWWUMMM! I jak mówiłem, była zrobiona z samej wody. Z gorącej wody.

— Dać ci coś do picia?

— Nie, dziękuję. Wypiłem całą wannę wody. Jezu, byłem pewien, że już po mnie. Gdybym nie wyciągnął zatyczki…

— Coś dziwnego się w tym mieście dzieje — mruknął Jim. — Najpierw mały Mikey, utopiony w zeszłym tygodniu. Dziś rano do szkoły przyszli gliniarze z informacją, że jeden z moich uczniów został utopiony w oceanie. Teraz ty…

— To ta wodna kobieta — powiedział Mervyn. — Jest jak… seryjna topielica.

— Tak to wygląda, no nie? Ale dlaczego Mikey? Dlaczego ty? Nie mam pewności, czy ta wodna postać ma cokolwiek wspólnego z utonięciem Dennisa Pease'a, ale z tego, co mówi policja, wynika, że raczej tak.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi i do środka weszło dwóch ratowników.

— Ktoś się utopił? — spytał pierwszy z nich, duży, ogorzały mężczyzna z gęstymi czarnymi

wąsami.

— Prawie, choć nie całkiem — odparł Mervyn, macając się po nosie.

— Widzę. Ma pan nieźle rozbity nos. Co się stało?

— Miałem… eee… poślizgnąłem się na mydle i uderzyłem nosem w brzeg wanny. — Mervyn popatrzył na Jima, jakby chciał powiedzieć: „Nie komplikuj tego jeszcze bardziej”. Nie darzył zbyt wielką estymą policji i nie zamierzał dopuścić, by zadeptali mu dywan, szukając dowodów istnienia kobiety, której materialna postać spłynęła kanalizacją.

Ratownik usiadł na kanapie, złapał czubkami palców nos Mervyna i zaczął nim poruszać na boki.

— Boli?

— Auu! A jak pan sądzi? Jest złamany w pięćdziesięciu ośmiu miejscach!

— Uderzył się pan w głowę? Stracił pan przytomność?

— Nie wiem… może byłem nieprzytomny minutę albo dwie.

— W porządku. Niech się pan ubierze, zawieziemy pana na urazówkę.

Jim pomógł Mervynowi wstać.

— Chcesz, żebym z tobą pojechał? — spytał.

— Nie, nie trzeba. Nic mi nie będzie. Naprawdę. Ten przystojny młody człowiek na pewno odpowiednio się mną zajmie, prawda? — Przyjrzał się uważniej ratownikowi i zagadnął: — Był pan kiedyś w „Village People”? Nie, chyba nie. To nie z pańskiej epoki.

Zanim wyszli, położył dłoń na ramieniu Jima i konfidencjonalnie szepnął mu do ucha:

— Chyba rozumiesz, że te wszystkie sprawy są ze sobą powiązane… moja, tego twojego ucznia i małego Mike’a.

Jim doskonale wiedział, co Mervyn ma na myśli, ale odparł:

— To może być tylko przypadkowa zbieżność.

— Może, jednak na twoim miejscu uprzedziłbym każdą osobę, na której ci zależy, żeby nosiła kamizelkę ratunkową… nawet pod prysznicem.

Jim pojechał do domu Susan Silverstone przy Franklin. Kiedy zadzwonił do drzwi, nikt nie zareagował, ponieważ jednak zza domu dolatywały głosy, zaczął się przedzierać przez gęste podzwrotnikowe rośliny, aż wyszedł na podwórko z pluskającą fontanną.

Susan miała na sobie obcisłe dżinsy z czarnego aksamitu, sweterek z jedwabiu i czarne sandały. Przesadzała paprocie i robiąc to, rozmawiała z nimi.

— No, mój mały liściasty przyjacielu… jak ci się podoba ta granatowa doniczka?

Na ogrodowej huśtawce, trzymając między udami puszkę piwa, siedział młody mężczyzna w dżinsach i podkoszulku z napisem NIRWANA. Daszek huśtawki był tak zarośnięty bluszczem, że Jim nie widział jego twarzy. Młodzieniec leniwie odpychał się w przód i w tył bosą stopą.

— Susan? Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — powiedział Jim. — Próbowałem złapać cię na komórkę, ale była wyłączona.

— Często ją wyłączam — odparła Susan i wstała. Jej kruczoczarne włosy były związane białą tasiemką. — Już rozmawianie ze zmarłymi jest utrapieniem, a co dopiero z żywymi…

— Wrócił — oświadczył Jim. — Ten wodny duch czy jak go tam nazywasz. — Opowiedział o Mervynie i przypuszczeniu porucznika Harrisa, że Dennis Pease został utopiony.

— Wiedziałeś, że paprocie są dwupłciowe? — spytała Susan, wyjmując kolejną roślinę z doniczki. — Kiedy paproć chce się rozmnożyć, uprawia seks sama ze sobą. Nie uważasz, że to znacznie mniej skomplikowane od naszego sposobu? I tańsze. Nie muszą się zabierać do kina… — Przerwała, po czym powiedziała: — Ten duch szuka zemsty.

— Zemsty? Jakiej zemsty? Za co?

— Przykro mi, Jim. Może i jestem jasnowidzką, ale nie mam pojęcia. Jedyny sposób, by się tego dowiedzieć, to go zapytać… ale ponieważ jest bardzo złośliwy, możesz mu się narazić. Jeśli jednak

topi ludzi jednego po drugim, robi to z jakiegoś powodu. Duchy rzadko dokonują przypadkowych aktów destrukcji. Nawet poltergeist rzuca talerzami z jakiegoś powodu… choć nie zawsze łatwo ten powód odkryć.

— Pomożesz mi? Jak wiesz, nawet nie znałem małego Mikeya, ale znam jego matkę. Dennis Pease był moim uczniem, a Mervyn jest dla mnie jak brat. Cóż… może bardziej jak siostra, ale w każdym razie jesteśmy sobie bliscy.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała Susan. Jej twarz zdawała się jarzyć w cieniu podwórka.

— Chce powiedzieć, że wszystkie trzy incydenty dotyczą osób, które zna — odezwał się siedzący na huśtawce młodzie— nieć. — Martwi się więc, że jeśli dojdzie do kolejnego… zginie ktoś następny, kogo zna, i bardzo chciałby tego uniknąć.

— Znam ten głos! — zawołał Jim. Podszedł do huśtawki i uniósł daszek. Siedział pod nim przystojny młodzieniec, ostrzyżony na jeża i ufarbowany na blond. — Michael Tosca, rocznik dziewięćdziesiąty piąty. Pan Werbalne Rozwolnienie. Susan, ten chłopak siedział w mojej klasie w pierwszej ławce, a kiedy otwierał usta o dziewiątej rano, zamykał je dopiero o wpół do piątej po południu. Co tu robisz, Michael?

— Pracuję dla panny Silverstone, panie Rook. Jestem jej sekretarzem, osobistym asystentem, kierowcą, ochroniarzem, ustalam terminy, kupuję tofu, gotuję, czyszczę orientalne dywany i poleruję kryształowe kule.

— Zdawało mi się, że zamierzałeś zająć się polityką.

— I zająłem się, nie mogłem jednak znieść oszustw, łapówkarstwa, robienia karier przez seks i hipokryzji. Poza tym to kiepsko płatna profesja. Nie ma w tym szmalu. Pewnego razu spotkałem na przyjęciu Susan i… cóż…

— I… cóż… co? Czekam z zapartym tchem.

— To już całkiem inna historia — wtrąciła się Susan. — Ale jeśli chcesz wiedzieć, Michael nauczył się panować nad swoją gadatliwością… prawda, Michael?

— Tak. Raz na jakiś czas spędzam cały dzień nie mówiąc ani słowa. To bardzo odświeża umysł, poza tym pozwala na stosowanie środków wyrazu, na które normalnie człowiek by się nie odważył.

Jim wyciągnął w jego kierunku palec.

— Nie mów! To ty jesteś tym ohydnym mimem… jak on się nazywa? Medlar Tree…

Michael uśmiechnął się.

— Trafione, panie Rook. Nikt nigdy nie zamydli panu oczu, prawda?

— Nienawidzę mimów. Dlaczego, twoim zdaniem, ludzie nauczyli się mówić? Gdybyśmy ze sobą nie rozmawiali, równie dobrze moglibyśmy być małpami.

— Małpy są super.

— Oczywiście, ale chyba nie chciałbyś spędzić całego popołudnia, gadając z bandą orangutanów?

— Nie wiem. Powinien pan poznać paru moich kumpli.

Susan podeszła do Jima i wzięła go pod rękę.

— Coś ci powiem. Michael uratował mi kiedyś życie… nikt inny się mną wtedy nie zainteresował. Nie wiem, czego go uczyłeś w szkole, ale zawsze liczy się z ludźmi. Jest bardzo łagodnym, dobrym człowiekiem.

— Zadziwiasz mnie — mruknął Jim. — Zawsze uważałem go za cwaniaczka pierwszej wody.

— Nawet tak napisał w moim świadectwie — stwierdził Michael z krzywym uśmieszkiem.

— Powinniśmy zrobić kolejne namierzanie ducha na plaży… tam, gdzie zginął ten drugi chłopak — oświadczyła Susan. — Jak on się nazywał? Dennis? Kiedy to zrobimy, będziemy przynajmniej wiedzieli, co się stało.

— Cóż… to zależy od ciebie. Nie chciałbym cię na nic narażać.

— Sądzę, że poradzę sobie z wodnym duchem. Jesteśmy przecież na tym świecie po to, aby sobie pomagać, prawda? I chronić się nawzajem przed wpływami zaświatów.

Jim popatrzył na zegarek.

— Jeszcze przez jakiś czas będzie widno. Może powinniśmy od razu jechać na plażę?

Jim zawiózł ich na plażę stanową imienia Willa Rogersa, zaparkował i poszli przez piasek. Słońce świeciło im w oczy, było wietrznie, ale ciepło.

— Utopił się gdzieś tutaj, na tej wysokości — poinformował Jim Susan i Michaela. — Zdaniem przyjaciół był bardzo sprawny fizycznie, uwielbiał surfing i nigdy nie pił więcej niż dwa piwa.

Susan przez chwilę stała nieruchomo, z zamkniętymi oczami.

Potem zdjęła sandały, podała je Michaelowi i podeszła do skraju wody. Jim poszedł za nią i czekał obok.

— Coś tu jest… jakiś zapach — powiedziała, wpatrując się w migoczący ocean. — Czuję go.

— Ja nic nie czuję.

— Na pewno czujesz. Jesteś tak samo wrażliwy jak ja. Popatrz na światło, posłuchaj mew. Wołają do ciebie, mówią, że coś się tutaj stało, coś tragicznego.

Mewy tak szalały, że nietrudno było uwierzyć Susan. I choć po brzegu biegały śmiejące się dzieciaki i szczekające psy, w powietrzu wisiało coś mrocznego. Może było to wynikiem tego, że kończył się kolejny dzień, ale przecież utonął tu Dennis Pease — odszedł minionej nocy, by nigdy nie powrócić.

Michael otworzył torbę, którą niósł na plecach, i Susan wyjęła z niej swój kryształ. Uklękła, ustawiła go na podstawce i zakręciła nim. Po chwili kryształ pochwycił promienie słońca i po piasku zatańczyły różnokolorowe diamenty. Jakaś dziewczynka zatrzymała się i zaczęła przyglądać się temu z fascynacją, a tuż obok niej stanął jamnik, który jeszcze przed chwilą

szczekał, kłapał zębami i próbował złapać swój ogon — i wlepił w kryształ czarne, przypominające paciorki ślepia.

Jim nie był pewien, co się dzieje. Może po prostu zachodziło słońce, ale powietrze pociemniało, a niebo nabrało intensywniejszej barwy. Dźwięk przyboju stał się ostrzejszy, jakby tuż obok skrobano coś papierem ściernym. Mewy zacieśniły krąg i krążyły tuż nad ich głowami — jakby migoczące wokół kryształu światło przyciągało je jak magnes.

Nad samym brzegiem Jim ujrzał sześć albo siedem chłopięcych postaci, których kontury podrygiwały i zanikały jak na bardzo zniszczonym filmie. Chłopcy śmiali się i kopali w wodę, ochlapując się nawzajem. Dwóch z nich wzięło deski surfingowe i ruszyło w fale. Jeden miał długie włosy, związane bandaną, i duży nos. Jego sylwetka była ledwie widoczna, ale Jim wiedział, że to Dennis Pease.

— Nie rób tego, Dennis… — wyszeptał, choć zdawał sobie sprawę, że to daremny trud. Gdyby istniał sposób na cofnięcie czasu do wczorajszego wieczoru… Obraz beztroskiego Dennisa szedł dalej ku wodzie, a Jim słyszał głos chłopaka, który coś krzyczał i śmiał się. Dennis zawsze był takim bystrym, trochę dzikim, pełnym entuzjazmu młodym człowiekiem, gotowym na wszystko.

— Nigdy się nie przyzwyczaję do tego namierzania duchów, to takie dziwaczne… — powiedział Michael. — Popatrz tylko: widzimy to, co się stało wczoraj wieczorem, było, minęło, a oni są tu znowu. Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy po śmierci wreszcie odpocznie, czy też spędzi całą wieczność na przeżywaniu swojego życia wciąż na nowo i na nowo, jakby się kręcił w niekończącej się spirali.

— Nie wiem — odparł Jim, obserwując uważnie ocean. Fale były niemal zupełnie czarne. Widział unoszącego się na kolejnych spienionych falach Dennisa, który wiosłował rękami, coraz bardziej oddalając się od brzegu. „Dennis, nie rób tego”, powtarzał w myślach. Dennis już to jednak zrobił, a jego zwłoki leżały w kostnicy West Grove.

Susan wygięła plecy i patrzyła prosto w niebo.

— Pokaż się! — rozkazała. — Wiem, że tu jesteś! Dlaczego się nie pokażesz?

Wiatr zaczął się nasilać i zwiewać z grzbietów fal pianę, jednak Dennis i jego przyjaciele wypływali coraz dalej i dalej w ocean. Jim słyszał, jak się nawołują i pogwizdują do siebie.

— Może to był tylko wypadek — mruknął. — W takim przyboju każdy może utonąć.

Susan odwróciła się do niego, jej bladą twarz rozjaśniały wielokolorowe błyski kryształu.

— Zaczekaj — powiedziała. — Coś tu jest. Czuję to. Zbliża się z północnego wschodu i nadchodzi bardzo szybko.

— Czujesz to?

— Jest jak wiatr. Weź mnie za rękę, Jim, już prawie tu jest. Chcę, żebyś mówił, co widzisz.

Kiedy zjawa się pojawiła, Jim zesztywniał. Biegła po piasku — tak jasna i szybka, że ledwie mógł ją dostrzec. Była to młoda kobieta, niemal całkowicie przezroczysta. Pędziła w kierunku oceanu, a włosy unosiły się za nią jak dym.

— Jest tutaj! — zawołał do Susan, pociągając ją za rękaw. — Na Boga, nie możemy jej powstrzymać?

Susan wpiła paznokcie w dłoń Jima. Michael obserwował ich dziwnym, zaborczym wzrokiem. Kiedy Jim na niego spojrzał, natychmiast odwrócił głowę i zaczął patrzeć na fale.

Dennis wypłynął już tak daleko, że Jim ledwie widział czubek jego czerwonej, błyszczącej deski i obwiązaną bandaną głowę. Wyraźnie jednak widział wodną kobietę, płynącą w kierunku chłopaka. Pozostawiała na wodzie ślad — zapalała szczyty fal i zostawiała za sobą podobny do strzały kilwater, fosforyzujący i migoczący zielenią oraz szafirowym błękitem. Płynęła prosto jak torpeda i niemal tak samo szybko, tak że kiedy znalazła się bardzo blisko Dennisa, wcale jej nie dostrzegł. Dlaczego zresztą miałby ją dostrzec? Kto się spodziewa, że nagle podpłynie do niego niewidzialna kobieta?

Dennis musiał jednak w końcu coś wyczuć, bo odwrócił głowę, mocniej złapał krawędź deski i zawołał:

— Chłopaki! Wszystko w porządku? Co się dzieje?

W tym momencie fosforyzujący ślad wodnej kobiety zanurzył się pod wodę i Dennis mógł widzieć jedynie przesuwające się daleko w głębi światełko. Przez długą chwilę nic się nie działo, a potem z wody wyprysnęło ramię utworzone z wody — i gwałtownie spadło na twarz Dennisa.

— Ratunku! — wrzasnął. — Vinnie, pomóż mi! Tonę! Vinnie, ratunku! Coś ściąga mnie na dół!

Jego przyjaciel odwrócił głowę, ale zagłębienia między falami były głębokie i nic nie widział. Stojący na brzegu Jim zobaczył krąg na wodzie, kurczący się gwałtownie, gdy duch ściągał Dennisa w głąb. Znowu przez jakiś czas nic się nie działo, po czym z oceanu wystrzeliła czerwona deska surfingowa Dennisa — niemal pionowo, jak rakieta. Jim zrzucił buty i zaczął rozpinać guziki koszuli.

Susan przytrzymała go za rękę.

— Jim… niczego tu nie ma. Wygląda realnie, ale to tylko złudzenie optyczne. Dennis nie żyje. Jeśli wypłyniesz, niczego nie znajdziesz. Ani Dennisa, ani ducha. Deski też nie.

Przysunęła dłoń do wirującego kryształu i zaczekała, aż się zatrzyma. Potem podniosła go i podała Michaelowi, który schował go do czarnej plecionej torby. Jim znów dostrzegł w jego oczach coś dziwnego — jakby chłopak go ostrzegał.

— Przykro mi, Jim… — powiedziała Susan. — Twój uczeń został utopiony przez tego samego wodnego ducha, który utopił Mikeya. I ten sam duch chciał utopić Mervyna.

— Ale dlaczego? O co mu chodzi?

— Nie wiem. Nie jest to manifestacja etniczna, jak w przypadku ducha indiańskiego. Duchy etniczne bywają bardzo silne… zamiast utopić pojedynczego ucznia, raczej zalałyby wodą całe miasto. Nie jest to także zwykły duch, ponieważ taki duch nie byłby w stanie użyć wody do

przybrania fizycznego kształtu. Duchy to tylko dym i lustra, są jedynie sugestią. Zimnymi miejscami, zapachami, przemieszczonymi przedmiotami… Są oczywiście dość przerażające, ale raczej nie robią poważnych szkód.

— Więc to kolejna legenda miejska, jak ta o stercie śmieci, która ożyła i udusiła starca w Encino?

— Tak sądzę. To, z czym mamy do czynienia, jest podobne do Autostopowicza, Blair Witch albo faceta, który bez przerwy siedział w fotelu, by pieścić kobietę, z którą kochał się za każdym razem, kiedy na nim siadała. Ale nie wszystkie duchy są dziwaczne i nie wszystkie są złe — niezależnie od tego, co na ten temat sądził H. P. Lovecraft. Co dzień pojawiają się nowe — za każdym razem, kiedy wydarzy się coś okropnego: morderstwo, katastrofa samochodowa, samobójstwo. Zazwyczaj nie robią nikomu krzywdy, ale… od czasu do czasu pragną się zemścić za to, co skróciło im życie.

— Co dalej? Jak się dowiemy, czym jest ten wodny duch?

— Chyba złożymy wizytę Davidowi DuQuesne. Jest ekspertem w tych sprawach. Prawdopodobnie będzie cię to trochę kosztować.

— Nieważne. Chcę się dowiedzieć, jak powstrzymać tego stwora, zanim skrzywdzi jeszcze kogoś z mojej klasy.

— W porządku… zobaczę, co się da zrobić. Kiedy ostatni raz o nim słyszałam, mieszkał gdzieś w Topanga Canyon. Mam paru przyjaciół, którzy powinni wiedzieć, gdzie go szukać.

Jim podwiózł Susan i Michaela do Franklin Avenue. Susan, zanim wysiadła, wzięła go za rękę i pocałowała w usta.

— Zadzwonię zaraz po tym, jak skontaktuję się z Davidem DuQuesne — obiecała.

Jim odchylił do przodu siedzenie pasażera, by wypuścić Michaela.

— Co ci chodzi po głowie? — spytał chłopaka. — Patrzyłeś na mnie na plaży dosyć

dziwacznie…

— Chcę tylko, żeby pan był ostrożny.

— Nie rozumiem…

— Mówię o Susan. Chciałbym, by pan utrzymał ten układ na czysto zawodowej płaszczyźnie. Jest jeszcze bardzo słaba psychicznie.

— Na moje oko wygląda dość stabilnie.

— Wcale tak nie jest.

— W porządku, ale uwierz mi, niczego takiego nie planowałem. Jestem związany z kimś innym.

— Mnóstwo facetów tak mówi, a jej trudno się oprzeć.

Jim uruchomił silnik.

— Może powinieneś pozostać przy pantomimie — mruknął. — Nikt nie wygra z przeznaczeniem.

— Mądrej głowie dość po słowie. Nie wie pan, w co się może wpakować.

Jim odjechał, zostawiając Michaela na chodniku. Nie bardzo wiedział, przed czym jego dawny uczeń chciał go ostrzec. Susan była bez wątpienia atrakcyjna — w dziwny, nieziemski sposób. Miała w oczach coś, co sprawiało, że podejrzewał, iż była w miejscach, w które zwykła dziewczyna nie odważyłaby się udać, i myślała o sprawach, o których nie śmiałaby pomyśleć przeciętna kobieta — była to jednak jak zimna, czysta atrakcyjność księżyca. Jego serce w dalszym ciągu należało do Karen — nawet jeśli nie będzie chciała pojechać z nim do Waszyngtonu.

Zaczął śpiewać *Black Magic Woman* Santany, ale po kilku przecznicach zamilkł.

ROZDZIAŁ 7

Następnego poranka podczas szkolnego apelu dyrektor doktor Ehrlichman wygłosił prostą i wzruszającą mowę dla Dennisa i jego rodziny i nawet doktor Friendly wyjął chusteczkę.

Po modlitwach na mównicę wyszedł Jim.

— Zawsze kiedy tracimy kogoś bliskiego, wątpimy w naturalną sprawiedliwość świata, na którym żyjemy. Wielu ludzi uważa, że nie istnieje coś takiego jak naturalna sprawiedliwość. Uważają, że jedyne, co możemy zrobić, gdy opuszcza nas taki przyjaciel jak Dennis, to opłakać go, a potem pozbierać kawałki, na jakie rozpadło się nasze życie, i żyć dalej… Ja jednak nie podpisuję się pod tym. Uważam, że w świecie istnieją siły dobra i siły zła i kiedy wydarza się coś tragicznego, jak na przykład przedwczesne odejście ucznia, należy znaleźć zło, które to spowodowało, stanąć mu naprzeciw i zniszczyć je. Jak wiecie, policja podejrzewa, że Dennis mógł zostać utopiony, i prowadzi w tej sprawie śledztwo. Jeśli o mnie chodzi, zrobię co w mojej mocy, by dowiedzieć się, co się naprawdę stało. A was wszystkich proszę, żebyście obiecali mi jedną rzecz, zanim rozjedziecie się na wakacje… chcę, żebyście byli szczególnie ostrożni, pływając albo zbliżając się do wody. Nie wiem jeszcze dokładnie, co się stało, ale jeszcze komuś spośród was może grozić utonięcie.

Do mównicy podszedł doktor Ehrlichman i zakrył dłonią mikrofon.

— Jim… co ty opowiadasz tym dzieciakom?

— Doktorze Ehrlichman, trzeba ich ostrzec. Może to brzmi dziwnie, ale proszę mi uwierzyć, każdy z tych uczniów jest zagrożony.

Uczniowie zaczęli szurać nogami i pomrukiwać. Doktor Friendly pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Proszę, oto kolejny pokaz dziwactwa pana Rooka” — i zademonstrować, że nie może doczekać się końca dnia.

— W każdym razie powiedziałem, co musiałem — dodał Jim. — Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym jeszcze poświęcić kilka słów Dennisowi.

Doktor Ehrlichman westchnął teatralnie.

— Oczywiście, Jim… to twoje prawo, mam jednak nadzieję, że to, co zamierzasz powiedzieć,

ma sens.

— Na pewno. Przypomnę moim uczniom wiersz Kathleen Raine. Był jednym z ulubionych wierszy Dennisa. — Jim podszedł ponownie do mikrofonu, powiedział krótko: — Dla Dennisa — i zaczął recytować:

Z wiecznej wiosny nadziei

Kiedyś strumień mej wody wypłynął.

Rosa, mech, paproć i kielichy kwiatów,

Dolina, lato, drzewa, słońca blask,

Wszystko wyrosło, lecz odeszło w dal.

Nadeszła wiosna i znów jestem w dolinie,

Nikogo wokół, tylko śpiewny strumień płynie;

Nie chcę uwierzyć, że mam oddać cześć,

Witać cienistą śmierć, co przyszła mdła,

Gdzie woda nadziei wzbiera i gra…

Siedząca na balkonie w głębi Dottie Osias rozpłakała się głośno. Wielu innych uczniów również płakało. Jim zszedł z mównicy i odmówił w milczeniu modlitwę, prosząc Boga, by nigdy więcej nie spotkało go nic podobnego.

Druga specjalna była bardzo przygnębiona. Wszystkich poruszyła nie tylko śmierć Dennisa, ale także smutny fakt, że opuszczają szkołę i rozstają się ze sobą. Początek roku był heroiczną i pełną łez walką o pokonanie trudności w czytaniu, poprawę katastrofalnej ortografii i likwidację problemów z koncentracją — nie wspominając już o wynikającej z tych wszystkich trudności izolacji społecznej. Niedobrze, jeśli dziewczyna jest tak ładna jak Stella Kopalski i nie wie, czym się różni „konto” od „kondomu”. Jim dał im największy dar, jaki mogli otrzymać: zdolność wyrażania myśli i uczuć oraz umiejętność mówienia dokładnie tego, co się chce powiedzieć.

Washington Freeman III odchylił do tyłu krzesło i zaczął przesuwać tam i z powrotem wykałaczkę w ustach.

— Co to miało znaczyć… to, co powiedział pan w auli, panie Rook? O trzymaniu się z dala od wody i ten inny syf?

— Washington, jesteś tu ostatni dzień. Na ostatniej lekcji wyrównawczego angielskiego. Mógłbyś po raz ostatni spróbować nie kończyć zdania zwrotem „i ten inny syf?

— Zrobię, co się da, panie Rook, sam pan jednak wie, jakie to trudne, jeżeli praktycznie każdy w całym znanym wszechświecie ciągle mówi „syf.

— Niech się pan nie przejmuje tym, co mówi Washington, panie Rook — wtrącił Tarquin, który miał okulary przeciwsłoneczne o szkłach w kształcie oczu osy i nosił błyszczący czarny podkoszulek, dzięki czemu wyglądał jak skrzyżowanie Steviego Wondera i gigantycznego owada.

— Jedyną robotą, jaką kiedykolwiek uda się zdobyć Washingtonowi, jest sprzątanie w McDonaldzie… więc jakie inne słowa będą mu potrzebne?

— Będę sprzedawcą w salonie corvetty, głupcze — odpalił Washington. — Nie wiem o corvettach tylko tego, co nie zostało jeszcze wymyślone.

— Kogo to obchodzi? O corvettach powinieneś wiedzieć tylko tyle, że nigdy żadnej nie będziesz miał.

Joyce Capistrano bawiła się wyrwaną z zeszytu kartką. Nie potrafiła usiedzieć dłużej niż dziesięć minut, nie robiąc z papieru kwiatów, laleczek albo wydzieranek. Nie była szczególnie ładna, miała jednak duże, rozmarzone, brązowe oczy i błyszczące ciemne włosy oraz była jedną z najmilszych osób, jakie Jim poznał przez wszystkie lata nauczania. W ciągu minionego roku pomógł jej pokonać niemal paraliżującą nieśmiałość i powolność w mówieniu, która sprawiała, że cała klasa ryczała i waliła głowami w ławki, by ją zmusić do szybszego skończenia zdania.

Jim nigdy nie podchodził do drugiej specjalnej z jakimś szczególnym sentymentalizmem.

Każdy uczeń, który się jąkał, musiał się liczyć z dokuczaniem i przedrzeźnianiem. Każdy uczeń, który nie odróżniał „b” od „d”, musiał ciągle pisać na tablicy bed*, podczas gdy reszta klasy darła się: be!… ee!.” de! Nigdy jednak nie mieli do niego o to żalu, wiedzieli bowiem, że mają poważne problemy w porozumiewaniu się i dostali ostatnią szansę, by sobie z nimi poradzić.

Wiedzieli także z osobistego doświadczenia, że nikt na świecie nie będzie ich traktował ulgowo.

— Naprawdę czymś się pan martwi, panie Rook, prawda? — powiedziała Joyce.

— Tak, Joyce, martwię się.

— Chodzi o coś takiego jak lód, który mieliśmy w basenie? Kiedy utonęła Susie Wintz?

— Nie całkiem, ale to też coś bardzo dziwnego i bardzo groźnego.

— Wszystko będzie dobrze. Jutro zaczynają się wakacje.

* Bed (ang.) — łóżko.

— Tym się właśnie martwię. Zakończenie szkoły nie oznacza, że to coś odejdzie.

— A co to dokładnie jest? — spytał Christophe l’Ouverture.

Jak zwykle, był ubrany w elegancką koszulę z krótkim rękawem — dziś w kolorze truskawkowym — z dopasowanym do niej jedwabnym krawatem. Jeśli chodziło o strój, Christophe zawsze był niezwykle wybredny. Włosy miał poskręcane w dredy.

— Nie mogłem tego powiedzieć przed całą szkołą, doktor Ehrlichman i tak już sądzi, że zwariowałem, ale jak wiecie, mogę widzieć różne rzeczy…

— Duchy i inny syf — podpowiedział Washington.

— Zgadza się, Washington. Duchy i inny syf. Badałem utonięcie Dennisa, a także utonięcie pewnego chłopca o imieniu Mikey, syna mojej byłej uczennicy, Jennie Bauer… Wczoraj o mało nie utonął mój sąsiad i powiedział, że widział, jak z wody w wannie wyszła postać, utworzona wyłącznie z wody, i próbowała go utopić. Byłem na plaży stanowej imienia Willa Rogersa, gdzie utonął Dennis, i przy basenie, w którym utonął Mikey, i na własne oczy widziałem tę postać.

Należałoby ją chyba nazwać wodnym duchem… nie wiem.

— Wodnym duchem? — powtórzyła Dottie. — Ma pan na myśli syrenę?

— Nie wiem. Może właśnie z czegoś takiego wzięły się legendy o syrenach? Nie bardzo interesują mnie mity i legendy… niepokoi mnie natomiast fakt, że ten wodny duch próbuje zaszkodzić ludziom, którzy są mi bliscy: moim przyjaciołom i uczniom. Nie mam pojęcia, dlaczego to robi, ale kocham was wszystkich i nie chciałbym, by komukolwiek coś się stało. Dlatego postanowiłem was ostrzec i poprosić, żebyście byli bardzo ostrożni, kiedy będziecie się zbliżali do wody… do oceanu, basenu, wanny, każdego miejsca, gdzie jest woda. Wszystko wskazuje na to, że ten duch umie przyjmować postać materialną w każdym miejscu, w którym jest wystarczająca ilość wody.

— O rany! — zawołała Laura Killmeyer, znana z tego, że spacerowała po campusie z czarnym kotem na smyczy i recytowała fragmenty Fausta oraz Codex Daemonicus. Porzuciła zamiar zostania zawodową wiedźmą po tym, jak spróbowała zastosować szczególnie skomplikowane zaklęcie miłosne wobec kapitana drużyny lekkoatletycznej i następnego dnia odkryła, że zaręczył się z rudą kapitanką zespołu cheerleaderek. Przestała nosić wokół głowy nanizane na sznurek rzymskie monety i malować rzęsy tak, by wyglądały jak czarne owłosione pająki, nadal jednak interesowała się okultyzmem. — Wodny duch! Jeszcze nigdy o czymś takim nie słyszałam!

— Jeśli mam być uczciwy, ja też nie, ale widziałem go… a raczej ją, bo to dziewczyna. Widziałem ją, jak wychodziła z basenu Mikeya, i drugi raz po utonięciu Dennisa. Naprawdę boję się o was. I w dodatku podejrzewam, że to wszystko z mojej winy — choć nie wiem dlaczego.

— Hej, człowieku, nie obwiniaj się — powiedział Tarquin. — Nigdy nas pan nie opuścił, nawet kiedy pan Friendly próbował nam wmówić, że jesteśmy matoły. Jeżeli pan mówi, że widział wodnego ducha, to wierzymy, że taki duch istnieje, i przez wakacje będziemy się trzymać z dala od wszelkiej wody, naprawdę.

— Daj spokój… — przerwał mu Washington. — Chcesz powiedzieć, że przez całe lato nie weźmiesz ani razu prysznica?

— Tego nie powiedziałem. Prysznic to co innego. Słyszałeś, żeby ktoś utonął pod prysznicem?

— Utonąć można nawet w centymetrze wody — oświadczył Jim. — Spytajcie siostrę Andrews, to wam powie. Jeżeli wciągnie się do płuc wodę, spienia się w nich śluz i uniemożliwia oddychanie.

— Bez jaj!

— Nie, Washington. Kiedy masz w płucach pianę, możesz się udusić. W każdym razie — jak powiedziałem — bądźcie bardzo ostrożni i nie idźcie pływać, nie mając pewności, że to bezpieczne. Mam nadzieję, że nie popsułem wam lata, ale gdyby ktoś z was się utopił, miałby jeszcze bardziej popsute lato. — Rozejrzał się po klasie. Będzie mu brakowało tego pomieszczenia i wszystkich twarzy, które tu widywał, i oczu, wpatrujących się w niego z oczekiwaniem. — Chciałbym, żebyście zrobili dla mnie jeszcze jedną rzecz… Ucieszyłbym się, gdyby każde z was napisało czterowersowy wiersz. Temat nieistotny, najważniejsze, żeby was w jakiś sposób określał… żeby mówił, kim jesteście. I popodpisujcie się. Chciałbym stąd odejść, mając coś więcej niż tylko wspomnienia. — Ruszył między szeregi ławek. Po chwili zatrzymał się i zapytał: — Gdzie Dottie? Czy ktoś widział Dottie?

— Poszła pobiegać — odparła Laura. — Przed lekcją zawsze biega. Jej dietetyczka powiedziała, że to jedyny sposób, by rozwiązała problem z nadwagą.

— Problem z nadwagą…? Nie wiedziałem, że Dottie ma problem z nadwagą.

— Jej się wydaje, że ma. To tak samo, jakby naprawdę miała problem z nadwagą.

— Ledwie zdąży. Semestr oficjalnie kończy się za godzinę.

— Mam jej poszukać? Pewnie jest już pod prysznicem.

Jim pokręcił głową.

— Nie trzeba. Jeżeli nie starczy jej czasu na napisanie dla mnie wiersza, poproszę, by przysłała mi pocztówkę.

W klasie zapadła cisza. Zmarszczono czoła, zagryziono wargi i zaczęto drapać się po głowach. Tylko Nestor Fawkes zachowywał się spokojnie — choć był jednym z najmniej utalentowanych uczniów. Tarquin strzelał palcami, jakby pisał coś rapowego (prawdopodobnie tak też właśnie było), a Stella wzdychała do kartki papieru, jak wzdychają rodzice nad nieposłusznym dzieckiem.

Jim zaczął pisać list do Karen — podejmując ostatnią próbę przekonania jej do zmiany zdania.

Karen, pokrewną duszę spotyka się raz w życiu. Jak napisał Victor Hugo: „Jeżeli dwie dusze, które tak długo szukały się w ludzkim tłumie, wreszcie się znajdą, powstaje między nimi wieczny związek, płomienny i czysty jak one same — związek, który rozpoczyna się na Ziemi i trwa po wsze czasy w Niebie". Albo — jak mam nadzieję w naszym przypadku — w Waszyngtonie.

Nagle na korytarzu zadudniły głośne kroki. Otworzono gwałtownie drzwi i do klasy wszedł Clarence, dozorca. Miał spoconą twarz, oczy rozszerzone, w dłoniach trzymał mopa.

— Clarence? Co się stało?

— Lepiej, jeśli szybko pan przyjdzie, panie Rook. Coś się dzieje w prysznicach.

— W prysznicach? O czym ty mówisz?

— W prysznicach dla dziewcząt. Pełno tam pary i ktoś krzyczy w środku.

Jim natychmiast rzucił długopis i ruszył do wyjścia.

— Stella, weź swoją komórkę i zadzwoń po ratowników! Każ im jak najszybciej przyjść do pryszniców dla dziewcząt. Tarquin, Eugene, Laura — idziecie ze mną!

Pobiegli korytarzem do znajdujących się przed salą gimnastyczną pryszniców. Clarence miał rację. Z otwartych zewnętrznych drzwi buchały kłęby pary, a w środku z całych sił darła się dziewczyna. Przed drzwiami stał wianuszek przerażonych uczennic, kilka z nich płakało.

— Co się dzieje? — spytał Jim. — Kto jest w środku?

Rozległ się kolejny wrzask, zakończony piskliwym, rozdzierającym jękiem.

— Boże… to Dottie… — wymamrotała Laura.

Jim wszedł do środka. Drzwi wewnętrzne były zamknięte, a kiedy złapał za klamkę, sparzył się. Szparą pod drzwiami z sykiem wydobywała się para, okna były całkowicie zaparowane. Spróbował otworzyć drzwi kopniakiem, ale otwierały się na zewnątrz i były zrobione z solidnych dębowych desek.

— Dajcie mi ręcznik! — krzyknął, kiedy Dottie znów zaczęła się drzeć. Jedna z dziewcząt podała ręcznik i owinął sobie nim dłoń. Złapał za klamkę i pociągnął z całej siły.

Z początku drzwi nawet nie drgnęły, szarpał jednak raz za razem i wreszcie udało mu się uchylić je na dwa centymetry. Strumień pary, który wystrzelił z łazienki, był bardzo gorący, a Jim już i tak ociekał potem. Do tego wszystkiego dochodził hałas — czuł się, jakby stał obok lokomotywy.

— Panie Rook! — zawołał Washington, który przebijał się przez przerażony tłumek z aluminiowym kijem bejsbolowym. Wepchnął go w szparę, którą zrobił Jim, i wspólnie pchając, zrobili otwór na tyle szeroki, że dało się wejść do środka.

— Ostrożnie! — ostrzegł Jim. — Para jest gorsza od wrzącej wody, może ściągnąć skórę jak skalp!

W tym momencie pod prysznice dotarł doktor Ehrlichman.

— Jim? Co się tu dzieje? Skąd ta para?

Dottie wydała z siebie kolejny przerażający wrzask.

— Dopilnujcie, by zaraz byli tu ratownicy! — krzyknął Jim. — Dajcie mi jeszcze jeden ręcznik! Czy ktoś jeszcze ma ręcznik?

— Idę z panem — oświadczył Washington.

— Nie. Ja jestem osobą odpowiedzialną, nie ty.

— A jak mówili trzej muszkieterowie? Jeden za wszystkich i wszyscy za jednego!

— W porządku — odparł Jim, owijając sobie głowę ręcznikiem. — Ale trzymaj się za mną i uważaj na parę.

— Jim, zaczekaj na straż! — zawołał doktor Ehrlichman. Jim wcisnął się już jednak w uchylone drzwi i wszedł do pomieszczenia z prysznicami. Washington szedł pochylony tuż za nim.

Para była tak gęsta, że Jim nie widział, dokąd idzie. Wylatywała gęstymi strumieniami ze wszystkich pryszniców, powodując ogłuszający hałas. Po prawej stronie znajdował się szereg kabin, zaopatrzonych w drzwi z hartowanego szkła. Jim — z nisko opuszczonym turbanem z ręcznika, chroniącym czoło i oczy, szedł szybko od kabiny do kabiny i zaglądał do środka.

Dottie znów wrzasnęła, a zabrzmiało to tak, jakby cierpiała straszliwe męki. Jim podbiegł do ostatniej kabiny i przez zaparowane drzwi dostrzegł czerwonawy kształt, machające bezradnie ręce i fruwające na boki włosy.

— Dottie! — zawołał i spróbował pociągnąć za drzwi, ale były jak zaryglowane. — Dottie, to ja, Jim Rook! Pchnij drzwi! Spróbuj popchnąć drzwi!

Dottie jeszcze bezładniej zamachała ramionami, jakby próbowała coś z siebie strząsnąć. Syk wystrzeliwanej pod ciśnieniem pary był tak głośny, że Jim nie miał pewności, czy w ogóle go usłyszała. Jeszcze raz pociągnął za drzwi, ale nie puszczały. Albo zostały zaklinowane z powodu rozszerzenia się framugi z gorąca, albo były zaryglowane od wewnątrz.

— O Boże! AAAAA! Nie! Nie rób tego! AAA… nie rób tego!!!

Jim odwrócił się do Washingtona.

— Daj mi ten kij. — Washington podał mu aluminiową pałkę i Jim uniósł ją wysoko nad głowę.

— Dottie! Rozbijam drzwi! Odwróć głowę! Słyszysz mnie, Dottie?

Dottie zawyła, nie było jednak wiadomo, czy cokolwiek usłyszała. Jim zamachnął się i huknął prosto w środek szklanych drzwi. Nie przyniosło to wielkiego efektu — w tafli zrobiło się tylko niewielkie wgłębienie. Jim walił raz za razem, ale powstawały ledwie drobne nadpęknięcia.

— AAA! Proszę!!! Boże… nie!!! AAAAA!

Washington bez słowa wyjął Jimowi kij z rąk. Cofnął się, uniósł go i wyważył, uniósł jeszcze wyżej, po czym machnął z całej siły i rozwalił drzwi na tysiące migoczących kawałków.

Z kabiny buchnęło tyle pary, że Jim przez kilka sekund nie pojmował, co widzi. Kiedy nieco się przerzedziło, ujrzał Dottie, podrygującą jak prowadzona niefachową ręką lalka na sznurkach. Miała czerwoną od poparzeń twarz, a oczy tak opuchnięte, że prawdopodobnie nic nie widziała. Skóra na całym jej ciele była popalona i zwisała długimi, poszarpanymi pasmami.

Jednak to nie widok nieszczęsnej Dottie sprawił, że Jim poczuł dreszcz przerażenia. Tuż za nią zobaczył niemal niewidzialną postać, otoczoną gęstym oparem. Postać składała się jedynie z wrzącej wody, której powierzchnia marszczyła się i falowała. Była to dziewczyna — niewiele wyższa od Dottie, ale znacznie szczuplejsza. Przeciągała dłońmi z wrzątku po barkach Dottie i po jej plecach, dotykała jej brzucha i góry ud, a Dottie za każdym dotknięciem wrzeszczała i próbowała się wyrwać. Musiała przeżywać katusze — jej skóra schodziła płatami, a końce nerwów wariowały. Przez cały czas słychać było basowe, dolatujące jakby z tła bulgotanie — takie, jakie powstaje, gdy wrze wielki rondel wody.

Jim wziął głęboki, uspokajający oddech, a potem skoczył do przodu i spróbował wyciągnąć Dottie spod prysznica. Postać natychmiast zamachnęła się i chlasnęła go po twarzy wrzącą ręką. Zatoczył się do tyłu, mając wrażenie, że jego policzki płoną.

— Puść ją, ty sukinsynu! — krzyknął Washington i też próbował chwycić Dottie, ale postać odwzajemniła mu się potężnym chlustem wrzątku i chłopak wrzasnął: — Jasna cholera! Poparzyłaś mnie, dziwko!

Jakby chcąc ich jeszcze bardziej zezłościć, postać ciasno oplotła ramionami Dottie i przeciągnęła parujące, wodne ramiona w dół jej ciała, zmuszając dziewczynę do przenikliwego wrzasku bólu.

Kaszląc i wijąc się jak piskorz, Jim spojrzał w dół i stwierdził, że brodzik jest wypełniony po kostki parującą, gorącą wodą, ponieważ odpływ został zatkany niebieskim ręcznikiem. Nagle przypomniał sobie, jak Mervyn uniknął utonięcia — dzięki wyciągnięciu korka z wanny. Opadł na kolana i zasłonił twarz dłońmi.

— Panie Rook! — zawołał przerażony Washington. — Panie Rook! Nic się panu nie stało?

Dottie znowu zawyła i Jim, nie zastanawiając się, skoczył naprzód i zanurzył rękę w niemal gotującą się wodę na dnie brodzika. Chwycił nasączony ręcznik, wyciągnął go i rzucił na bok. Ręcznik z głośnym plaśnięciem uderzył w ścianę, po czym zsunął się na podłogę.

Woda w brodziku wydała ostry, entuzjastyczny bulgot i zaczęła spływać do otworu, a razem z nią wodna postać. Najpierw zostały wessane jej stopy, potem kostki, potem — znacznie szybciej — łydki i kolana i po kilku sekundach cała figura z bulgotem zniknęła w odpływie, pozostawiając po sobie jedynie garstkę lepkiej piany. Ostatnie zniknęły pasma przezroczystych włosów — ulotne jak pamięć — oraz kłąb pary.

Przez ułamek sekundy Jim widział w kabinie prysznicowej ducha Jane Tullett, który przyglądał mu się pustymi oczodołami. Potem duch odwrócił się i wszedł w wyłożoną kafelkami ścianę.

Dottie zwaliła się do brodzika, na kawały szkła. Nie krzyczała, dygotała jednak z bólu i szoku. Jim nie chciał jej dotykać, by nie urazić poparzonych miejsc. Ściągnął z głowy ręcznik, podszedł do umywalek i nasączył go zimną wodą, po czym wrócił do Dottie i delikatnie okrył ją ręcznikiem.

Weszła Laura, blada jak ściana.

— Dottie… o mój Boże… nic jej nie będzie?

Washington pochylił się do Jima i spytał:

— To przed tym nas pan ostrzegał? To był ten wodny duch? Jezu! Nie mówił pan, że to duch wrzątku!

— Idą ratownicy! — krzyknięto na korytarzu i do łazienki wpadło troje ratowników z noszami

na kółkach.

— Co tu się stało? — spytał jeden z nich Jima, podczas gdy jego partnerzy uklękli obok Dottie i zaczęli ją badać.

— Nie wiem. Chyba popsuła się jakaś rura. Może zablokował się termostat?

— Dajcie mi natychmiast kroplówkę i morfinę! — zawołał ratownik przy Dottie. — Traci błyskawicznie płyn!

Jim położył dłoń na ramieniu Laury.

— Chodź, Lauro. Poza modlitwą nic więcej nie możemy dla niej zrobić. Washington… nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że tu byłeś. Jeśli Dottie się z tego wygrzebie, będzie to twoja zasługa.

— Nie wpadłbym na to, żeby wyciągnąć ten ręcznik, panie Rook. Rany, nawet bym nie pomyślał, że coś takiego może istnieć.

Laura płakała. Jim wyprowadził ją na zewnątrz, Washington szedł za nimi. Na korytarzu czekał doktor Ehrlichman, nerwowo ściskający chusteczkę.

— Co tu się stało, Jim? Z Dottie wszystko w porządku?

— Nie wiem. Została poważnie poparzona.

— Jezu, to straszne… ostatniego dnia w szkole…

Jim powoli ruszył korytarzem. Wszędzie kłębili się podnieceni uczniowie, którzy powychodzili z klas na dźwięk syreny karetki. Niektórzy go poszturchiwali, ale Jim nie zwracał na to uwagi. Był zbyt zdenerwowany tym, co się stało z Dottie — i zaczynał coraz bardziej wierzyć, że wodny duch — choć nie wiadomo dlaczego — próbuje się mścić na nim.

Przeszedł przez wielkie podwójne drzwi na końcu korytarza i zatrzymał się na chwilę na schodach. Oddychał głęboko, próbując się uspokoić. Po kilku minutach wyszedł do niego doktor Friendly.

— James… Jim! To straszne! Co powiemy rodzicom Dottie?

— Niech się pan uspokoi, zajmę się państwem Osias. Najpierw jednak muszę powiedzieć kilka słów moim uczniom.

— Boże, to nam zupełnie zepsuje opinię! Ludzie nie zechcą posyłać dzieci do West Grove, jeżeli nie będą mogli mieć pewności, że wrócą żywe do domu.

— Doktorze Friendly… o rysach na wizerunku porozmawiamy później, dobrze? Teraz muszę się zająć moją klasą.

— Chodzi nie tylko o wizerunek szkoły, ale także o pana, Jim. Jeśli chce pan znać moje zdanie, jest pan złym duchem tego miejsca. Wygląda na to, że kłopoty towarzyszą panu jak pchły śmietnikowemu psu.

— Od dziś ma mnie pan oficjalnie z głowy, więc proszę się nie zamartwiać.

— Chciałbym mieć stuprocentową pewność, że tak będzie.

— Wybaczy pan — burknął Jim i otworzył drzwi drugiej specjalnej. Nie było w niej nikogo. Krzesła i ławki poprzesuwano, podłogę zaścielały pogniecione kartki papieru nutowego. Na jego biurku leżały sterty książek — mocno zużyte egzemplarze Amerykańskich poetów XX wieku, Hamleta oraz powieści T. Wolfe'a Spójrz ku domowi, aniele. Na tablicy ktoś napisał: SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ŻYCIA, PANIE ROOK — i Jim wcale by się nie zdziwił, gdyby miało to brzmieć ironicznie.

Usiadł przy swoim biurku i zaczął otwierać kolejne szuflady, wyjmować długopisy i słowniki oraz kilkutygodniowe resztki *chow mein*. Dźgnął ołówkiem omszałą krewetkę i wyrzucił potrawę do kosza.

Po paru minutach rozległo się niepewne pukanie do drzwi i po chwili do klasy wszedł Nestor Fawkes — w spranym szarym podkoszulku i workowatych bojówkach z dziurami na kolanach.

— Zapomniałeś czegoś? — zapytał Jim.

Nestor podszedł do jego biurka. Był kościstym, niedożywionym chłopakiem, który w poniedziałki często przychodził z podbitymi oczami lub posiniaczony. Jego ojciec nie wierzył w poezję, dramat, muzykę klasyczną ani żadną rozrywkę, której składnikami nie było piwo, hazard czy rozbijanie samochodów. Jim zawsze podziwiał wytrwałość Nestora, by utrzymać się w szkole mimo nieustannych drwin oraz niezliczonych pobić. Chłopak doskonale wiedział, że wykształcenie to jedyna rzecz, która może go uchronić od stania się takim jak ojciec — głupim, ograniczonym i agresywnym.

Nestor odchrząknął.

— To miała być niespodzianka. Zamierzaliśmy wyciągnąć pana z klasy, a potem udekorować ją balonami i tak dalej. Mieliśmy nawet ciasto i butelkę szampana.

— Cóż, w zaistniałej sytuacji… Nestor skinął głową.

— Wszystko kompletnie się rozpadło… najpierw z powodu utonięcia Dennisa, dziś tego, co się zdarzyło Dottie. Idziemy wszyscy do domu, ale nie chcielibyśmy, żeby pan sobie pomyślał, że nie doceniamy tego, co pan dla nas zrobił.

— Nie ma sprawy, Nestor. To moja praca.

— Nigdy pan tak do tego nie podchodził. Zawsze traktował nas pan specjalnie. Nie „specjalnie” w znaczeniu jak niedorozwiniętych, ale… szczególnie.

— Nie traktowałem was w szczególny sposób. Każdy z was jest kimś szczególnym. Przyszliście tu czytając komiksy z Pokemonem, a teraz czytacie Oskara Wilde’a. Nie nauczyłbym was tylu rzeczy, gdybyście nie mieli właściwego nastawienia. Likwidowanie problemów z czytaniem trochę się różni od naprawiania samochodów… trzeba się dowiedzieć, co dana osoba ma do powiedzenia, i pokazać jej, jak ma to robić.

— Cóż, jak by nie było, nie chcemy, żeby pomyślał pan, że odchodzimy bez pożegnania i podziękowania.

Jim wstał i ujął dłoń Nestora.

— Pożegnaj ode mnie wszystkich. Powiedz im, że życzę każdemu tyle szczęścia, ile tylko może się pomieścić w jego sercu.

— Dobrze, proszę pana — odparł Nestor lekko schrypniętym głosem, odwrócił się i wyszedł.

Jim stał przez chwilę i wpatrywał się w otwarte drzwi. Potem zebrał resztę swoich rzeczy i zapakował je w kartonowe pudło po kociej karmie.

Po raz ostatni rozejrzał się wokół, po czym wyszedł i skierował się do głównego wyjścia. Był sam i jego kroki odbijały się głośnym echem w pustym korytarzu. Niemal uwierzył doktorowi Friendly'emu, że przyciąga kłopoty.

Po drodze spotkał Clarence'a, sprzątającego pod gabinetem doktora Ehrlichmana.

— Chyba tu rozejdą się nasze ścieżki — powiedział.

— Smutne odejście — odparł dozorca. — Biedna Dottie… była jednym z najmilszych dzieciaków, jakie tu kiedykolwiek mieliśmy.

Jim wyszedł na zewnątrz, nie żegnając się z nikim więcej. Wsiadł do samochodu i pojechał prowadzącą do bramy głównej alejką między szeleszczącymi klonami, po czym wyjechał w świat — w świat, w który wyruszali jego uczniowie.

Zadzwonił z domu do szpitala, by dowiedzieć się czegoś o Dottie, pielęgniarka powiedziała jednak, że jeszcze za wcześnie na stwierdzenie, jak poważne są oparzenia.

Przygnębiony, dręczony niejasnym poczuciem winy, skończył pakować książki. Potem wyszedł na balkon, gdzie wygrzewała się Tibbles Dwa. Kiedy usiadł obok, kotka otworzyła jedno oko — chyba niezadowolona, że się jej przeszkadza.

— Cóż, TD, tak to jest. Ale jak mówiła Scarlett O'Hara, mimo wszystko jutro będzie nowy dzień. Nie miałabyś ochoty przepowiedzieć mi znów przyszłości? — TD przeciągnęła się i ziewnęła. — Wiem. Jesteś zbyt rozleniwiona.

Nalał sobie szklankę piwa i upił łyk zimnego napoju. W tym momencie zadzwonił jego telefon komórkowy. Wyciągnął go z kieszeni i beknął prosto do mikrofonu.

— Co to było? — spytała Karen.

— Interferencja. Coś związanego z liniami wysokiego napięcia.

— Słyszałam, co się stało z Dottie Osias. To okropne.

— Tak. Wspaniały sposób, by zakończyć rok. Dzwoniłem do szpitala, ale nie mają nic nowego do powiedzenia. Modlę się… to wszystko, co mogę zrobić.

— Bardzo mi przykro, Jim. Dottie była jedną z twoich ulubionych uczennic, prawda?

— Wiesz co, Karen? Cieszę się, że odchodzę. Poza żałobą nic tym dzieciakom nie dałem.

— Nie możesz się obwiniać. To był wypadek. Z tego co słyszałam, uratowałeś jej życie.

Co miał powiedzieć? Że Dottie nic by nie groziło, gdyby nie była jego ulubienicą? Że każdy, kogo kochał, był teraz poważnie zagrożony — po prostu dlatego, że coś dla niego znaczył? Zrobił, co mógł, by ostrzec uczniów, ale kto mu uwierzy, że może go utopić, udusić albo poparzyć postać z wody?

— Jim… nie chcę, żebyś wyjechał do Waszyngtonu bez zobaczenia się ze mną.

— To przecież tylko Waszyngton, nie Kongo. Będę mógł przyjeżdżać do Los Angeles na weekendy.

— Dobrze wiesz, że to nieprawda… będziesz mocno zajęty. Tak jak i ja.

— Co to znaczy? Że z nami koniec?

— To znaczy, że chcę cię jeszcze raz zobaczyć przed wyjazdem i nic więcej. Może wpadłbyś do mnie dziś wieczorem? Zrobiłabym twoje ulubione danie, *rigatoni alla napoletane*. Do tego będzie butelka barolo, a na deser *tiramisu*.

— Nie wiem, Karen. Cała ta sprawa nieźle mną potrząsnęła. Nie sądzę, bym miał ochotę na jedzenie.

— To wpadnij na kieliszek wina. Chcę z tobą porozmawiać. Chcę, żebyśmy ustalili, co będzie z nami dalej. Nie chcę cię stracić, Jim, niezależnie od twojego bałaganiarstwa.

— Dobrze. Zobaczymy się o ósmej.

— Czekam.

Ledwie zdążył włożyć telefon do kieszeni, znów zaterkotał. Dzwonił Michael.

— Susan udało się nawiązać kontakt z Davidem DuQuesne. Z początku nie chciał z nią rozmawiać, ale kiedy mu opowiedziała o wodnym duchu i o tym, co zrobił, zgodził się z nią spotkać. To znaczy z nami.

— Brzmi obiecująco. Gdzie i kiedy?

— Byłoby świetnie, gdybyś przyjechał po nas na Franklin Avenue o wpół do ósmej.

— O wpół do ósmej? O ósmej jestem umówiony na kolację.

— Przykro mi, Jim, ale to jedyny termin, jakim dysponował.

— A jutro? Mogę przesunąć lot do Waszyngtonu.

— Nie sądzę. Susan coś wspomniała, że David leci jutro do Europy.

— Jeśli nie ma absolutnie żadnej innej możliwości, niech będzie. Będę u was wpół do ósmej.

Przez długą chwilę wpatrywał się w telefon. TD podniosła się i popatrzyła na niego — i mógłby przysiąc, że się uśmiechnęła.

— Uważasz, że to śmieszne? — spytał. TD odwróciła się.

Wystukał numer Karen.

— Tak? — odezwała się wreszcie. Dyszała, jakby biegła do telefonu.

— Karen, tu Jim. Chodzi o dzisiejszy wieczór…

Miał na sobie pomięty czarny płaszcz, czarną koszulę z krótkim rękawem i niegdyś białe bawełniane spodnie, które wyciągnął z kosza na brudną bieliznę. Przyklepał włosy na mokro, żeby nie odstawały z tyłu, i wyglądał jak bohater filmów niemych z lat dwudziestych — Rudolf

Valentino w okularach.

Wyszedł z mieszkania i skręcił za róg, by wyjść na parking. Zdziwiony zobaczył, że w jego kabriolecie siedzą dwie osoby — Murzyn i kobieta w chustce na głowie.

Zaczął ostrożnie podchodzić do samochodu. Kiedy się zbliżył, poznał oboje: byli to Washington Freeman III i Laura Killmeyer.

— Cześć wam — powiedział.

— Dobry wieczór, panie Rook. Nie mogliśmy już dłużej wysiedzieć na czterech literach, więc wpadliśmy zobaczyć, czy moglibyśmy coś dla pana zrobić.

— Bardzo dziękuję. Właśnie wybieram się do Topanga Canyon, żeby spotkać się z pewnym człowiekiem… kimś, kto być może będzie mógł nam pomóc.

— Opowiedziałem Laurze, co widziałem w kabinie prysznicowej — wyjaśnił Washington. — O tym wodnym stworze. Nie powiedziałem o nim nikomu, nawet glinom, ale Laurze musiałem. Dottie jest jej najlepszą przyjaciółką, więc miała prawo wiedzieć. Poza tym ona wierzy w ten syf… choć nikt inny nie wierzy.

— Panie Rook, musimy znaleźć tego wodnego ducha, prawda? — spytała Laura.

Jim skinął głową.

— Tak, Lauro. Nie chcę, by zrobił coś jeszcze komukolwiek z was. Nie wiem, czy gość, z którym mam się zaraz spotkać, będzie wiedział coś więcej o wodnych duchach, ale to podobno światowej sławy spec od miejskich zjawisk nadprzyrodzonych.

— Moglibyśmy pojechać z panem? — spytał Washington.

— Dlaczego nie? Im więcej głów do myślenia, tym lepiej.

— Tak poza tym — wtrąciła Laura — to właśnie rozmawiałam z panią Osias. Dottie jest w dalszym ciągu w krytycznym stanie, ale lekarze uważają, że się wyliże.

Jim usiadł za kierownicą i uruchomił silnik.

— Jedno mogę wam obiecać: jeżeli z Dottie będzie gorzej, znajdę tego wodnego ducha i spuszczę go najbliższym kanałem ściekowym.

ROZDZIAŁ 8

Susan Silverstone miała na sobie przylegający do ciała czarny golf, obcisłe czarne atłasowe spodnie i buty na wysokim obcasie.

— Co to za ludzie? — spytała Jima. — David DuQuesne jest człowiekiem bardzo ceniącym sobie prywatność. Nie możemy wpaść do niego z całą armią.

— Washington i Laura to najbliżsi przyjaciele Dottie. Przyjaźnili się także z Dennisem Pease'em. Jeżeli ktokolwiek zasługuje, żeby z nami pojechać, to właśnie oni. Poza tym mogą się przydać. Laura zna się na magii i ma sporą wrażliwość psychotroniczną. A Washingtona dobrze mieć przy sobie w razie kłopotów.

Pojawił się Michael — ubrany w błyszczącą szkarłatną koszulę i czarne łopoczące spodnie. Wyglądał, jakby lada chwila miał zatańczyć flamenco.

— Lepiej już ruszajmy, Susan — powiedział. — Mamy tam być punkt ósma.

— Oczywiście. Niech ci twoi uczniowie się za bardzo nie wychylają, dobrze, Jim? David DuQuesne jest Mistrzem i nie chcę, by pomyślał, że nie traktujemy go z należytym respektem.

— Nie martw się. Laura jest młodą damą o doskonałych manierach, a Washington światowej klasy ekspertem z zakresu wszelkich wyobrażalnych rodzajów zachowań świadczących o braku respektu…

Wsiedli do samochodu — Susan z przodu, Michael z tyłu, z Washingtonem i Laurą. Kiedy Jim zawracał, jęknęło zawieszenie. Ruszyli w kierunku Sunset.

Washington odwrócił się do Michaela i uśmiechnął się do niego, promieniejąc jak stupięćdziesięciowatowa żarówka.

— Pan Rook mówił, że też byłeś kiedyś w drugiej specjalnej.

— Tak… byłem — odparł Michael, wyraźnie zażenowany.

— Jaki miałeś problem? Dyszk–lekcja? Czy byłeś po prostu głupi?

Michael otworzył i zamknął usta, ale Washington objął go przyjaźnie ramieniem i oświadczył:

— Tylko cię podpuszczam, stary, bo niezależnie od tego, co miałeś, już tego nie masz. Tak właśnie działa pan Rook: robi cuda. Wystarczy, że powie: „Weź do ręki książkę i zacznij czytać".

Jechali szybko Coldwater Canyon, piszcząc oponami na każdym zakręcie. Susan dopilotowała ich do Hidden Valley, gdzie skręcili w lewo i pojechali wijącą się między drzewami prywatną drogą. Na tej wysokości było chłodno i dość wietrznie, a niebo miało barwę zmatowiałego mosiądzu. Wokół śmigały ptaki, a kiedy wyjechali zza ostatniego zakrętu, przestraszyli młodego jelenia, który odbiegł w las na cienkich jak patyczki nóżkach. W końcu stanęli przed bramą z czernionego żelaza. I Jim wcisnął klawisz interkomu i powiedział: — Susan Silverstone i jej przyjaciele do pana DuQuesne. — Nie odpowiedziano, ale po chwili brama drgnęła i zaczęła się otwierać. Jim popatrzył na Susan. — Przypomina mi to pewien film. Nikt nie wyjdzie stąd żywy.

Krętą ścieżką dotarli do dużego, parterowego domu, stojącego wśród Pinus lambertiana*. Dom był nowiusieńki, miał wielkie, panoramiczne okna i werandy ze wszystkich stron. Na dziedzińcu stały trzy samochody: srebrny jeep, volvo kombi i klasyczna czerwona corvetta. Oczy Washingtona zabłysły.

* Ogromna sosna północnoamerykańska, osiąga 70 metrów wysokości (niektórzy autorzy podają, że nawet 100

metrów).

— Popatrzcie na to cudo! Rocznik sześćdziesiąt dwa, ostatnia prawdziwa corvetta. Trzysta sześćdziesiąt koni, wtrysk Rochester. Ile ten facet zarabia?

Kiedy parkowali, na frontowej werandzie pojawił się wysoki mężczyzna z ostrzyżonymi tuż przy skórze siwymi włosami, w towarzystwie dwóch śliniących się dobermanów. Był mocno opalony i miał głęboko osadzone oczy — jak Kris Kristofferson. Jego strój składał się z

nienagannie wyprasowanej różowej koszuli, jasnoszarych, zaprasowanych w kant spodni i sandałów.

— Panna Silverstone? Widzę, że przywiozła pani całą świtę!

— Przepraszam, panie DuQuesne — powiedziała Susan, wchodząc na schody — ale Jim nalegał, by zabrać dwoje uczniów… byli przyjaciółmi chłopaka, który utonął.

Jim podszedł do Susan i dobermany natychmiast zaczęły warczeć, ślinić się i szarpać, drapiąc pazurami dębowe deski. Miały tak wielką ochotę skoczyć na Jima i rozszarpać mu gardło, że David DuQuesne ledwie mógł je utrzymać.

— Coś od pana czują — stwierdził gospodarz, trzymając się poręczy, by psy go nie przewróciły.

— Podejrzewam, że chodzi o moją kotkę.

— Kotkę? — powiedział David DuQuesne takim tonem, jakby nie mógł uwierzyć, że dorosły mężczyzna może robić coś tak bezsensownego jak trzymanie kota.

— Tak, mam kota. Jest nawet dość inteligentny. Potrafi przepowiadać przyszłość.

— Proszę, wejdźcie do środka. Zaprowadzę te łobuzy do boksu.

Podczas gdy David DuQuesne odprowadzał psy, piątka przybyszy poszła do salonu. Przez dwa panoramiczne, sięgające od podłogi do sufitu okna widać było góry. Do środka wpadało tyle światła, że w pokoju było widno jak na dworze. Dębowa podłoga błyszczała jak lustro, leżały na niej perskie dywany, a obite białą skórą meble były tak ogromne, że mieli wrażenie, jakby się znaleźli na planie Krainy olbrzymów. Na ścianach wisiały wielkie, abstrakcyjne obrazy, składające się z szarych i czarnych smug, przerywanych nielicznymi plamami czerwieni. Po chwili wrócił David DuQuesne. Podszedł energicznym krokiem do swoich gości i wyciągnął rękę na powitanie.

— Przepraszam, że kazałem wam czekać. Jestem David… ty jesteś pewnie Susan, a to musi być Jim.

— To Laura i Washington — przedstawił swoich uczniów Jim.

— I Michael — dodał Michael.

— Siadajcie, proszę — powiedział David DuQuesne. — Coś do picia? Mam znakomite chardonnay.

— Wolałabym wodę mineralną — odparła Susan. — Po alkoholu moja aura zaczyna wariować.

— Hmmm… ma pan piwo? — spytał Jim.

Ubrana w jedwabną pidżamę Chinka o kamiennej twarzy przyniosła napoje i orzeszki. Kiedy się pousadzali, David przeszedł do rzeczy.

— Właściwie przestałem udzielać konsultacji prywatnych, ale bardzo mnie zaintrygowało to, co Susan powiedziała mi przez telefon. Jeżeli to prawda, mamy do czynienia z pierwszym naprawdę niebezpiecznym zjawiskiem nadprzyrodzonym od lat pięćdziesiątych.

— Zakładam, że Susan opowiedziała o tym, co się dotychczas wydarzyło… o śmierci małego Mikeya i Dennisa Pease'a oraz nieszczęśliwym wypadku Mervyna w wannie? — upewnił się Jim.

— Opowiedziała. Opowiedziała także o namierzaniu ducha. To z waszej strony bardzo odważne, że zdecydowaliście się w przypadku tej zmory na tę technikę.

— Nie tyle odważne, co świadczące o ignorancji — stwierdził Jim. — Obawiam się, że dziś rano miał miejsce kolejny incydent. Jedna z moich uczennic została unieruchomiona pod prysznicem, woda była bardzo gorąca i dziewczyna została poważnie poparzona. Jeszcze nie wiadomo, czy przeżyje.

— Byłeś świadkiem tego wydarzenia?

Jim skinął głową.

— Tym razem ta postać też tam była.

— Woda się gotowała? Jeszcze nigdy nie zetknąłem się z czymś podobnym. To niezwykłe.

— Chciałbym się dowiedzieć, co to za stwór, czego chce i co mam zrobić, żeby się go pozbyć.

— Zgodziłem się na spotkanie z wami — powiedział David DuQuesne — ponieważ to, co

opisała Susan, wygląda na rzadką, ale bardzo silną legendę miejską.

— Co to jest „legenda miejska”? — spytał Washington. Michael zmarszczył czoło, ale David DuQuesne nie wyglądał na zirytowanego.

— Dam wam bardzo znany przykład… ta historia krążyła w każdej szkole średniej w Ameryce. Dwoje młodych pojechało pewnej nocy do lasu. Skończyła im się benzyna, więc chłopak zostawił dziewczynę w samochodzie i poszedł z kanistrem do głównej drogi. Kazał dziewczynie pozamykać wszystkie drzwi, co natychmiast zrobiła. Jakieś dwadzieścia minut później usłyszała pukanie w dach samochodu, po czym pojawił się jakiś facet i wyszczerzył się do niej zza przedniej szyby, a potem uniósł coś, co trzymał w ręku — okazało się, że to głowa jej chłopaka. Dziewczyna zaczęła się drzeć i zasłoniła oczy, jednak mężczyzna znów zapukał — tym razem w przednią szybę. Miał w ręku nie tylko głowę, ale i kluczyki do samochodu.

— Słyszałem tę historię — przyznał Washington. — Tyle że w dach stukały pięty chłopaka, powieszonego dokładnie nad samochodem.

— Istnieją dziesiątki tego typu legend. Niektóre są oczywistym wymysłem… jak na przykład opowieść o południowoamerykańskim pająku, ukrywającym się pod deskami klozetowymi w publicznych toaletach i polującym na kobiety, albo o psie obrończym, który okropnie kaszlał, a kiedy właściciele zabrali go do weterynarza, okazało się, że dławił się palcem włamywacza. Potrzebujemy tego typu historii tak samo, jak potrzebowaliśmy opowieści o diabłach i wampirach. Pomagają nam skonfrontować się z naszymi lękami. Są czymś w rodzaju nowoczesnych zabobonów.

— Ale nie wszystkie są zabobonami, prawda? — spytał Washington. — Niektóre historie muszą być prawdziwe… Ta postać z gotującej się wody, którą dziś widzieliśmy, była prawdziwa.

David DuQuesne nalał sobie drugi kieliszek białego wina.

— Masz rację, nie wszystkie tego typu opowieści są wyssane z palca. Osobiście uważam, że

kiedy w naszym społeczeństwie wydarzają się jakieś tragedie, rodzą się nowe demony… choć nie wiem, czy to najlepsze określenie. Nie są to demony ze starożytności, takie jak Astarte, Belzebub czy Loki — ani demony indiańskie, jak Kojot lub Wielki Potwór. To demony współczesnej cywilizacji amerykańskiej — wytwory wielkomiejskiej przemocy. Autostopowicz… Mary Worth… Mrówczy Chłopiec, którego koledzy posmarowali melasą i przywiązali nagiego obok mrowiska czerwonych mrówek. Niemal każda miejska legenda opowiada o kimś, kto umiera i wraca, by zemścić się na ludziach, którzy wyrządzili mu krzywdę. Czytaliście o Black River Falls w stanie Wisconsin? W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku zaczęła się tam plaga zabójstw i samobójstw, wielu ludzi postradało rozum. Przypadki tego rodzaju były tak częste, że miejscowa gazeta przestała o nich donosić. Jakaś kobieta utopiła się, wsadzając głowę do kadzi z wodą, farmerzy podrzynali sobie gardła, wieszali się albo rzucali do rzeki. Pewien mężczyzna zabił się dynamitem — wrzucił kilka lasek do dziury w ziemi, włożył do niej głowę i podpalił lont, mówiąc: „Idę, a Pan pójdzie ze mną”. Podobno niecały miesiąc wcześniej, zanim to wszystko się zaczęło, do Black River Falls przyjechało Wędrowne Wesołe Miasteczko z klownami, mimami, akrobatami i pokazami różnych niezwykłości i to ono zmieniło życie Black River Falls. Zaraz po tym jak wyjechało, mieszkańcy zaczęli mówić o dziwnych i przerażających zjawiskach: o płaczących po nocach martwych noworodkach, wrzeszczących na pustych strychach szaleńcach, biegających po podwórkach garbusach. Co dzień w godzinę śmierci mężczyzny, który oderwał sobie głowę dynamitem, słyszano za jego domem odgłos potężnego wybuchu. Twierdzono, że można według niego ustawiać zegarki.

— Nie bardzo rozumiem, dlaczego pan nam to opowiada — mruknął Jim.

David DuQuesne wstał i podszedł do okna.

— Próbuję was przekonać, że nie wszystkie współczesne amerykańskie legendy są opowieściami wymyślanymi przy ognisku albo internetowymi oszustwami. To, co wydarzyło się

w Black River Falls, jest prawdą. Dowodzą tego fotografie. Więcej — kiedy wesołe miasteczko wyjechało, zainteresował się nim prywatny detektyw A. P. Moran, ponieważ jedna z mieszkanek miasta poskarżyła się, że została zgwałcona i obrabowana przez współwłaściciela wesołego miasteczka, Douglasa Shade'a.

— I co? Miał szczęście i coś osiągnął?

— Owszem. Choć nie wiem, czy należałoby to nazywać szczęściem. Trzy lata później odnalazł pozostałości po Wędrownym Wesołym Miasteczku Shade'a i O'Bryana na dawno zapomnianej bocznicy kolejowej, wysoko w Rockies. Wyglądało na to, że pociąg, którym podróżowali, został zaskoczony przez ostrą zimę. Większość zespołu zmarła na dur plamisty, resztę zabiły głód i zimno. Próbowali jeść konie cyrkowe, zjedli nawet lwa, ale mróz w końcu ich pokonał. Ktoś wbił w śnieg krzyż, na którym napisano jedynie: WESOŁE MIASTECZKO. Dość ironiczne, prawda?

— Jaki to ma związek z wodnym duchem? — spytała Laura.

— Tak naprawdę to żaden. Obu historii nic nie łączy i zarazem wszystko je łączy. Obie pokazują, że tak zwane siły nadprzyrodzone mogą być tak samo realne jak ty czy ja. Artyści wesołego miasteczka Shade'a i O'Bryana zarazili się w czasie pobytu w Black River Falls w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym roku durem plamistym, wyjechali, dotarli do Rockies i tam ich droga dobiegła kresu.

— Ale powiedział pan, że byli w Black River Falls w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku — wtrąciła Laura. — Jak to możliwe, jeżeli trzy lata wcześniej umarli?

— Może podszyło się pod nich inne wesołe miasteczko, używając tej samej nazwy?

David DuQuesne pokręcił głową.

— Mam oryginalne dziewiętnastowieczne zdjęcia większości trupy wesołego miasteczka Shade'a i O'Bryana i zapewniam, że artyści, którzy zjawili się w Black River Falls w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku, nie byli oszustami. To byli ci sami ludzie. Na

fotografiach widać tych samych klownów, tych samych akrobatów, tę samą dziewczynę sprzedającą watę cukrową.

— Może zamarzli na śmierć, a potem odmarzli i ożyli? — podsunął Washington.

— To niemożliwe… nawet gdyby było możliwe. Większość ciał została okaleczona i wyschła na wiór.

— Jak więc to wyjaśnić? — spytał Jim. — Chce pan powiedzieć, że artyści, którzy pojawili się w Black River Falls w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku, nie byli ludźmi? Że to były duchy? Iluzja? Zbiorowa sugestia?

— Prawdę mówiąc, nie wiem, bez względu jednak na to, kim byli, udało im się doprowadzić do szaleństwa połowę mieszkańców miasteczka. Chcę jedynie powiedzieć, że istnieją przypadki, kiedy zmarli pojawiają się wśród żywych i czasem mogą się na nich mścić.

— Uważa pan, że ten wodny duch to ktoś, kto umarł?

— Tak podejrzewam. Po telefonie Susan przypomniałem sobie, że w latach pięćdziesiątych naszego wieku donoszono o pojawieniu się bardzo podobnej zjawy. Sprawdziłem moje archiwum i znalazłem sporo materiałów na ten temat. Poświęcono tej sprawie kilka artykułów w „Los Angeles Times” i nawet artykuł wstępny w „Time”. W lecie tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku w okolicy Sherman Oaks utonęło siedem dziewczynek w wieku od dziewięciu do jedenastu lat. Nikt szczególnie się nie przejął pierwszymi trzema przypadkami, ale potem utonęła Jo–Anne Millar — córka Gary’ego Millara, który grał rolę Randy’ego w Pociągu towarowym. Wokół sprawy zrobił się szum, przeprowadzono szeroko zakrojone śledztwo, nie uratowało to jednak kolejnych trzech dziewczynek. Cała siódemka należała do zespołu pływania synchronicznego szkoły podstawowej Saint Bernadette przy Stone Canyon Avenue. Ich występy były owego roku jedną z atrakcji szkolnych obchodów święta Czwartego Lipca. Najprawdopodobniej zorganizowano wtedy przyjęcie na wolnym powietrzu, wystrzeliwano fajerwerki, grał zespół

jazzowy, na koniec odbył się pokaz w podświetlanej reflektorami wodzie. Następnego dnia, kiedy woźny szkolny czyścił basen z serpentyn i papierowych kubeczków, zauważył na dnie ciało. Była to Esther Jordache, lat dziewięć — najmłodsza członkini zespołu. Koroner uznał, że musiała pójść pod powierzchnię w trakcie pokazu, a ponieważ pozostałe dziewczynki uderzały w wodę i mocno ją spieniły, nie miała szans. Matka niczego złego nie podejrzewała, bo Esther miała spać u koleżanki, a koleżanka się nie zaniepokoiła, ponieważ Esther zawsze była cichą, introwertyczną dziewczynką, więc uznała, że po prostu zrezygnowała z noclegu u niej i pojechała do domu. Jednak miesiąc po tym utonęła kolejna członkini zespołu, po niej dwie następne. Świadkowie wszystkich trzech utonięć zgodnie stwierdzili, że mieli wrażenie, jakby dziewczynki były gwałtownie wciągane pod wodę. Dwóch świadków zeznało, że widziało wysuwające się z wody ręce, które ściągały dziewczynki w dół — choć poza nimi w basenie nikogo nie było. Koroner uznał, że świadkowie cierpią na szok pourazowy i po prostu wyobrazili sobie to, co opisali, jednak znany historyk Harold Bronsky stwierdził, że incydenty te bardzo przypominają pewien przypadek z czasu wojny secesyjnej, kiedy to młody jankeski oficer, Stephen Andrews, utonął w trakcie przekraczania pod ogniem rzeki Mattaponi. Gdy został postrzelony i upadł w wodę po kolana, żaden ze znajdujących się nieopodal siedmiu żołnierzy nie przyszedł mu na pomoc, ponieważ bali się snajperów konfederatów. W ciągu dwóch miesięcy wszystkich siedmiu utonęło: dwóch łowiąc ryby z łódki, jeden w zalanym wodą leju po bombie, jeden pływając w jeziorze, a trzech pozostałych podczas przechodzenia pod osłoną ciemności Dismal Swamp*. Byli w pełnym rynsztunku — z plecakami i karabinami — i weszli prosto w głęboką, niewidoczną dziurę. W trzech z pięciu przypadków świadkowie zeznali, że widzieli wynurzające się z wody ręce, które ściągały mężczyzn pod wodę, w jednym przypadku sierżant kawalerii zeznał, że widział „postać z wody, która wyglądała jak zrobiona ze szkła". Nazwali tę postać „Pływakiem" i przez długi czas wielu żołnierzy odmawiało przekraczania rzek brodami oraz kąpieli w strumieniach. Jednak po

śmierci siedmiu żołnierzy utonięcia się skończyły, co spowodowało powstanie wersji, że Pływak musiał być duchem Stephena Andrewsa, który wstał z wodnego grobu, by zemścić się na swoich kolegach za to, że pozwolili mu utonąć.

— I sądzi pan, że dziewczynki, które zginęły w latach pięćdziesiątych, były ofiarami Esther Jordache?

— Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości, ale nikomu o tym nie mówiłem. Oskarżono by mnie o chorą wyobraźnię i wzbudzanie u rodziców jeszcze większego żalu. Zarabiam pieniądze, pisząc o współczesnych mitach i legendach, i wiem, że ludzie lubią niezwykłe i straszne historie, nikt jednak nie lubi wierzyć, że te historie są prawdziwe — zwłaszcza jeżeli dotyczą małych dzieci.

— Co więc chcesz nam powiedzieć, człowieku? — spytał Washington. — Mówisz, że Dennis, Dottie i mały Mike zostali zaatakowani przez jakiegoś Pływaka?

* Dismal Swamp — bagnisty rejon w południowo–wschodniej części Wirginii i na północnym wschodzie Karoliny

Północnej, obecnie w dużej części osuszony.

— Na to wygląda, zwłaszcza że zarówno ty sam, jak i Jim widzieliście wodną postać. Uważacie, że to młoda kobieta?

— Bez wątpienia — odparł Jim. — Trudno powiedzieć na sto procent, ale moim zdaniem ma dziewiętnaście, może dwadzieścia lat.

— W takim razie spytam, czy znacie kogoś w tym wieku, kto niedawno utonął.

— Nikogo, kto utonął ostatnio.

— A rok temu? Dwa albo trzy lata temu? Trochę dawniej?

— Jedyny przypadek, który przychodzi mi do głowy, miał miejsce jedenaście lat temu, kiedy zaczynałem pracę w West Grove. Incydent miał miejsce w trakcie corocznej gali pływackiej. Po wyścigach pozwolono wszystkim wejść do basenu — dla zabawy. Jedna z uczennic skoczyła z

najwyższej trampoliny i uderzyła głową w dno basenu, a ponieważ w wodzie był tłum, nikt niczego nie zauważył… aż było za późno. Jak ona się nazywała? Jane… chyba Jane Tullett.

— Byłeś tam, kiedy to się stało? — spytał David DuQuesne.

— Oczywiście. Prawie cała szkoła była.

— Chodziła do twojej klasy?

— Tak. Miała dysleksję i próbowałem z nią nowej techniki korekcyjnej — polegającej na zakrywaniu jednego oka w celu ustabilizowania widzenia — i bardzo dobrze na nią reagowała.

— Czy to znaczy, że mogła cię traktować jako kogoś w rodzaju ojca? Kogoś, kto powinien się nią opiekować?

— Może w bardzo ogólnym znaczeniu… tak jak każdego innego nauczyciela. Pamiętam jednak, że była bardzo wrażliwa i bardzo entuzjastyczna, bardzo chciała się uczyć.

— Uważam, że powinieneś zacząć od poproszenia Susan, by spróbowała się skontaktować z Jane Tullett, sprawdziła, czy można dotrzeć do jej duszy. Jeżeli okaże się, że tak, powinieneś zapytać, czy to ona jest odpowiedzialna za utonięcia, i jeżeli potwierdzi — spytać, dlaczego to robi. Powinieneś spróbować się dowiedzieć, czy istnieje coś, co mógłbyś zrobić, żeby się uspokoiła.

— Możemy spróbować, jak najbardziej — powiedziała Susan — ale próba kontaktu z kimś, kto chce się zemścić na Jimie, może być bardzo niebezpieczna.

— Nie wiem, co innego mógłbym zaproponować. Pozostawienie duchowi swobody może się okazać tak samo niebezpieczne. Duchy mogą się rozsmakować w zabijaniu niemal tak samo jak seryjni zabójcy. Mogą poczuć dzięki temu władzę, ponieważ w ten sposób wywierają wpływ na świat materialny. Nie wiadomo, kogo utopi jako następnego i czy w ogóle zechce przestać to robić. Może zamierza odwdzięczyć się każdemu, kto był obecny tamtego dnia przy basenie.

— Mój Boże… — jęknął Jim. — Tam były setki ludzi…

Kiedy David mówił, Michael siedział spokojnie, teraz jednak energicznie pokręcił głową.

— Nie. W żadnym wypadku!

— Co w żadnym wypadku nie?

— W żadnym wypadku nie pozwolę Susan kontaktować się z tym Pływakiem. To zbyt ryzykowne. Może jej się coś stać, może oszaleć albo nawet zginąć. Nie jest wystarczająco silna psychicznie. Ponad rok zajął jej powrót do normy po ostatnim doświadczeniu… rok koszmarów nocnych, zwidów i stanów przerażenia, jakich nikt nawet nie potrafi sobie wyobrazić. Tak więc odpowiedź brzmi: NIE! I nic nie zmieni mojego zdania.

David DuQuesne popatrzył na Jima.

— Jeżeli Susan tego nie zrobi, będziesz musiał znaleźć kogoś innego.

— Nie ma innego sposobu na powstrzymanie tego ducha? — spytała Laura. — Jakiegoś egzorcyzmu, zaklęcia albo czegoś w tym stylu?

— O ile wiem, Pływak nie jest podatny na zwykłe działania, skuteczne w przypadku innych zjaw. To zjawisko całkowicie współczesne. Po śmierci Jo–Anne Millar wszyscy rodzice dziewczynek z zespołu pływackiego zamówili mszę i modlili się, by dusza Esther Jordache znalazła wieczny spokój. Poprosili nawet o specjalne błogosławieństwo kardynała O'Heenana, mimo to utonęły dalsze dziewczynki.

— Czyli naszą jedyną nadzieją jest negocjowanie?

— Nie ma innego sposobu powstrzymania Pływaka… poza odizolowaniem go od wody, aż całkiem straci moc, to jednak jest raczej niemożliwe. Woda jest wszędzie: w basenach, jeziorach, fontannach, nawet w zraszaczach trawników i domowych kranach. Do przyjęcia ludzkiej postaci Pływakowi wystarczy niecałe trzydzieści litrów wody. Tyle wypiera ludzkie ciało. Najskuteczniejszą metodą byłoby nawiązanie kontaktu z duszą tej dziewczyny i ustalenie, dlaczego tak się zachowuje. Może uda wam się ją jakoś zadowolić — zadośćuczynieniem, przeprosinami. Nawet martwi bywają rozsądni, zwłaszcza jeżeli zrozumieją, że nie są nam

obojętni.

— Mówi pan, jakby już miał pan z czymś takim do czynienia — zauważył Jim.

David DuQuesne obdarzył go dziwnym, trudnym do zinterpretowania uśmiechem.

— Jak wspominałem, jestem specem od mitów i legend, ale jak wszystko na tym świecie, niektóre mity nie są wcale takie mityczne, a legendy legendarne.

— W dalszym ciągu się nie zgadzam, by Susan kontaktowała się z tym Pływakiem — upierał się Michael.

— Nie ma sprawy. Znasz kogoś innego, kto mógłby się z nim skontaktować tak skutecznie jak Susan? Kogoś, kto jest wrażliwy parapsychicznie i jednocześnie silny psychicznie?

— Nie znam — przyznał Michael. — Znajdę jednak takiego kogoś, obiecuję. Nie ma mowy, bym pozwolił Susan na dalsze zajmowanie się tą sprawą. Mowy nie ma.

— Susan…? — spytał Jim, ale ona ujęła Michaela za rękę i nic nie powiedziała. — No dobrze. Nikt nie będzie nikogo do niczego zmuszał, tyle że Dottie jest na oddziale intensywnej terapii i może być zagrożone życie wielu ludzi. Jeżeli mamy znaleźć jakieś medium, gotowe skontaktować się z Pływakiem, zbierajmy lepiej dupę w troki.

Washington wbił w niego zdumiony wzrok.

— Lepiej weźmy się do pracy — poprawił się Jim.

Kiedy wychodzili, David DuQuesne położył Jimowi dłoń na ramieniu.

— Życzę ci szczęścia, Jim. Będziesz go dużo potrzebował. Niewielu ludzi wie, co naprawdę dzieje się na tym świecie…

— Niech mi pan powie, jak było z panem — poprosił Jim. — Coś musiało przyciągnąć pana do tego biznesu.

— Och… to było bardzo dawno temu, kiedy byłem dzieckiem. Mieszkaliśmy wtedy w Pensylwanii, niedaleko torów. Spiesząc rano do szkoły, mogliśmy z bratem albo jechać na

rowerach do najbliższego przejazdu kolejowego, albo przechodzić przez rurę odpływową, biegnącą w poprzek pod nasypem. Było tam ciemno i naprawdę strasznie, zwłaszcza w zimie, i trzeba było pełznąć na czworakach, ale oszczędzało to nam półtora kilometra drogi.

— Jim? Idziesz? — spytał niecierpliwie Michael. — Susan jest zimno.

— Zaraz do was dobiję.

— Nie chcę cię zatrzymywać — powiedział David DuQuesne. — Może porozmawiajmy innym razem.

— Nie, proszę opowiedzieć, co się stało w tunelu.

— Miejscowe dzieciaki opowiadały sobie, że przed wieloma laty pewien człowiek oszalał i zamordował żonę oraz trójkę swoich dzieci… poszarpał ich na kawałki hakiem do zdzierania skóry. Szeryf wysłał po niego grupę poszukiwawczą, ale mężczyzna schował się w tunelu pod nasypem. Każdy, kto tam wszedł, był rozrywany na kawałki — psy, zastępcy szeryfa, wszystko i wszyscy. Facet rozpruwał ich i jadł na surowo ich wątroby. Doktor Lecter był przy nim niczym — ten człowiek był naprawdę straszny. Nigdy go nie znaleziono, ale opowiadano sobie, że żył jeszcze wiele lat w lasach i od czasu do czasu, kiedy zgłodniał, szedł do tunelu i czyhał na ludzi, którzy chcieli skrócić sobie drogę. Nazywano go Szalonym Frankiem Rzeźnikiem.

David DuQuesne zamilkł na chwilę i zmrużył oczy.

— Co się stało? — ponaglił go Jim.

— Był luty, nie chodziłem do szkoły, bo chorowałem na odrę, i mój brat Philip poszedł do szkoły sam. Minęła czwarta, potem piąta i szósta. Matka zadzwoniła do szkoły, by się dowiedzieć, czy nie został dłużej na kółku dramatycznym, dyrektor powiedział jednak, że wcale nie przyszedł do szkoły, więc pomyślano, że też zachorował. Ekipy poszukiwawcze potrzebowały trzech dni, by go znaleźć… to, co z niego zostało. Znaleźli w tunelu jego rower, wokół leżały poszarpane książki. Jego ciało… cóż, z początku nie powiedziano mi prawdy, ale po jakimś czasie przeczytałem o tej

sprawie w starych gazetach. Został dosłownie poszarpany na kawałki i nigdy nie odnaleziono stóp. Wyobrażasz sobie? Przeszukali kilkanaście kilometrów kwadratowych i nie znaleźli jego stóp.

— Ustalono, kto to zrobił?

David DuQuesne pokręcił głową.

— Może Szalony Frank Rzeźnik, może inny, udający go wariat. Rozumiesz chyba teraz, dlaczego zainteresowałem się legendami miejskimi. W naszych miastach dzieją się rzeczy wykraczające poza granice racjonalnego wyjaśnienia, nie oznacza to jednak, że nie mają miejsca i że nie giną lub nie tracą zdrowia niewinni ludzie. Musisz znaleźć tego Pływaka, Jim, choć w tym przypadku raczej należałoby mówić o Syrenie.

— Syrenie? — powtórzył Jim.

— Tak, Syrenie. Susan ma rację, to bardzo niebezpieczne, ale jaki jest inny wybór? Pozwolić, by poparzyła innych uczniów? Utopiła ci w wannie kolejnych przyjaciół? Jim, ona mści się na tobie — nie ma co do tego wątpliwości — oraz na innych ludziach, którzy byli tam wtedy obecni. Jaka zemsta jest najboleśniejsza? Nie utopienie Jennie ani ciebie, ale osób, na których ci zależy. Bądź pewien, że ona nie przerwie tego, co robi. Nie spocznie, póki nie stracisz wszystkich, których kochasz.

— Jim! — zawołał Michael.

— Idę! — odkrzyknął Jim, ujął dłoń Davida DuQuesne i uścisnął ją. — Bardzo nam pomogłeś, Davidzie. Z tego co mówiła Susan, wywnioskowałem, że będziesz znacznie bardziej… powściągliwy.

— Bywam powściągliwy. Nawet bardzo, zwłaszcza w stosunku do świrusów i oszołomów, którzy próbują się ze mną kontaktować i opowiadają o uprowadzeniu przez Obcych. Kiedy jednak Susan zadzwoniła i opowiedziała o tym wszystkim, wiedziałem, że macie poważny problem… a jeżeli ktoś jest w niebezpieczeństwie, nie ma powodu być powściągliwym.

Jim zszedł po schodach i wsiadł do samochodu. Gdy odjeżdżali, odwrócił się — David DuQuesne stał sztywno wyprostowany na werandzie, jak kapitan tonącego liniowca. Jim poczuł do niego sympatię. Tak jak i on sam, David nawiązał kontakt z demonami tego świata i musiał mieć świadomość, że ciąży na nim straszliwa odpowiedzialność — odpowiedzialność, przed którą nie można uciec, niezależnie od tego, jak człowieka przeraża.

Gdy wrócił do domu, czuł się jak połamany na kawałki. Idąc korytarzem, poczuł ostry zapach czosnku, cebuli i sosu sojowego. Drzwi do mieszkania Mervyna były uchylone i kiedy Jim przechodził, Mervyn nagle się zmaterializował — w turkusowym kimonie, z włosami podciągniętymi do góry i spiętymi na czubku głowy na japońską modłę. Pulchne policzki pobielił mąką ryżową, a kredką do brwi zrobił sobie skośne oczy.

— Jim, czekałem na ciebie!

— Cześć, Mervyn. Wyglądasz jak gejsza.

— Gej na pewno, sza nie jestem pewien. Późno wróciłeś. Zacząłem się już martwić.

— Mieliśmy dziś w szkole wypadek. Jedna z moich uczennic została poparzona pod prysznicem. Leży u Sióstr Miłosierdzia, na intensywnej terapii. Potem miałem parę spraw do załatwienia.

— Mam nadzieję, że nie zapomniałeś?

— Przepraszam… o czym?

— Gotuję specjalną pożegnalną japońską kolację.

— Ach, tak… — Mervyn zaprosił go już kilka tygodni temu, ale pakowanie, perspektywa utraty Karen, a zwłaszcza sprawa Syreny spowodowały, że wypadło mu to z głowy. — Daj mi kilka minut, zaraz do ciebie przyjdę.

— Jeśli nie masz ochoty, nie obrażę się.

— Na Boga, oczywiście, że byś się obraził. Tyle włożyłeś w to pracy…

— Nie zapomnij przynieść listy tego, co jada TD, dobrze? I miski Jej Wysokości.

— Jasne. Dam ci też numer do jej weterynarza. Na wypadek, gdyby potrzebowała odrobaczenia albo czegoś podobnie paskudnego.

— Jim… przygotowałem posiłek narodowy, z ciasteczkami ryżowymi, ciepłą sake, *tempura** z warzyw i muzyką koto. Nie psuj go mówieniem o odrobaczaniu.

— Mervyn… to naprawdę nie było konieczne. — Jim był niemal zadowolony, że dzięki wizycie u Davida DuQuesne musiał odwołać kolację z Karen, ale Mervyn byłby niepocieszony, gdyby się nie pokazał u niego.

Mervyn machnął małą, pulchną rączką.

— Nie żartuj. Jak długo jesteśmy przyjaciółmi? Co by to było, gdybym nie mógł ci przygotować skromnej sayonara!

Jim ujął go za rękę.

— Masz rację. I naprawdę to doceniam. Daj mi tylko chwilę na pójście do łazienki.

— Jeśli chcesz, możesz skorzystać z mojej. Mam na ścianie wspaniały plakat z Jimem Morrisonem, w obcisłych skórzanych spodniach…

— Nie, wolę skorzystać z własnej. Nigdy nie byłem wielkim miłośnikiem Doorsów.

Jim poszedł do siebie i kilka razy ochlapał twarz lodowatą wodą. Zmienił koszulę i przeciągnął pod pachami dezodorantem. Przez chwilę przyglądał się sobie w lustrze i stwierdził, że sprawia wrażenie wymizerowanego. Nie zapowiadało to niczego dobrego. Od dnia, kiedy mając dziewięć lat wyszedł ze szpitala i zaczął widzieć biegających po ulicach nieżyjących ludzi, wiedział, że nigdy nie umknie od skutków bliskiego spotkania ze śmiercią. Śmierć dotknęła jego ramienia — CZEŚĆ, TO JA — i poinformowała, że zawsze będzie blisko.

Podeszła Tibbles Dwa i basowo pomrukując, zaczęła ocierać łepek o jego nogę.

— Daj spokój, TD, od jutra będziesz mieszkać z Mervynem. Nie rób się akurat teraz uczuciowa.

Wiem, że mnie nienawidzisz.

Kotka poszła do salonu, wskoczyła na stół i zaczęła trącać nosem talię Grimaud.

— Przestań, TD, nie chcę, żebyś mi przepowiadała przyszłość.

Tibbles Dwa znów trąciła nosem karty.

* Tempura — japońskie danie z warzyw i owoców morza, smażonych w głębokim tłuszczu.

— Uspokój się, co koty mogą wiedzieć? To kolejna szarada, prawda? Chcesz zwrócić na siebie uwagę. Zrozum… oddaję cię transwestycie, śpiewającemu rzewne piosenki o złamanych sercach, ale to wspaniały człowiek i zajmie się tobą lepiej ode mnie. Zapomnij więc o kartach. Nasze drogi się rozchodzą.

TD cały czas uderzała łapą w karty, aż rozsypały się po dywanie. Zeskoczyła na podłogę i wyciągnęła trójkę trefl — Nadzieję — z obrazkiem przedstawiającym stojącą na brzegu oceanu kobietę.

— Cóż, to najoptymistyczniejsza karta, jaką kiedykolwiek wyjęłaś… Nadzieja, tak?

Kotka popatrzyła na niego złowrogimi, żółtymi ślepiami i wyciągnęła drugą kartę — dziewiątkę pik. Karta numer 44, przedstawiająca Śmierć w poszarpanej szarej szacie.

— Dzięki za umilenie wieczoru. Nadzieja i Śmierć. Już czuję się lepiej.

TD powoli podniosła się na tylne łapy. Nigdy przedtem nie widział, by kot coś takiego robił. TD położyła uszy po sobie i tak zmrużyła ślepia, że wyglądała bardziej jak wąż niż kot. Kiedy wyciągnęła się na całą długość, Jim usłyszał dolatujący z kuchni nieoczekiwany łoskot.

— Co do…

Pobiegł do kuchni i stwierdził, że oba krany są odkręcone do oporu, a woda wali do zlewu i rozpryskuje się na boki. Zakręcił krany i wrócił do salonu, oklepując przód koszuli ręcznikiem. TD stała w dalszym ciągu pionowo i wpatrywała się w niego.

— Jak to się stało? Ty to zrobiłaś?

Kotka powoli opadła na cztery łapy, nie odwracała jednak wzroku od Jima.

— Ostrzegasz mnie, tak? Naprawdę mnie ostrzegasz…

TD nie poruszała się, obserwowała go w napięciu i wreszcie do niego dotarło, że musi podjąć decyzję o ściganiu Syreny.

Poszedł do Mervyna z butelką schłodzonego wina musującego Cuvee Napa, które trzymał na ostatnie spotkanie z Karen. Kosztowało tylko 12 dolarów i 98 centów, ale Mervyn zamrugał i powiedział:

— Szampan, *pour moi?* — Otworzył butelkę z cichutkim odgłosem, niczym fachowiec. — Wiesz, jak *sommeliers* nazywają dźwięk, jaki wydaje otwierana butelka szampana? *La pette d'une ange*. Pierdnięcie anioła.

— Zadziwiasz mnie swoją głęboką wiedzą, Mervyn.

— Wiedziało się i słyszało to i owo.

Siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na podłodze salonu, a przed nimi stały maleńkie, pokryte laką miseczki z duszonym korzeniem lotosu, sałatką z tuńczyka z pastą fasolową, usmażonymi na chrupko kawałkami kurczaka i zieloną papryką. W całym pokoju były porozwieszane papierowe latarnie. Mervyn puścił płytę z tradycyjną japońską muzyką ongaku — łagodną, smętną, niemal hipnotyzującą. Pili z małych filiżanek ciepłą sake i wkrótce Jim poczuł się zrelaksowany. Od niedzieli, od telefonu Jennie, żył w ciągłym napięciu.

— Muszę przyznać, że to mi się podoba — stwierdził.

— Cóż, będzie mi ciebie brakowało, mój drogi. Jesteś jedną z niewielu osób, która bierze mnie takiego, jakim jestem… nie na jakiego wyglądam.

— Niezbyt to łatwe. Teraz na przykład wyglądasz jak aktor z niskobudżetowej produkcji Mikado, grający w niej wszystkie role.

— Weź jeszcze trochę *takenoko kimpira*. Uwielbiam Gilberta i Sullivana. „Nie wstydzimy się dnia; jesteśmy pełni werwy — Księżyc i ja!". Mówiłeś o tym Davidzie DuQuesne… chyba o nim

słyszałem. Nie było go kiedyś w telewizji?

— Był. Miał dawniej program pod tytułem *Współczesne tajemnice*. Coś w rodzaju *Z archiwum X*, tyle że o prawdziwych zdarzeniach.

— Chyba pamiętam. W którymś programie pokazywał zakrwawione prześcieradło, które ożyło, prawda? Bleee! Tygodniami miałem potem nocne koszmary.

— Nic dziwnego. David powiedział, że musimy znaleźć wysokiej klasy medium i spróbować stanąć z tą wodną zjawą twarzą w twarz.

— Zdawało mi się, że już masz medium. Tę… jak jej tam… Susan Silverstone.

— Jej opiekun się nie zgadza, by to zrobiła. Mam wrażenie, że całkiem niedawno przeżyła coś bardzo niemiłego, spotkała się z jakimś obrzydliwym duchem i jeszcze się z tego do końca nie otrząsnęła.

— Smakują ci te korzenie lotosu? Podobno robią cuda, jeśli chodzi o seks. A może są dobre na katar? Zapomniałem. Powinieneś skontaktować się z moim przyjacielem Gabrielem Dragonardem — naprawdę nazywa się Rooney — jest medium. Prowadzi kącik porad w „Hollywood Reporter”… „porozmawiaj z bliskimi, których straciłeś…”.

— Jest dobry? Nie pomyśl, że jestem niegrzeczny, ale nie możemy ryzykować zlecenia tego zadania amatorom. Mogłoby im się coś stać.

— Nie, Gabriel jest doskonały. Naprawdę. Kiedyś nawiązał kontakt z Jamesem Deanem. Dean pożyczył od kogoś scenariusz do przeczytania—jedyną kopię — niestety zginął i scenariusza nie udało się odnaleźć. Jason porozmawiał z Deanem i dowiedział się, że zostawił ten scenariusz w męskiej toalecie w Beverly Wilshire… i tam go znaleziono. To prawdziwa, potwierdzona historia.

— Gdzie mogę go znaleźć?

— Jeśli chcesz z nim porozmawiać, zadzwonię do niego. Trochę się denerwuje, jeżeli ma do czynienia z ludźmi z ulicy. W końcu jednak publiczność tego właśnie się po nim spodziewa:

humorów artysty. Ale tobie nie zależy chyba na tym?

— Jeżeli coś wniesie…

— To coś w rodzaju przedstawienia, a Gabriel jest mistrzem show. Zna się na tym, co robi.

— Mam nadzieję. To może się okazać bardzo niebezpieczne.

Mervyn zlizał z palców sos sojowy i wziął telefon komórkowy. Wystukał numer Gabriela Dragonarda i zaczął czekać, aż przyjaciel odbierze.

— Powinieneś usłyszeć sygnał w jego telefonie — mruknął. — Danny Boy. Ma okropny gust… a właściwie wcale nie ma gustu. — W końcu musiał uzyskać połączenie, bo zawołał: — Gabriel! Co słychać? Tu Mervyn. Tak, wiem, ale byłem bardzo zajęty. Nie, nic z tych rzeczy, bezczelny chłopaku. Posłuchaj, Gabriel, pewien mój dobry znajomy chce się porozumieć z duchem… nie, nie przodkiem. Młodą dziewczyną, która sprawia mu trochę kłopotu… tak, zna nazwisko. Tak, prawdopodobnie może zdobyć zdjęcie. Problem w tym, że to bardzo złośliwy duch. Wiem. Wszystkie kobiety są takie same, nieprawdaż? — Zasłonił mikrofon dłonią i powiedział do Jima:

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chce porozmawiać z tobą osobiście. Jim wziął słuchawkę.

— Dzień dobry, panie Dragonard, nazywam się Jim Rook… mam nadzieję, że nie proszę o zbyt wiele.

Gabriel Dragonard mówił z lekkim irlandzkim akcentem.

— Zależy od tego, czego pan ode mnie oczekuje. Ale muszę pana uprzedzić — nawet jeśli jes pan przyjacielem Mervyna — obawiam się, że nie mogę tego zrobić za darmo. Medium także musi płacić rachunki.

— Nie ma problemu, jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia. Chcę, żeby nawiązał pan kontakt z duchem młodej dziewczyny, która utonęła mniej więcej dziesięć lat temu.

— Jakie sprawia kłopoty?

— Bardzo poważne. Utopiła dziewięcioletniego chłopca i mojego ucznia, próbowała także

utopić Mervyna.

Gabriel przez chwilę milczał, najwyraźniej się zastanawiał.

— To nie przelewki — oświadczył w końcu. — To trochę więcej niż *craic* ze zmarłym dziadkiem.

— Zgadza się… wiem, że to prawdopodobnie będzie niebezpieczne, ale jeśli się z nią nie skontaktuję, nadal będzie topić ludzi.

— Cóż, lubię wyzwania. Większość przywoływanych przeze mnie duchów to duchy starszych panów, które nie chcą rozmawiać o niczym innym poza golfem. Od czasu gdy poproszono mnie o przeprowadzenie egzorcyzmów w pewnym domu w Malibu, nie miałem do czynienia z naprawdę groźnym duchem.

— Przeprowadzał pan egzorcyzmy?

— Tak, jakieś trzy lata temu. Miejscowy ksiądz nie chciał się tego podjąć, twierdził, że pomysł opanowania człowieka przez złego ducha jest śmieszny. Niech pan sobie wyobrazi: ksiądz, który nie wierzy w złe duchy! Okazało się, że był to duch meksykańskiej służącej, która zaszła w ciążę ze swoim pięćdziesięciopięcioletnim pracodawcą i powiesiła się na schodach. Biedna dziewczyna miała dopiero siedemnaście lat. Kiedy człowiek, który ją skrzywdził, szedł spać, zawsze miał wrażenie, że dusi go sznur. Osobiście uważam, że sobie na to zasłużył, ale należało dać duchowi dziewczyny szansę odzyskania spokoju. Była trudnym duchem, bardzo mściwym. O mało i mnie nie udusiła, jeżeli jednak człowiek zna się na tym, co robi, niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie. Trzeba sprawić, by duch uznał, że żywi o nim pamiętają i zależy im na nim. Najbardziej złości je utrata fizyczności. Czują się przez to bezużyteczne i pozbawione nadziei. Trzeba im dać odrobinę wiary, no i oczywiście je uśmiercić.

Jim pomyślał o kartach, które wyciągnęła dla niego TD. Nadzieja i śmierć.

— Czy zechciałby pan przeprowadzić seans?

— Nie nazywam tego „seansami” — odparł nieco ironicznie Gabriel. — To, co robię, określane jest mianem „konsultacji transmigracyjnych”*.

— Rozumiem. Więc zechciałby pan się tego podjąć?

— Chyba tak… Jeżeli dogadamy się co do spraw zasadniczych.

— To znaczy?

— Z oczywistych powodów nie możemy pracować w pobliżu wody, poza tym chciałbym dostać z góry dwieście pięćdziesiąt dolarów i następne dwieście pięćdziesiąt po skutecznym skontaktowaniu się z duchem. Czy to uczciwa propozycja? To mniej niż połowa mojej zwykłej stawki.

— Zgoda — odparł Jim. Będzie musiał z tego powodu odłożyć zakup nowej rakiety tenisowej, ale to było pilniejsze. — Jaki termin by panu odpowiadał?

— Jutro, około dziewiątej. Dziewiąta to bardzo pomyślna pora dla duchów. Trzy razy trzy. Dwa razy trzy to sześć, trzy szóstki to sześćset sześćdziesiąt sześć.

— Nie mógłby pan dziś? Jutro mam lecieć do Waszyngtonu.

— Przykro mi, ale dziś jestem już zajęty. Mam sześć pań z Pasadeny. Decyzja należy do pana, wydaje mi się jednak, że ma pan bardzo, bardzo poważny problem. Im szybciej uspokoi pan tego ducha, tym lepiej dla wszystkich, którzy mają do czynienia z tą sprawą.

— Wobec tego jutro o dziewiątej. Niech mi pan poda swój adres.

Jim zapisał adres w Santa Monica i odłożył słuchawkę. Mervyn uniósł cienką kreskę brwi.

— Wszystko w porządku? — spytał.

* Transmigracja — przejście duszy po śmierci w nowe ciało albo nową formę życia.

— Oczywiście. Okazało się tylko, że ta kolacja wcale nie jest pożegnalna. Muszę przesunąć jutrzejszy lot.

— O! Tibbles będzie zachwycona…

Jim potarł oczy.

— Powiedz mi coś, Mervyn… miałeś kiedyś wrażenie, że jesteś przeklęty?

ROZDZIAŁ 9

Kiedy zaparkowali pod parterowym domem Gabriela Dragonarda przy końcu Lincoln Boulevard, wieczór wciąż jeszcze był nieprzyjemnie upalny. Laura miała na sobie skąpy różowy top i białą minispódniczkę, a Washington założył zdające się otaczać całą głowę okulary słoneczne z żółtymi szkłami, co miało mu pewnie nadać wygląd „superwyluzowanego".

Dom przywodził na myśl bajki braci Grimm — szybki w oknach były oprawne w ołów, dach pokryto jasnoczerwoną dachówką, werandę oplatała bugenwilla. Trawnik miał odcień kojarzący się z trucizną i wyglądał jak przystrzyżony nożyczkami do paznokci.

Nie czuć było najmniejszego powiewu, a mewy — nie wydając żadnego dźwięku — krążyły nad głowami w powietrzu gęstym jak syrop. Jim nie zadzwonił do Susan, by poinformować ją, co zamierza. Miał wrażenie, że gdyby się dowiedziała o konsultacji z innym medium, byłaby wściekła — niezależnie od tego, jak niebezpieczne byłoby dla niej nawiązanie kontaktu z Syreną i jak nieugięty byłby Michael. W końcu to ona sama odnalazła Jima, co oznaczało, że od chwili, gdy go ujrzała, musiała czuć potrzebę, by mu pomóc.

— Ten dom wygląda, jakby mieszkała tu Zła Wiedźma Zachodu — stwierdził Washington, kiedy wysiadali.

Na drzwiach frontowych wisiała duża głowa z brązu, przedstawiająca młodą kobietę w kapturze. Miała zamknięte oczy, jakby spała albo była martwa, i z jakiegoś dziwnego powodu na jej widok Jimowi zrobiło się nieswojo. Pociągnął za umieszczoną na głowie rączkę i w środku domu rozległ się długi i skomplikowany carillon*.

— Teraz już wiem, co twój przyjaciel miał na myśli, mówiąc o wątpliwym guście gościa — mruknął Washington.

Minęła dobra minuta, zanim otworzono drzwi i pojawił się chudy mężczyzna w okularach. Miał wielką szopę sterczących we wszystkie kierunki siwych włosów i trzydniowy, tak samo siwy, szorstki zarost, co upodabniało go do dzikiego zwierzęcia. Ubrany był w szmaragdową koszulę i piaskowej barwy lnianą kamizelkę, dobrane do niej kolorystycznie pogniecione spodnie, szmaragdowe skarpetki i sandały.

— Jim Rook, tak?

— Zgadza się. Miło pana poznać. A to Laura i Washington.

— Proszę wejść. Nie zapomniał pan o… zasadniczej sprawie?

Jim podał Dragonardowi białą kopertę.

— Przyniosłem też zdjęcie Jane Tullett.

— To dobrze. — Gabriel odsunął zdjęcie na całą długość ręki i przyjrzał mu się uważnie. — Jak zwykle wziąłem złe okulary. Zapraszam do domu.

Poprowadził ich przez hol, którego podłogi były wyłożone kafelkami, a ściany pokryte modnym, chropowatym tynkiem — do dużego salonu, też z kafelkowaną podłogą, tyle że całkiem białego: pomalowanego na biało i urządzonego białymi meblami, pokrytymi białą jutą, na których stały białe lilie w wysokich białych wazonach.

Pod jedną ze ścian stał duży, okrągły — także biały — stół, wokół niego białe krzesła z białymi poduszkami.

* Carillon — tu: melodia wybijana na zespole dzwonów.

— Dość tu biało — stwierdził Washington. Obszedł pokój z wyraźnym uznaniem, po czym stanął przy dużych, przesuwanych drzwiach, za którymi widać było zastawione terakotowymi donicami podwórko i basen. Gabriel popatrzył na zegarek.

— Zbliża się dziewiąta. Powinniśmy zaczynać. Nie będę próbował materializować tego ducha… nie jest to chyba w tej chwili konieczne, spróbuję się z nim porozumieć za pomocą

chińskiej sztuczki zwanej Rozmową Przez Dym. Podjąłem środki ostrożności — na wypadek, gdyby jednak zechciał nam złożyć wizytę — zamknąłem drzwi od podwórza, by nie dotarł do wody w basenie. Zamknąłem także drzwi do kuchni i łazienki.

— Ale przecież duchy mogą przechodzić przez drzwi — zauważyła Laura.

— Oczywiście, jednak nie wtedy, gdy przyjmują fizyczną postać. Duchy mogą przenikać przez drzwi i ściany, ale utworzona z wody postać nie może. Prawdopodobnie to nadmierna ostrożność, jednak z tymi mściwymi stworami nigdy nic nie wiadomo. Niektóre z nich to bardzo przebiegłe kreatury. — Gabriel obszedł stół dookoła i odsunął dla gości krzesła. Potem usiadł i położył płasko dłonie na błyszczącej białej powierzchni. — Ten pokój jest całkowicie biały, żeby nie było ciemnych kątów, w których duchy mogłyby się chować. Poza tym biały kolor symbolizuje czystość duchową i prawdę. Nawet nie zdajecie sobie sprawy z tego, jak straszliwymi kłamcami bywają duchy. Przede wszystkim okłamują same siebie. Próbują sobie wmówić, że gdyby nie niedbalstwo innych ludzi, znajdowałyby się jeszcze w świecie żywych. Jak większości ludzi, trudno im się pogodzić z tym, że same zawiniły własnemu nieszczęściu. To, że zmarły, to zawsze czyjaś wina… i ten ktoś musi zostać ukarany.

Wyciągnął spod blatu stołu płaską szufladę i wyjął z niej kartkę białego papieru oraz biały spodeczek. Potem wielkimi, błyszczącymi nożyczkami przeciął kartkę na pół i na jednej połówce napisał czerwonym atramentem: JANE TULLETT. Złożył połówkę z napisem w piramidę o trzech bokach i starannie ustawił ją na talerzyku.

— Trzy strony, każda ma trzy kąty. Trzy razy trzy to dziewięć — powiedział uroczyście.

Washington popatrzył na Jima ze zmarszczonym ze zdziwienia czołem, ale Jim przyłożył palec do ust.

Gabriel wyjął z białego pudełka zapałkę i zapalił ją. Przez chwilę trzymał ją w górze tak, że płomień odbijał się w szkłach jego okularów.

— Oto ogień, który uwolni twoje nazwisko, Jane Tullett, i sprowadzi cię do nas.

Podpalił papierową piramidkę, która natychmiast złapała ogień i zniknęła, zamieniając się w maleńką kupkę białego popiołu.

Nad stołem uniosła się chmura dymu i zatrzymała, kłębiąc się i przeplatając.

— Wzywam Jane Tullett! — zawołał Gabriel. — Wzywam Jane Tullett do wyjścia z cienia! Chcę zobaczyć jej twarz i usłyszeć jej głos!

Laura przygryzła wargę i wyglądała na spłoszoną, a Washington powoli kręcił głową, jakby nie mógł pojąć, dlaczego zgodził się przyjechać i oglądać to hokus–pokus.

— Wzywam Jane Tullett do opuszczenia świata ciemności i wyjścia w jasność. Rozkazuję ci, Jane Tullett. Jesteś martwa i masz powiedzieć żywym, dlaczego dokonujesz aktów zemsty. Masz do mnie mówić, ponieważ tak ci rozkazuję.

Głos Gabriela złagodniał i stawał się coraz cichszy, aż w końcu zaczął przypominać szelest papierowych serwetek. Równocześnie smuga dymu nad stołem zaczęła się zawijać w węzeł, rozwijać i tworzyć dziwne, wciąż zmieniające się kształty.

— Słyszysz mnie, Jane Tullett? — zapytał szeptem Gabriel. — Nie ma miejsca, w którym mogłabyś się schować. Utonęłaś w basenie i woda cię nie uwolni, dopóki nie pozwolisz, bym ci pomógł.

Mówił tak cicho, że Jim ledwie słyszał słowa — były to właściwie jedynie mlaśnięcia ust.

Washington i Laura pochylili się do przodu, by lepiej słyszeć. Nagle, wydając z siebie ogłuszający ryk i wypluwając ślinę, Gabriel zawołał:

— OTWÓRZ DRZWI ŚMIERCI, JANE TULLETT!!! STAŃ TAK, BYM CIĘ WIDZIAŁ!

Washington podskoczył i przyłożył dłonie do serca.

— Człowieku, o mało nie dostałem zawału…

Smuga dymu zaczęła się układać w twarz dziewczyny… podobnej do twarzy na drzwiach

wejściowych. Zjawa miała zamknięte oczy, a włosy zachodziły jej na twarz, jakby stała na wietrze. Jim wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Nie było wątpliwości — to była Jane Tullett. Kiedy ją rozpoznał, poczuł się, jakby poraził go prąd. Wyglądała dokładnie jak tego poranka, kiedy została wyciągnięta z basenu West Grove College — miała zamknięte oczy i lekko rozchylone usta. Trener podczas reanimacji złamał jej mostek — Jim zapomniał o tym, teraz jednak przypomniał sobie ten okropny trzask, jakby go znów usłyszał.

Gabriel spojrzał na Jima.

— Czy patrzysz na Jane Tullett? — zapytał.

Jim przełknął ślinę i skinął głową. Laura wpatrywała się w głowę z dymu, zakrywając dłonią usta, a Washington znów kręcił głową, tym razem jednak bez śladu sceptycyzmu.

— Jane Tullett, dlaczego nie możesz znaleźć spokoju? — dopytywał się Gabriel. — Dlaczego próbujesz zaszkodzić ludziom, którzy chcieli cię ratować?

Głowa z dymu nie odpowiedziała, jedynie przesunęła się i zadrżała, jakby poruszona wiatrem, którego nie było.

— Jane… — powiedział zachrypniętym głosem Jim — jestem Jim Rook. Pamiętasz mnie? Byłem twoim nauczycielem w drugiej specjalnej.

Głowa lekko rozchyliła usta, jakby chciała coś powiedzieć, nie usłyszeli jednak żadnego dźwięku.

— Jane… utopiłaś synka Jennie Bauer, utopiłaś Dennisa Pease'a, prawie ci się udało utopić mojego przyjaciela Mervyna. Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo chcesz nas zranić. Zrobiliśmy tamtego dnia wszystko co w naszej mocy, by cię uratować. Uwierz mi… twoja śmierć była wypadkiem. Nikt bardziej nie cierpiał z powodu twojej śmierci niż twoi przyjaciele w West Grove. Kochaliśmy cię wszyscy i kochamy także teraz.

Zjawa znowu zadrżała i dym częściowo się rozwiał, co wyglądało, jakby głowa się

rozpuszczała.

— Jane! — krzyknął Gabriel. — Jane, słyszysz mnie?! Rozkazuję ci odpowiedzieć! Jeżeli nam nie pomożesz, to nawet gdyby miało mi to zająć resztę życia, wyegzorcyzmuję twoją duszę!

Głowa stała się nieco wyraźniejsza. Jim dokładnie widział owal twarzy i długi, prosty nos.

— *...nie... można…* — Głos Jane nie był głośniejszy od uderzenia firanki o okno.

— Nie można? — zdziwił się Gabriel. — Czego nie można? Wyegzorcyzmować cię? Zobaczysz, że tak.

— *...nie można... znaleźć... spokoju...*

— Mylisz się. Możesz znaleźć spokój. Twoja egzystencja na tym świecie się skończyła, Jane… dziesięć lat temu, kiedy utonęłaś. Teraz powinnaś zasnąć i śnić po wsze czasy.

— *...nie mogę spać…* — powiedział cichy, drżący głos.

— Możesz, Jane. Zapomnij o życiu sprzed utonięcia. To tylko wspomnienie. Skończyło się raz na zawsze. Nie możesz dalej mścić się na przyjaciołach, na Jimie i ludziach, na których mu zależy. Nie byli odpowiedzialni za to, co się stało. Już po wszystkim, Jane, pogódź się z tym.

— Nic nie widzę — stwierdził Washington. — Nic nie widzę i nic nie słyszę.

— Cii… — skarciła go Laura i wzięła go za rękę. — Ta dziewczyna jest taka smutna…

— *...wszyscy muszą zapłacić...* — powiedziała głowa. — *...każdy... wszyscy muszą zapłacić...*

— Ale dlaczego? — spytał Jim. — Dlaczego wszyscy muszą zapłacić?

Dym znów zaczął się rozwiewać. Dłonie Gabriela drżały i widać było, że musi używać całej swojej siły, by zatrzymać zjawę.

— Nie utrzymam jej dłużej… — jęknął. — Może to i dziewczyna, ale opiera mi się z taką mocą…

— Jane, posłuchaj mnie! — przerwał mu Jim. — Muszę wiedzieć, dlaczego topisz ludzi! Muszę wiedzieć, czego chcesz! Powiedz mi, do czego dążysz!

Przez dziesięć sekund głowa milczała, a potem odwróciła się do Jima i otworzyła oczy. Jim opadł na oparcie, po raz pierwszy od początku seansu poważnie zaniepokojony. Oczy Jane były czarnymi, pustymi dziurami, co nadawało jej twarzy wyraz przerażającej złośliwości.

— *Co się stało tamtego dnia w basenie?* — spytała, a jej głos sprawił, że Jim poczuł się, jakby w dół jego kręgosłupa szedł włochaty pająk. — *Chcesz wiedzieć, do czego dążę? Lepiej zapytaj sam siebie, co naprawdę wydarzyło się tamtego dnia w basenie.*

— Skoczyłaś z trampoliny i uderzyłaś się w głowę. W basenie było zbyt wiele osób i nikt tego nie zauważył. To tragedia, ale zginęłaś w wyniku wypadku.

Głowa rozwiała się bez słowa i chmura dymu popłynęła w głąb pokoju. Po kilku sekundach zniknęła. Gabriel zdjął okulary, drżały mu ręce.

— To była bez wątpienia najtrudniejsza konfrontacja transmigracyjna, jaką kiedykolwiek miałem. Bez wątpienia.

— Nie rozumiem tego… — mruknął Jim. — Nie zauważyłem wtedy nic niecodziennego, a koroner uznał, że to była przypadkowa śmierć.

Gabriel wstał, wyjął z kieszeni brudną chusteczkę i hałaśliwie wydmuchał nos.

— Jak powiedziałem wcześniej, duchy są mistrzami w samooszukiwaniu się, jeśli chodzi o sposób, w jaki zmarły… zwłaszcza jeśli stały się ofiarami własnej beztroski. Najgorsze są ofiary wypadków samochodowych. „To nie moja wina! To on nie patrzył, jak lezie!”.

— I co teraz, panie Rook? — spytał Washington. — Nie wygląda na to, że Syrena przestanie topić ludzi, prawda?

— Na pewno nie. Moim zdaniem powinniśmy spróbować ustalić, czy w dniu, kiedy Jane zginęła, wydarzyło się coś niecodziennego… choć nie bardzo wiem, jak to zrobić.

— Nie jedzie pan do Waszyngtonu? — spytała Laura.

— Mogę przesunąć wyjazd o kilka dni, ale w poniedziałek rano muszę się zgłosić do pracy w

Ministerstwie Oświaty.

— Chętnie bym się czegoś napił — stwierdził Gabriel. — Ktoś ma też ochotę?

— Jeśli można, poproszę dietetyczną colę — powiedziała Laura.

— Najlepsze byłoby piwo — dodał Jim.

W tym momencie usłyszał dziwny dźwięk. Basowy, wściekły, szumiący — jakby nagle zerwał się huragan. Dom zadrżał, wysoki wazon z liliami przewrócił się i rozprysnął na podłodze.

— Trzęsienie ziemi? — Gabriel zmarszczył czoło.

— Nie wygląda mi to na trzęsienie — odparł Jim.

— Mam nadzieję, że to nie lawina błotna — zaniepokoił się Washington.

— Lawina błotna? Nie padało od dwóch miesięcy.

Jim wyjrzał przez okno na podwórko. Było niemal całkiem ciemno, ale widział, że gałęzie juk sieką w górę i w dół jak ramiona oszalałych tancerzy. O szybę uderzyła chmura suchych liści. Kiedy podszedł bliżej do okna i osłonił dłonią oczy, stwierdził, że przyczyną szumu nie był ani wiatr, ani trzęsienie ziemi.

Na podwórzu coś błyszczało. Coś ogromnego. Woda! Woda z basenu uniosła się i utworzyła gigantyczną falę, która pędziła w ich kierunku — tysiące litrów kipiącej wody — z prędkością oceanicznego liniowca. Jim nie zdążył nawet krzyknąć ostrzeżenia, kiedy fala z niszczycielską siłą uderzyła w okna, rozbiła szyby na miliony migoczących kawałeczków i wyrwała framugi.

Salon natychmiast wypełnił się spienioną wodą, której poziom błyskawicznie się podnosił.

Impet odbitej od ścian wody ściął Jima z nóg i przewrócił stół oraz krzesła. W ostatniej chwili Jim, zanim został wepchnięty pod wodę, dostrzegł Laurę — miała rozszerzone w panice oczy — nie widział jednak nigdzie ani Washingtona, ani Gabriela. Zaraz potem uświadomił sobie, że jest już pod wodą, bezradnie przetacza się po dywanie i zderza ze stolikiem do kawy. Słyszał zniekształcone krzyki i dudniące echa, a kiedy woda spowodowała spięcie, ujrzał kaskady iskier.

Wirując, przeleciał przez cały pokój i wypadł do holu. Udało mu się przytrzymać za górną część framugi drzwi i wystawić głowę nad wodę — w tym momencie obok niego przemknęła Laura. Poruszała ustami jak ryba, machała ramionami jak wiosłami i łapczywie próbowała chwytać powietrze. Zdążył złapać ją za ramiączko topu i wciągnąć za osłonę ściany, gdzie prąd nie był tak silny.

— Gdzie Washington?! — krzyknął.

— Nie wiem! Nie wiem! Co się stało? Skąd ta woda?

— Z basenu! Trzymaj się! Nie daj się wciągnąć w głąb!

Woda w salonie miała dobrze ponad dwa metry głębokości i kłębiła się, tworząc wielki wir. Kiedy Jim wyciągnął w górę rękę, dotknął sufitu — zamiast opadać, woda wciąż się podnosiła.

— Zostań tu! Muszę poszukać Washingtona!

— Niech mnie pan nie zostawia!

— Muszę!

Wziął głęboki wdech i zanurkował. W wirującej toni wszystko było pozbawione ciężaru — krzesła, lampy, książki, ozdoby. Daleko przed sobą dostrzegł ciemny kształt i ruszył w jego kierunku, choć woda obracała nim na boki i rzucała go na ściany.

Udało mu się dotrzeć do przewróconej kanapy i wspiąć się na nią — po odbiciu w górę wypłynął tuż pod sufitem, gdzie mógł złapać nieco powietrza. Hałas nad powierzchnią był straszliwy i zdawało się, że przez rozbite okno od strony basenu do pokoju nadal wpadają masy wody. Jim wziął wdech i ponownie zanurkował.

Z początku nigdzie nie widział Washingtona i zaczął się bać, że prąd gdzieś go poniósł, ale po chwili zobaczył wystającą spoza rzuconego w kąt wielkiego telewizora wierzgającą nogę. Podpłynął bliżej i odepchnął telewizor na bok. Washington tkwił w rogu pokoju z nogami omotanymi sznurem od telewizora i szarpał się, by uwolnić stopy. Jim próbował go oswobodzić,

ale kabel był tak mocno zaciśnięty, że nie mógł zahaczyć palców, by go poluzować. Washington wściekle szarpał Jima za rękaw. Z jego ust wydobywały się pęcherzyki powietrza i wydał z siebie rozpaczliwy, stłumiony przez wodę krzyk. Jim jeszcze kilka razy szarpnął za kabel, ale nic nie mógł wskórać.

Oderwał dłonie Washingtona od swoich rękawów i przesunął chłopaka na bok, po czym z całej siły odbił się obiema nogami od ściany. Washington patrzył na niego z przerażeniem w oczach, jednak Jim nic nie mógł zrobić. Dopłynął pod wodą w miejsce, gdzie widział przedtem przewrócony stół Gabriela i rzeczywiście — stół leżał tam, gdzie miał nadzieję go znaleźć. Zaczął macać wokół, aż wymacał szufladę. Otworzył ją gwałtownym szarpnięciem. W wirującą wodę wyfrunęły kartki papieru, ołówki i koperty, Jim zaraz jednak dostrzegł to, czego szukał — błyszczące nożyczki. Wziął je do ręki, wypadły mu, znów je podniósł i, walcząc z prądem, który jeszcze się nasilił, wrócił do Washingtona.

Głowa opadła chłopakowi do tyłu, miał jednak otwarte oczy, a z jego ust wydobywała się cienka strużka pęcherzyków powietrza. Jim wcisnął ostrze nożyczek pod sznur i przeciął go trzema krótkimi ruchami. Wyciągnął Washingtona z kąta i zaczął go wlec w kierunku rozbitego okna, idąc po podłodze powolnym, tanecznym krokiem nurka głębinowego. Wiedział, że nie starczy mu sił, by wyciągnąć Washingtona na powierzchnię, i mógł jedynie mieć nadzieję, że wpadający przez okno rwący potok osłabł.

Holując nieruchome ciało, doszedł do okna po porozbijanym, rozproszonym na namokniętym dywanie szkle. Powietrze w jego płucach było już całkowicie zużyte i miał wrażenie, że za chwilę popękają mu bębenki w uszach. Ostatnim wysiłkiem zrobił krok przez okno i stwierdził, że jest na podwórku, gdzie woda sięga jedynie do kolan.

Wyciągnął Washingtona na zewnątrz i jakimś sposobem udało mu się oprzeć go o ścianę domu — z głową nad linią wody. Salon za jego plecami wypełniała szalejąca kipiel, przypominająca

kilwater za ogromnym statkiem. Basen był niemal pusty, ale woda w dalszym ciągu wypływała z niego do góry i przepływała z szumem przez podwórko, jakby chciała wypełnić salon po sufit.

Jim ułożył Washingtona w pozycji reanimacyjnej i zaczął mu masować klatkę piersiową. Po kilku sekundach chłopak charknął i zwymiotował dwa litry wody.

— Washington! Słyszysz mnie? — wrzasnął Jim.

— Słyszę… słyszę… — odpowiedział kaszląc Washington.

— Wszystko w porządku? Muszę wyciągnąć Laurę.

— Idź po nią, człowieku. Nic mi nie będzie.

— Na pewno?

— Bądź tylko ostrożny. Ktoś obwiązał mi nogi kablem. Z rozmysłem.

— Widziałeś, kto to był?

— Nikogo nie widziałem. Tylko czułem. W wodzie ktoś był, ale nie widziałem kto.

— Nie denerwuj się, dobrze?

Jim przeszedł przez sięgającą do kolan wodę na zewnątrz domu i na chwilę zatrzymał się przed szalejącym w środku ciemnym, spienionym wirem. Był on zaprzeczeniem wszelkich praw natury, ale może istnieją siły natury znacznie potężniejsze od tych, które znamy?

Wciągnął głęboki haust powietrza, po czym skoczył w ścianę wody, wypełniającą przestrzeń, gdzie kiedyś było okno. Miał wrażenie, że został trafiony z armatki wodnej — natychmiast ścięło go z nóg i został rzucony na róg dużej, białej, oszklonej szafki, w której wirowały i podskakiwały wyroby ze srebra.

Bolało go biodro, ale udało mu się wypłynąć na powierzchnię wody. Pod sufitem pozostało nie więcej niż trzydzieści centymetrów powietrza i mógł się trzymać żyrandola. Paliły się jeszcze dwie żarówki, dzięki czemu widział Laurę w drugim końcu pokoju. Udawało jej się nie puścić górnej części framugi.

— Lauro! — krzyknął do niej. — Możesz tu podpłynąć?

— Nie wiem! Mogę spróbować!

— Widziałaś Gabriela?

Pokręciła głową.

— Chyba go słyszałam, ale nie wiem, gdzie może być!

— Dobrze… zacznij płynąć w moją stronę! Uważaj na prąd!

Laura przez chwilę się wahała, wreszcie jednak odbiła się od drzwi. Natychmiast zniosło ją na lewo. Zaczęła krzyczeć i dziko walić ramionami, próbując utrzymać się na powierzchni wody.

— Płyń dalej! Płyń na mnie! Nie zatrzymuj się!

— Nie mogę! Zaraz… BLLLGGGHHHBBLLE! Nie mogę!

— Możesz! No już, Washington jest uratowany! My też zaraz się stąd wydostaniemy!

Laura oparła się dłonią o ścianę i na chwilę odzyskała równowagę.

— Płynę! — zawołała. — W porządku, uda mi się! Skoczyła ponownie w wir i tym razem — nie walcząc z ruchem wody, lecz korzystając z niego — pomknęła w kierunku Jima. Poruszała się tak szybko, że nie był pewien, czy uda mu się ją chwycić. Kiedy po nią sięgnął, poczuł szarpnięcie żyrandola w dłoni. Próbował złapać Laurę za nadgarstek, ale wyślizgnęła mu się i chwycił jedynie palce.

— Wydostaniemy się! — zapewnił. — Musimy tylko zanurkować i wypłynąć oknem na podwórko.

— Nie rozumiem!

— Na podwórku prawie nie ma wody, jest tylko w domu!

W dalszym ciągu nie rozumiała, nie było to jednak istotne.

Musieli uciec z salonu, zanim woda podniesie się jeszcze wyżej. Fizycznymi niemożliwościami mogli się martwić później. Jim z całej siły chwycił dłoń Laury.

— Gotowa? Weź głęboki wdech!

Zanim jednak zanurkowali, woda między nimi eksplodowała i nad powierzchnię z rykiem wyskoczyła siwa głowa z wytrzeszczonymi oczami, tryskająca wodą z ust jak gargulec.

Laura wrzasnęła i puściła dłoń Jima. Wir natychmiast pociągnął ją ze sobą z taką siłą, że huknęła w przeciwległą ścianę. Siwa głowa przez straszliwy moment wpatrywała się w Jima, w jej gardle bulgotała woda. Ledwie zrozumieli, co się dzieje, głowa gwałtownie zniknęła pod powierzchnią.

ROZDZIAŁ 10

— Gabriel! — krzyknął Jim i szybko wsadził rękę pod wodę, by spróbować go złapać, ale mu się nie udało. — Trzymaj się! — krzyknął do Laury. — Zanurkuję i zobaczę, co z Gabrielem!

— Nie zostawiaj mnie! — zapiszczała Laura. — Woda się podnosi!

— Wytrzymaj jeszcze trochę, muszę go poszukać!

Tak naprawdę nie wierzył, że Gabriel jeszcze oddycha — był zbyt długo w wodzie. Sposób, w jaki się zanurzył, wskazywał na to, że ściągnęło go coś silniejszego od wiru. Jim wiedział, że musi to sprawdzić. Musi się dowiedzieć. W końcu był jedyną osobą, która mogła sprawić, by przestali być topieni ludzie.

Niczego bardziej nie pragnął, niż wziąć Laurę za rękę i wypłynąć na zewnątrz. Nie chciał zostawać męczennikiem, nie miał jednak innego wyjścia.

Puścił żyrandol i zanurkował. Paliła się już tylko jedna żarówka i pod wodą było znacznie ciemniej. Jakby tego było mało, wirująca woda rozniosła poszarpane kawałki papieru, więc pływanie przypominało poruszanie się w gęstej śnieżycy.

Dotknął Gabriela, zanim go zobaczył: zimne palce medium przeciągnęły po jego policzku jak krabie szpony i Jim nie mógł się powstrzymać przed wypuszczeniem powietrza. Nie było wątpliwości, że Gabriel utonął. Obracając się i przekręcając w chmurze strzępków papieru,

wpatrywał się w Jima niewidzącymi oczami.

Jim szybko się rozejrzał. Może się pomylił, a Gabriel zanurzył się tak szybko, bo opił się wody? Dostrzegł jednak jakiś cień — dwa i pół, może trzy metry na lewo, poruszający się z wirem. Mignęły stopy, zafalowały włosy.

Brakowało mu powietrza, ale odepchnął się ponownie i popłynął przez pokój. Kiedy dotarł do przeciwległej ściany, nikogo i niczego tam nie było. Odwracał się gwałtownie na boki, dla utrzymania równowagi machając rękami jak przy pływaniu pieskiem.

Nie — jeżeli Syrena tu była, nie ukazywała się. Trudno, teraz najważniejsza jest Laura. Syrena będzie musiała zaczekać.

Kopnął nogami, by wypłynąć, i nagle poczuł, że coś go drapie po kostkach, a potem za nie chwyta. Nie coś — ktoś. Próbował wyrwać nogi, ale dwie silne ręce pociągnęły go w dół.

Spojrzał w górę. Metr nad głową miał ostatnią palącą się żarówkę, drżącą i podskakującą w skłębionej wodzie. Ponownie spróbował się uwolnić, ale chwyt na nogach był zbyt mocny.

Spojrzał w dół i przez kłębowisko papieru dostrzegł błyszczącą i zarazem przezroczystą twarz Jane Tullett, zacienione oczy i falujące włosy. Wpatrywała się w niego ze straszliwą nienawiścią i z premedytacją go topiła.

Jim pomyślał, że jeśli go utopi, może zostawi w spokoju jego uczniów i przyjaciół, wiedział jednak, że nie może dać się z rozmysłem uśmiercić. Pomijając fakt, że nie pozwalał mu na to instynkt samozachowawczy, jaką mógł mieć gwarancję, że Syrena uzna, iż jego zabicie jest dostateczną zemstą?

Ręce Syreny wspinały się po jego nogach, aż złapały go za kolana, potem za uda. Choć przezroczysta, była niezwykle silna i nie mógł się wyrwać. Nie mógł też jej chwycić — była śliska jak naoliwiona.

Boże, myślał, ona naprawdę zaraz mnie utopi. Umrę w zalanym wodą cudzym salonie i nikt w

to nie uwierzy. Ujrzał nad swoim grobem ubraną na czarno Karen.

Przekręcił się tak, że klęczał, podpierając się dłońmi. Syrena podpłynęła od tyłu i złapała go za gardło. Nie naciskała wystarczająco mocno, by go udusić, ale chwyt był na tyle silny, że czuł coraz większą potrzebę wciągnięcia powietrza.

Resztką sił zaczął pełznąć po podłodze, ciągnąc za sobą uczepioną szyi Syrenę. Nie wiedział, czy mu się uda dotrzeć do okna, musiał jednak spróbować. Syrena usiłowała go powstrzymać, ale pełzł dalej. Choć jego płuca rozpaczliwie domagały się tlenu, nie otwierał ust. Aby ułatwić sobie przesuwanie się, wpijał palce w przesiąknięty wodą dywan, łapał brzeg kanapy, przytrzymywał się przewróconych mebli.

Kiedy zbliżali się do końca pokoju, Syrena wzmocniła chwyt i oczy Jima zaszły czerwienią.

Mimo to dotarł jakoś do okna, przez które ciągle jeszcze wlewała się woda, i wpełzł na porozbijane szkło, nabijając sobie dłonie i kolana okruchami, aż woda spieniła się na czerwono.

Nagle Syrena tak mocno go poddusiła, że niemal stracił nadzieję. Po chwili jednak poczuł pod kolanem ostrą krawędź framugi i wypadł na podwórko, gdzie woda opadła do kilku centymetrów. Syrena wypłynęła za nim.

Natychmiast puściła jego szyję i poczuł, że po plecach spływa mu woda, jakby zjawa traciła materialny kształt. Upadł na bok i popatrzył w górę — Syrena pochylała się nad nim, to znaczy jej duch, pozbawiony substancji duch, którego tylko on mógł widzieć.

— Skończ z tym… — wycharczał. — Nie top nikogo więcej.

Ale nienawiść na jej twarzy nie ustąpiła ani na jotę. Wpatrywała się w niego przez kilka sekund ukrytymi w cieniu oczami, po czym wstała i odeszła w ciemność. Jeszcze przez chwilę Jim słyszał szybkie, klaszczące pluśnięcia w wodzie.

— Panie Rook! — zawołał Washington. — Nic panu nie jest? Gdzie Laura? — Chłopak podszedł i ukląkł obok Jima. — Gdzie jest Laura, panie Rook? Co tu się działo?

Jim nie mógł odpowiedzieć, bo kiedy duch Syreny zniknął, znajdująca się w salonie woda wypadła przez okno z takim samym rykiem, z jakim przedtem przez nie wpadała. Jim i Washington popłynęli przez podwórko, razem z leżakami do opalania się, parasolami, kanapami, stołami i książkami. Wciągnęło ich do pustego basenu, po czym na ich głowy spadły tysiące litrów wody. Woda pieniła się i waliła, aż Jim niemal stracił nadzieję, że to szaleństwo kiedykolwiek się skończy.

Z domu doleciał krzyk i przez drzwi wypłynęła Laura — popłynęła przez podwórko i została wrzucona do basenu jak popsuta lalka. Na chwilę zniknęła im z oczu, Washington jednak natychmiast ruszył do niej, walcząc z wciąż zalewającą go wodą. Pomógł dziewczynie wstać i cała trójka ruszyła do płytkiego końca basenu, by przeczekać najgorsze.

Porucznik Harris stał na środku salonu, z którego każdego występu kapała woda.

— To… — uniósł dłoń i pomachał nią jak dający błogosławieństwo biskup — to nie jest normalne.

— Nie — zgodził się Jim.

Podszedł do nich łysy, wyglądający na biznesmena patolog i ściągnął gumowe rękawiczki.

— Dziwne. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

— Jaka jest przyczyna śmierci?

— Nie ma wątpliwości. Uduszenie spowodowane utonięciem.

Porucznik Harris zrobił kilka wielkich kroków, przy każdym z nich podeszwy jego butów piszczały na dywanie. Tak mocno pachniało chlorem, że wszystkim obecnym łzawiły oczy.

— Coś wskazującego na przestępstwo?

— Zasiniaczenia obu kostek i mięśni lewej łydki, wskazujące na silne pociągnięcie albo wleczenie.

— Rozumiem. Ale co go ciągnęło albo wlokło? Albo kto?

— Ślady palców wskazują, że to… młoda kobieta.

Porucznik Harris potarł kark.

— Nie rozumiem. Jak można zostać utopionym we własnym salonie?

— Niech się pan rozejrzy, poruczniku. Tu musiały być tysiące litrów wody. Sądząc po ścianach, doszła na osiem, może dziesięć centymetrów pod sufit.

— Tylko w jaki sposób? — spytał Jima porucznik. — Jak tysiące litrów wody mogą wypłynąć z basenu i wpłynąć do salonu? W szkole uczyli mnie, że woda nigdy nie płynie pod górę.

— W pewnych okolicznościach to możliwe. Może na przykład dojść do efektu ssącego, z jakim mamy do czynienia, kiedy zasysamy benzynę rurką z baku samochodu. Zdarzają się też nagłe przesunięcia mas wody, spowodowane gwałtownym deszczem, może również wystąpić powodujące tsunami trzęsienie ziemi.

— Dziś wieczorem nie było trzęsienia ziemi, panie Rook… a przynajmniej ja o żadnym nie słyszałem. Nie było też przerwania zapór wodnych, pęknięcia głównych przewodów wodociągowych ani nie padało.

Jim wzruszył ramionami.

— W takim razie jest pan tak samo mądry jak wszyscy inni. Jedyne, co wiem, to że woda wypłynęła z basenu i wpłynęła do salonu.

— Wie pan co? Wszędzie, gdzie się spotykamy, a zdarza się o częściej, niż wynika z rachunku prawdopodobieństwa, dzieje się coś nienaturalnego. Coś, co przeczy naturalnemu porządkowi rzeczy.

— To Los Angeles. Całe to miasto przeczy naturalnemu porządkowi rzeczy.

Jim odwiózł Washingtona i Laurę do domów. Zanim Laura wysiadła, powiedział:

— Lauro, uważam, że lepiej będzie, jeżeli się z tego wycofasz. Nie mogę ryzykować, że coś ci się stanie.

— Ale ja chcę panu pomóc. A także wszystkim z drugiej specjalnej. Co będzie, jeżeli się wycofam i ktoś jeszcze utonie? Jak wtedy będę się czuła?

— Lauro, jestem za ciebie odpowiedzialny, a wystawianie cię na takie niebezpieczeństwo nie jest odpowiedzialne. Mogliśmy dziś wszyscy utonąć… i komu by to coś dało?

— Przykro mi, ale nie zamierzam się wycofywać i nic ani nikt mnie nie powstrzyma. Mam pewne pomysły w sprawie tego wodnego ducha, muszę tylko zajrzeć do moich wiedźmich ksiąg.

Jim był tak przemoknięty i zmęczony, że nie miał siły się kłócić, otworzył więc drzwi i powiedział:

— Jak chcesz… Przejrzyj więc swoje książki i zadzwoń do mnie jutro, byle nie za wcześnie.

Kiedy odwoził Washingtona, spytał:

— Masz jakąś teorię na temat tego, co się tam dziś działo?

— Nie wiem, proszę pana. To było kompletnie nierealne, miałem jednak dziwne wrażenie… jakby woda chciała się nam dobrać do skóry.

— Ciekawe. Ja również odniosłem takie wrażenie. To nie tylko Syrena… woda też chciała się na nas zemścić…

Kiedy podjechali pod dom Washingtona, dwie dziewczyny w króciutkich spodenkach, siedzące na murku i kiwające nogami, zawołały:

— Hej, Washington! Idziesz wieczorem do „Ice Club”?

Washington wysiadł.

— Zadzwonię jutro do pana, panie Rook. Niech pan nie próbuje mnie z tego wyślizgać. Chcę tego drania złapać tak samo jak pan.

Jim kiwnął głową, że się zgadza, i odjechał.

Kiedy wszedł do domu, TD natychmiast pobiegła do kuchni i zaczęła miauczeniem domagać się jedzenia i mleka, jednak Jim najpierw podszedł do lodówki i wyjął piwo. Otworzył puszkę i

kilkoma haustami wypełnił usta, aż wydęły mu się policzki.

— Pan przed zwierzyną — mruknął. — To się nazywa porządek dziobania.

Poszedł do łazienki, po drodze ściągając mokrą koszulę i spodnie. Pognieciony płaszcz powiesił na drzwiach do łazienki w nadziei, że para trochę go wygładzi.

Po kąpieli włożył czyste spodnie i podkoszulek, wrócił do salonu i włączył telewizję. Zdążył obejrzeć końcówkę reportażu o wydarzeniach w domu Gabriela Dragonarda. „Policja w dalszym ciągu nie rozumie, w jaki sposób tak wielka ilość wody dostała się do domu i utopiła właściciela. Trzy osoby, które przeżyły, również nie umieją wyjaśnić, jak do tego doszło — przeczy to wszelkim prawom fizyki. A teraz…".

Zaczął wykładać do miski TD jedzenie z puszki, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych. Podszedł do nich z łyżeczką i do połowy opróżnioną puszką w dłoniach i wyjrzał przez judasza. Na zewnątrz stali Susan Silverstone i Michael.

— Chwileczkę! — zawołał i otworzył drzwi.

Susan wpadła do środka, mijając go jak burza. Miała srebrną twarz, czarne włosy zaplotła w skomplikowany warkocz, ubrana była w długą, czarną suknię z głębokim dekoltem na plecach, a na szyi miała całą kolekcję srebrnych krzyżyków na srebrnych łańcuszkach. Za nią wszedł Michael — w starym płóciennym kapeluszu, który upodabniał go do rencisty — nadąsany i wściekły.

— Przepraszam — usprawiedliwiała się Susan — nie chciałam przerywać kolacji…

Jim popatrzył na puszkę z kocim jedzeniem.

— O… nie ma sprawy. Właściwie już skończyłem. Wchodźcie.

— Właśnie widzieliśmy wiadomości — powiedziała Susan. Zabrzmiało to raczej jak pytanie.

— Tak… właśnie widzieliśmy wiadomości — zawtórował jej Michael.

— Widzieliśmy cię — dodała oskarżycielsko Susan. — Ciebie i twoich uczniów. Przeprowadziliście seans, prawda?

— Tak, ale bardzo źle się skończył. Mieliśmy szczęście, że nie potonęliśmy.

— Dociera do ciebie, jakie to było nieodpowiedzialne?

— Nie mieliśmy zbyt wielkiego wyboru. Nie chciałaś nawiązać kontaktu z Syreną, bo Michael ci zabronił.

— Daj spokój, Jim — mruknął Michael. — Nie obiecałem, że zrobię wszystko, by znaleźć inne medium?

— Zgadza się, obiecałeś. I znalazłeś kogoś?

Michael skrzywił się.

— Nie, jeszcze nie.

— Oczywiście, że nie, bo pewnie nawet nie próbowałeś. Co jest grane, Michael? Musimy unieszkodliwić Syrenę. To bardzo ważne. Cała moja klasa jest zagrożona — nie wspominając o ludziach, którzy mi pomagają. Nie chcę, by okazało się, że Gabriel Dragonard utonął na darmo, tak jak Mikey i Dennis. Nie chcę też, by okazało się, że Dottie cierpiała za nic.

— Posłuchaj… za tą sprawą kryje się znacznie więcej, niż myślisz — oświadczył Michael.

— Pewnie masz rację i dlatego robię, co się da, by odkryć prawdę.

Michael był wyraźnie podniecony. Ciągnął się za płatki uszu i nerwowo przeczesywał palcami włosy.

— Powiedziałem Susan, że nie powinna się kontaktować z Syreną, ponieważ martwię się o nią i nie chcę, żeby jej się cokolwiek stało. Na Boga, Jim, nie mamy tu do czynienia z byle jakim mściwym duchem, ale z elementarnymi siłami zła.

— To znaczy?

— Jim, kiedy Susan poprzednim razem spróbowała zrobić coś podobnego, prawie rozpadła się na kawałki — zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Omal nie umarła — choć jest jednym z najsilniejszych mediów, jakie spotkałem. Jak ci mówiłem, ponad rok trwało, zanim się jako tako

pozbierała, ale w dalszym ciągu bardzo łatwo ją zranić. Nie chcę, by coś podobnego się powtórzyło.

— Nie powtórzy się, jeżeli znajdziesz inne medium.

— W tym problem. Każde medium, które spróbuje walczyć z tymi siłami, będzie zagrożone… niezależnie od tego, jak jest dobre. Zobacz, co się stało z Gabrielem Dragonardem. Boże, gdybym wiedział, co zamierzacie, powstrzymałbym was…

— Gabriel wiedział, że to będzie ryzykowne.

— Wiedział, że może utonąć we własnym domu? Nie sądzę. Nikt tak naprawdę nie rozumie tych sił. Nie mamy ani wystarczającej wiedzy technicznej, ani odpowiedniej siły psychicznej, by nad nimi zapanować. Poza tym one wszystkie zmieniają się z dnia na dzień, nie wiadomo więc, na co się przygotować.

— Rozumiem — odparł Jim. — Czyli obiecując mi, że poszukasz innego medium, grałeś tylko na zwłokę. Próbowałeś jedynie powstrzymać mnie przed przekonaniem Susan, że powinna nam pomóc.

— W porządku, przyznaję się. Jeszcze przed rozmową z Davidem DuQuesne pozwoliłbym ci na to, ale potem zrozumiałem, z czym naprawdę mamy do czynienia. Pływacy pojawiają się dopiero od stu pięćdziesięciu lat, prawda? Dlaczego?

— Nie wiem. Prawdopodobnie masz jakąś teorię na ten temat.

— Woda zawsze chroniła potężne duchy… wystarczy przeczytać starogreckie opowieści morskie albo legendy Indian amerykańskich. Jednak sto pięćdziesiąt lat temu woda była za czysta, by zabłąkany duch, taki jak Jane Tullett, mógł ją wykorzystać do zemsty.

— Co się od tego czasu zmieniło?

— Dziś woda jest zanieczyszczona, co oznacza, że żyjące w niej siły nadprzyrodzone też są brudne. Co się stanie, jeżeli da się ludziom do picia brudną wodę? Zaczną chorować na cholerę i

czerwonkę, pojawią się schorzenia wątroby i deformacje płodów, jakie zaczęły występować na przykład w Japonii. To samo dzieje się z żyjącymi w wodzie duchami. Są chore. Duchy chorują. — Michael uniósł palec. — W świecie starożytnym istniały cztery zasadnicze żywioły: powietrze, ogień, woda i ziemia. To z nich wykształciła się medycyna, religia, astrologia, spirytualizm i rytuały magiczne. Żywioły były prawdziwe i czyste. Powietrze było czyste — ogień powstawał ze spalania naturalnych materiałów, takich jak drewno i węgiel, a woda była na tyle czysta, że mogły w niej żyć ryby. Jedynymi nawozami były kompost organiczny i obornik. Teraz w powietrzu jest mnóstwo ołowiu, siarki, tlenku węgla i Bóg wie czego jeszcze, spala się tworzywa sztuczne i mnóstwo obrzydliwych śmieci, w rzekach jest mnóstwo ścieków przemysłowych, a w ziemi nawozów sztucznych i płynów, przesączających się z wysypisk śmieci. Każda wypijana w Los Angeles szklanka wody na pewno przeszła przedtem przez organizmy ośmiu ludzi. Jeśli zatruwamy środowisko naturalne, to sądzisz, że nie zatruwamy również środowiska nadprzyrodzonego? Jim upił kolejny łyk piwa.

— Ciekawa teoria. Masz jakieś dowody, że jest prawdziwa?

— Susan. Dowodem jest to, co się stało z Susan. Dlatego kiedy David DuQuesne zaczął opowiadać o legendach miejskich, nagle dotarło do mnie, z czym mamy do czynienia.

— Czy to znaczy, że opowiesz mi, co się stało z Susan, albo ona sama mi o tym opowie? A może oboje nie zamierzacie nic mówić?

— Ona nie chce grzebać w tej sprawie. Poradzenie sobie z nią zbyt wiele czasu jej zajęło.

— Nie… — wtrąciła Susan. — Jim chyba ma prawo się dowiedzieć.

— Jesteś pewna? — spytał Michael. — Wiesz, co się może stać, jeśli to zrobisz.

— Wiem. — Susan podeszła do okna i wyjrzała na migoczące światła Venice. Jej srebrnobiała twarz odbijała się w szybie i sprawiała wrażenie zawieszonej w powietrzu jak księżyc. — To się zdarzyło nieco ponad rok temu. Przyszła do mnie na konsultację siedemnastolatka, z powodu

nieustannych nocnych koszmarów, w których ktoś do niej przychodził. Był to młody chłopak. Siedział w nogach jej łóżka, odwrócony plecami, i bardzo cicho płakał. Wizje były bardzo wyraźne… niemal nie mogła uwierzyć, że nie dzieje się to naprawdę.

Susan zamilkła na chwilę. Z kuchni doleciał klekot kociej miski, z której TD wyjadała ostatnie kąski.

— To wszystko? — zdziwił się Jim. — Siedział w nogach łóżka i płakał?

— Początkowo tak, ale po trzech albo czterech „wizytach" Mary zaczęła czuć swąd, przypominający odór palącej się wełny, a którejś nocy, kiedy chłopak siedział na jej łóżku, ujrzała wydobywający się spod jego swetra dym. Chłopiec wracał co noc i za każdym razem swąd spalenizny był silniejszy, a dym gęstszy.

— Opowiedziała komuś o tych koszmarach?

— Jej ojciec wyjechał w półroczną delegację służbową, a matka była bardzo nerwową osobą, wolała więc jej o nich nie mówić. Jednak gdy chłopiec przyszedł po raz kolejny, dym był tak gęsty, że dziewczyna myślała, że się udusi. Dym unosił mu się nawet z włosów. Wtedy też po raz pierwszy się odwrócił i ujrzała jego twarz. Kiedy to zrobił, buchnął płomieniami. Zapaliło mu się ubranie, dłonie, nogi. Wrzeszczał i darł się na nią, kopał i walczył, jakby został schwytany w pułapkę. Wstała z łóżka i próbowała zdusić ogień kocem, ale chłopak się spalił. Obudziła się cała spocona, roztrzęsiona i okropnie przerażona. Gdy zapaliła światło, okazało się, że w pokoju jest pełno dymu, a na kołdrze są ślady przypalenia. Następnej nocy historia się powtórzyła, tak samo następnej i jeszcze następnej. Chłopak wchodził do pokoju, siadał na łóżku i zapalał się jasnym płomieniem. Za każdym razem ogień był intensywniejszy, dym gęstszy, a kołdra na łóżku bardziej przypalona. Mary ukrywała ślady przypaleń przed matką, ale któregoś dnia kołdra się zapaliła. Dziewczynie udało się uciec, jednak koszmary ciągnęły się dalej i choć zamykała pokój, ogień nadal się pojawiał, aż któregoś razu poparzył jej ręce. Wtedy matka przyprowadziła ją do mnie po

raz pierwszy. Była zrozpaczona… jak większość moich klientów. Uwierz mi, zwykłym ludziom niełatwo przychodzi poprosić medium o pomoc.

— Udało ci się pomóc?

— Tak. Przeprowadziliśmy seans i zaczęłam rozmawiać z duchem chłopca. Spytałam, co się stało i dlaczego pojawia się w sypialni Mary. Zanim udało mi się uzyskać jako tako sensowną odpowiedź, potrzebnych było pięć albo sześć konfrontacji. Jego duch bardzo cierpiał i bardzo pragnął zemsty. Był przepełniony złością, zdezorientowany i chciał ranić. Powiedział, że nazywa się Peter i jechał z matką samochodem. Wiozła go na mecz, ale nagle tuż przed nimi na San Diego Freeway przewróciła się cysterna i matce nie udało się zahamować na czas. Doszło do potężnego karambolu z udziałem wielu pojazdów i matka Petera zginęła na miejscu. On sam został uwięziony w samochodzie, bo zaklinował się pas bezpieczeństwa. Wóz się zapalił i choć wokół było wielu kierowców, żaden nie miał odwagi próbować go wyciągnąć. Chłopak spłonął żywcem. Jednym z kierowców, którzy pozostawili go własnemu losowi, był ojciec Mary, więc Peter, pojawiając się w sypialni jego córki, chciał go ukarać za to, że pozwolił mu zginąć. Gdyby pojawiał się dalej, prawdopodobnie podpaliłby łóżko Mary i spalił ją.

— Zazwyczaj kiedy ktoś umiera w płomieniach, jego duch osiąga doskonały spokój — wyjaśnił Michael. — Dlatego kremujemy zmarłych. Ale ogień, który spalił tego chłopca, był zatruty tworzywami sztucznymi i olejem napędowym. Był brudny… chory. Duch osoby, która spłonie w takim ogniu, nie może znaleźć spokoju.

— Więc jak go powstrzymałaś? — spytał Jim.

— Zrobiła coś bardzo głupiego — odparł Michael.

Susan odwróciła się w ich stronę.

— Nie było innej możliwości. Gdybym tego nie zrobiła, przychodziłby do niej do końca życia… bardzo krótkiego życia. Zrobiłam coś, co określa się jako przeniesienie ducha. Kazałam

duchowi Petera wejść we mnie. Byłam od niego starsza, psychicznie silniejsza, nie miał więc wyboru. Przeniesienie ducha to bardzo trudna technika. Została wynaleziona w latach dwudziestych przez Irlandkę, medium Kate Goligher. Kate przechwytywała duchy dzieci, które zginęły w wypadkach, i przenosiła je do swojego umysłu, gdzie je uspokajała i sprawiała, że godziły się ze swoją śmiercią. Nazwała swoją metodę „kołysaniem dusz" i twierdziła, że to najbardziej satysfakcjonująca rzecz, jaką kiedykolwiek robiła — choć zarazem najtrudniejsza. Czasem bardzo po takim przeniesieniu chorowała, a raz, kiedy „kołysała" ducha dziesięciolatka, który został zmiażdżony przez wiejski wóz, o mało jej nie zabił. Często budziła się rano z posiniaczoną klatką piersiową, ledwie mogąc oddychać.

— Peter również o mało nie zabił Susan — powiedział Michael. — Przeżywała niewyobrażalne katusze, jakby płonęła od środka. Cierpiała w milczeniu, ale co mogła zrobić? Gdyby wypuściła jego ducha, odnalazłby Mary i spalił ją żywcem. Była w depresji, traciła na wadze, jednak żaden z jej przyjaciół się tym nie przejął. Kiedy ją poznałem, tak bardzo cierpiała, że poważnie zastanawiała się nad zażyciem śmiertelnej dawki leków.

Susan położyła dłoń na ramieniu Michaela.

— Michael sprawił, że udało mi się przez to przejść. Siedział ze mną co wieczór i pomagał wytrzymać ból. Przeczytał wszystkie możliwe książki i artykuły, w których zajmowano się przenoszeniem duchów, i w końcu udało mu się znaleźć sposób wprowadzenia ducha Petera w coś w rodzaju śpiączki, żeby nie czuł, że płonie. — Dotknęła czoła palcami pełnymi srebrnych pierścionków. — Peter ciągle jest we mnie, w moim umyśle. Tyle że jak gdyby śpi.

— Dlatego nie chciałem pozwolić, by przeprowadziła seans przywołujący Syrenę — powiedział Michael. — Z tego, co mówił David DuQuesne, wynika, że Syrena jest w stosunku do wody tym samym, co Peter w stosunku do ognia — duchem, który wykorzystuje jeden z podstawowych żywiołów do przybierania fizycznej postaci i mści się na ludziach, którzy pozwolili

mu umrzeć. Jeżeli Susan choć trochę osłabnie psychicznie, duch Petera może otrząsnąć się ze śpiączki i znów zacznie palić ją od środka.

— Dlaczego nie powiedzieliście o tym wcześniej? — spytał Jim.

— Nie widzieliśmy związku między tymi dwiema sprawami… aż do rozmowy z Davidem DuQuesne. Nawet teraz są to jedynie domysły, na pewno jednak ryzyko jest zbyt duże. Susan nie lubi rozmawiać o Peterze ani nawet o nim myśleć, by nie zakłócić mu spokoju i nie obudzić go. Powinieneś był ją widzieć, kiedy przechodziła najgorsze. Godzinami płakała z bólu.

Jim wziął Susan za ręce.

— Cieszę się, że opowiedziałaś mi, dlaczego nie chcesz przeprowadzać seansu, musimy jednak znaleźć jakiś sposób na powstrzymanie Syreny.

— Mógłbym spróbować znaleźć inne medium — zaproponował Michael. — Ale po tym, co stało się z Gabrielem Dragonardem, wątpię, by udało mi się kogoś namówić do przeprowadzenia seansu.

— Ja bym nawet nie miał odwagi kogokolwiek o to zapytać — stwierdził Jim. — Poza tym wydaje mi się, że każda próba przywołania ducha Syreny to dla niej okazja, by utopić kolejną osobę. Mieliśmy szczęście, że nas nie utopiła… mnie, Washingtona i Laury.

— Musimy wymyślić coś nowego — powiedziała Susan. — Nie zapominajmy jednak, że mamy jedną istotną przewagę: możesz ją widzieć.

— Najpierw musimy ją znaleźć.

Następnego dnia obudził Jima dzwonek do drzwi. Uniósł głowę znad poduszki i wbił wzrok w zegarek. Wskazywał 9:17. To musiał być Mervyn, zbierający śmieci. Jim zmrużył oczy, spojrzał w nogi łóżka, gdzie spała TD, i rzucił w nią pudełkiem chusteczek.

— Co się z tobą dzieje? Taki z ciebie budzący kot? Prosiłem, żebyś obudziła mnie o ósmej!

Podniósł się i ściągnął z oparcia krzesła podkoszulek. Ziewając i drapiąc się, podszedł do drzwi,

otworzył je bez wyglądania przez judasza i odwrócił się plecami do wejścia.

— Mervyn, w kuchni w szafie jest masa pustych kartonów i starych opakowań… jeśli je też mógłbyś zabrać…

Odpowiedział mu jednak dziewczęcy głos:

— Dzień dobry, panie Rook! — po czym cały chór dodał: — Miłego czwartkowego poranka!

Jim odwrócił się i ujrzał w korytarzu pod drzwiami całą drugą specjalną, wszystkich dwudziestu uczniów — z Washingtonem i Laurą, Christophe'em i Nestorem, bliźniakami Karakatsanis, Jackiem Hubbardem, Katie Untermeyer i Stellą Kopalski.

— Nie do wiary… — mruknął. Był pod wrażeniem. — Nie myślałem, że jeszcze kiedyś was ujrzę. Wchodźcie i posiadajcie gdzieś. Chyba lepiej będzie, jeśli znajdę sobie jakieś spodnie.

Uczniowie wcisnęli się do mieszkania, popychając się, chichocząc i uciszając się głośnymi SZSZSZ!! Jim wrócił do sypialni i włożył dżinsy, a potem ochlapał twarz zimną wodą i przeciągnął grzebieniem przez włosy. Na twarzy ciągle jeszcze miał ślady odciśnięte od poduszki, nic jednak nie mógł na to poradzić.

Kiedy wrócił do salonu, wszyscy siedzieli na krzesłach, kartonach i podłodze.

— Wszyscy siedzą wygodnie?

— Widzieliśmy pana wczoraj wieczorem w wiadomościach — zaczął Christophe. — Pana, Washingtona i Laurę. To było niesamowite, ten facet, który utonął we własnym salonie. Laura powiedziała, że wy też o mało się nie potopiliście.

— Pamiętacie, ostrzegałem was, żebyście nie zbliżali się do wody. Próbowaliśmy namierzyć ducha, który utopił Dennisa i poparzył Dottie. Cóż, przekonaliśmy się wczoraj na własnej skórze, jaki jest niebezpieczny. Mieliśmy szczęście… ale jeszcze go nie pokonaliśmy i w dalszym ciągu grozi wam niebezpieczeństwo.

— Proszę się nie martwić, panie Rook. Po tym, co powiedział nam Washington, wiemy, co jest

grane. Przez duże G.

— Ale czemu zawdzięczam, że wszyscy mnie odwiedziliście?

Wstała Arlene Carollo. Była bardzo wysoką, chudą brunetką o piegowatej twarzy i szeroko uśmiechniętych ustach, pełnych błyszczących, białych zębów.

— Nie chcieliśmy pozwolić panu wyjechać bez przyjęcia pożegnalnego. Nie mogliśmy go zrobić we wtorek z powodu Dottie, ale kiedy się dowiedzieliśmy, że w dalszym ciągu jest pan w Los Angeles… cóż, zaczęły fruwać e–maile i postanowiliśmy zorganizować to przyjęcie dzisiaj.

Wstał David Baliga — krępy chłopak z przystojną, kwadratową twarzą, o powolnym, monotonnym sposobie mówienia.

— Cała klasa… jest pana… dłuż…nikiem. Tego… co zrobił pan… dla… nas, nie zrobił…by nikt inny… i… nikt by się na…mi nie przej…mo…wał. Dla…tego przysz…liśmy. No i po to… żeby od…dać prace…

— Prace?

— Poprosił nas pan o napisanie czterowersowego wiersza o tym, jak się czujemy — powiedziała Jewel Karakatsanis. — Nie pamięta pan?

— I napisaliście? Nie musieliście.

— Oczywiście, że napisaliśmy. Wiemy, jakiej dostaje pan palmy, jeżeli nie oddajemy prac na czas.

Washington wyciągnął zza pleców dwie brązowe torby, które dźwięcznie szczęknęły, i zawołał:

— Szampan! Cóż, to tylko wino musujące, ale nieważne! Świętujmy!

Do Jima podeszła Roberta Szredinski, niosąc duże czerwone pudło. Była to tłusta dziewczyna o rudoburych włosach, która z wielkim samozaparciem walczyła z trudnościami w czytaniu i pisaniu, bo chciała się dostać do szkoły gastronomicznej. Kiedy Jim zaczął ją uczyć, ledwie umiała przeczytać listę składników najprostszego przepisu, a teraz płynnie czytała i pisała

dziesięciostronicowe eseje o kuchniach narodowych. Otworzyła pudło, ukazując wielkie, białe, lukrowane ciasto, ozdobione kwiatkami i ptaszkami, obok którego leżała kartka z napisem: DZIĘKUJĘ ZA WASZE GŁOSY… DZIĘKUJĘ, NAJMILSZE GŁOSY!* DLA PANA ROOKA Z DRUGIEJ SPECJALNEJ.

— Zapamiętałaś *Koriolana* — ucieszył się Jim.

— Chyba zapamiętaliśmy wszystko, czego nas pan nauczył — powiedziała Marcette Griffith, ładna Murzynka z wplecionymi we włosy kolorowymi paciorkami.

Jim poszedł do kuchni i przyniósł zbieraninę kieliszków. Washington otworzył szampana, a Roberta pokroiła ciasto.

— Jak zamierza pan pokonać tego wodnego stwora? — spytał Nestor.

— Nie wiem. Wcale nie jestem pewien, czy mi się to uda, ale muszę spróbować.

— Czy to znaczy, że nie jedzie pan do Waszyngtonu?

— Tego też nie wiem. Mam tam być najpóźniej w poniedziałek o ósmej rano, jedno jednak jest pewne… nie zostawię was, dopóki będzie wam grozić jakiekolwiek niebezpieczeństwo.

— Nie może pan dla nas ryzykować kariery — oświadczyła Joyce. — Umiemy sami dbać o siebie.

— Chciałbym mieć taką pewność. Gdybyście widzieli, z jaką siłą woda wypływała z tego basenu…

— To było naprawdę przerażające — potwierdził Washington.

Napełnili kieliszki i David wzniósł toast.

— Za pana Rooka, który zapoznał nas z Williamem Szekspirem, Williamem Faulknerem, Tennessee Williamsem i Williamem Carlosem Williamsem… więcej wśród nich Billów niż kaczek w stawie. Najlepiej jednak zapoznał nas z nami samymi. Do dnia, w którym wszedł pan do drugiej specjalnej, nie myśleliśmy, że nie potrafimy czegokolwiek zrobić i nie myśleliśmy, że nie

jesteśmy coś warci.

— Podwójne zaprzeczenie, głupolu! — wrzasnęła Jewel.

— W każdym razie pan Rook pokazał nam, że mamy jakieś możliwości i jesteśmy coś warci. I za to chcę dziś wznieść toast.

* Przełożyła Z. Siwicka.

Stuknęli się kieliszkami i wypili i gdyby Jim nie martwił się tak bardzo ich losem, byłby najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Nie umiał jednak przestać myśleć o wodnistej twarzy Jane Tullett i jej głosie, szepcącym: „Co się stało tamtego dnia w basenie?".

Potem po kolei wstawali i czytali swoje wiersze. Jednym z najbardziej wzruszających był wiersz napisany przez Shannon Karakatsanis:

Słońce po klasy ścianach błądzi,

Jasno odmierza czas godzinnym taktem.

Dzisiejszy dzień przeszłością jutra będzie,

Lecz co zasiane, jutro wzejdzie kwiatem.

Nestor Fawkes przeczytał swój wiersz z mocno zmarszczonym czołem:

Nie wiem do końca, czy już jestem gotów,

By wyjść z tych drzwi i stanąć na ulicy.

Zza ściany słyszę śmiech złośliwych ludzi,

Wierzę w dowcipy, lecz nie wierzę w siebie.

Kiedy ostatnia osoba skończyła czytać swój wiersz, zaczęto klaskać — nie tyle po to, by komuś wyrazić uznanie, ale z poczucia dumy. Jim wstał i powiedział:

— Nie myślałem, że jeszcze kiedyś coś wam przeczytam, ale chciałbym pozostawić was z wierszem Conrada Aikena, który każdemu z was da materiał do przemyśleń i może komuś jakąś wskazówkę.

Wyjął z jednego z kartonów książkę i otworzył ją.

...Ułuda wiosny

rozpryska wokół nas w rozbitym lustrze tęczy

której nie da się złożyć lub którą złożyć można

jedynie w ironicznej desperacji snu;

fałszywy zachód słońca zniknął głębiej niż morza dno

gwałtownie scena się rozrosła, ale nie ma skrzydeł

dla głosu spoza planu udawanego boga — to ja —

w zamian milczenie i samotność bytu

stworzyły nowy świat, którego brzegi

ledwie słyszalne, ledwie widoczne.

Podniósł głowę i patrzył przez chwilę po twarzach swoich uczniów.

— I tam się dostaniemy — powiedział i zamknął książkę.

ROZDZIAŁ 11

Kilka godzin później Jim pojechał do West Grove College i jak zwykle zaparkował swojego cadillaca na osobistym miejscu parkingowym doktora Friendly'ego — choć doktor już zabrał żonę i dwójkę dzieci na wakacje do Oahu i gest był jedynie symboliczny. Jeśli nie liczyć ekipy opróżniającej i czyszczącej basen oraz sprzątaczek, polerujących podłogi na korytarzach, campus był pusty.

Jim poszedł do biblioteki, gdzie na drabinie stał dozorca i wymieniał świetlówki.

— Witam, panie Rook! Sądziłem, że wyjechał pan do Waszyngtonu!

— Cześć, Clarence. Muszę się jeszcze zająć jednym albo dwoma drobiazgami.

— Powinien pan poznać moją kuzynkę Hattie… ta to ma dwa drobiazgi! Hej, widziałem pana wczoraj w telewizji w związku z tym facetem, który utonął we własnym salonie! Zaraz jak

zobaczyłem, że to pan, powiedziałem do Charlene: „Gwarantuję ci, tam się dzieje coś dziwnego… jeśli pan Jim Rook maczał w tym palce…”. — Clarence zszedł z drabiny. — Co to właściwie było? Jak można utonąć we własnym salonie?

— To było jakieś zjawisko parapsychologiczne. Trudno to wyjaśnić.

— Wymówić też.

Jim podszedł do półki z rocznikami uczniów West Grove Community College, oprawnymi w zieloną skórę ze złotymi tłoczonymi literami, i wyjął jeden z nich.

— Powiedz mi, Clarence… pamiętasz pierwsze moje lato tutaj? I dziewczynę, która wtedy utonęła? Jane Tullett.

— Oczywiście, panie Rook. Jak mógłbym ją zapomnieć? To był smutny, bardzo smutny przypadek.

— Byłeś tam, Clarence. Uważasz, że mogliśmy zrobić coś więcej, niż zrobiliśmy? Moglibyśmy być bardziej aktywni?

Dozorca wyjął z torby następną świetlówkę.

— Nikt nie widział, co się stało, panie Rook. Skoczyła z trampoliny, ale w basenie było więcej uczniów niż krewetek w sieci i kiedy nie wypłynęła… cóż, nikt nie zwrócił na to uwagi.

— Nie sądzisz więc, że powinno się nas winić za jej śmierć?

— Panie Rook… ta biedna dziewczyna strasznie ryzykowała, skacząc w tłum. Chciała się pokazać. Nie była to ani pańska, ani niczyja inna wina. Uderzyła głową w dno basenu, nikt jej nie zauważył i było po wszystkim.

— Nie jestem pewien. Jakoś mnie to nie przekonuje. Jeśli się dokładnie nad tym zastanowić, to musiała chlupnąć w wodę ze sporym pluskiem… i nikt jej nie widział? Jak to się stało, że nikt nie zauważył, co jej się przytrafiło?

— Co pan chce powiedzieć, panie Rook?

— Próbuję powiedzieć, że może ktoś ją widział i jeżeli to prawda, jest winien zaniedbania. Albo chciał, by zginęła.

— Niech pan da spokój. Jasne, niektórzy nasi uczniowie prowadzą ze sobą krwawe boje — tylko w tym semestrze skonfiskowaliśmy dwie sztuki broni palnej — ale nie mogę uwierzyć, by ktoś widział, że Jane Tullett tonie, i nic nie zrobił.

Jim otworzył rocznik 1990 i zaczął przerzucać kartki, aż znalazł drugą specjalną. Na samym środku strony znajdowała się fotografia Jane Tullett — uśmiechała się, długie jasne włosy odrzuciła do tyłu, jej oczy błyszczały. Po lewej było zdjęcie George'a Opala, kapitana szkolnej drużyny futbolowej — z układającymi się w falę włosami, skromnym uśmiechem i głębokim dołkiem w podbródku. Wyglądał jak młody Jack Kennedy, nie miał jednak jego inteligencji. Nie czytał na tyle źle, by trafić do drugiej specjalnej, ale Jim dał mu dwie prywatne lekcje. Jednym z najpoważniejszych problemów George'a było rozróżnianie między „do" i „na" — na przykład w zdaniu: „Mogliśmy w zeszłą sobotę iść do meczu".

— Chodź tu, Clarence — powiedział Jim. — Popatrz na tych dwoje… Jane Tullett i George Opal. Jak myślisz, czy mogli być przez jakiś czas parą?

Dozorca wyjął z kieszeni roboczych spodni okulary w drucianych oprawkach i uważnie przyjrzał się zdjęciom.

— Pewnie. Pamiętam George'a, bo jego ojcem był Carson Opal, który grał dla „Niedźwiedzi". George wyglądał jak kopia ojca. Zawsze chodził po campusie pod rękę z Jane. Była piękna, prawda? Stale rozmawiali o zaręczynach, ale George miał niespokojne oczy, jeśli wie pan, co mam na myśli. Zadawał się z różnymi dziewczynami, zwłaszcza z drugiej klasy, i od czasu do czasu strasznie się kłócił z Jane, potem się godzili i znowu był spokój. Oczywiście do chwili pojawienia się kolejnej porcji ładnych świeżych kłopotów.

— Kiedy Jane utonęła, George'a nie było w basenie, prawda?

— Nie. Był na boisku do koszykówki. Pamiętam to, bo doktor Ehrlichman musiał posłać do niego ucznia, żeby mu powiedział, co się stało.

— Czyli… to go eliminuje, prawda?

— Nie rozumiem. Dlaczego pan uważa, że Jane utonęła z czyjąś pomocą?

— Rozmawiałem z nią.

— Rozmawiał pan z nią? Panie Rook… ona od dziesięciu lat nie żyje.

— Ten człowiek, który utonął w swoim salonie, był medium, kimś, kto umie kontaktować się z ludźmi, którzy zmarli, ale — tak jak w przypadku Jane — jeszcze nie przeszli na drugą stronę. Przeprowadziliśmy seans… dziewczyna pojawiła się i rozmawiałem z nią.

— Bez jaj! I powiedziała panu, że została utopiona?

— Nie wprost, jednak kilka razy zapytała, co tamtego dnia wydarzyło się w basenie… jakbym czegoś nie zauważył.

Clarence pokręcił głową.

— Nie wiem, panie Rook. Tak jak i pan, byłem tam wtedy i nie zauważyłem nic śmierdzącego.

Jim obejrzał wszystkie zdjęcia w roczniku. W każdej twarzy były zapał i oczekiwanie przyszłości, każda tryskała energią. Jane nie było jednak pisane dorosnąć i najwyraźniej z tego powodu wylewała całą swoją gorycz na tych, którzy pozostali.

Jim usiadł przy jednym ze stołów i zaczął spisywać nazwiska uczniów drugiej specjalnej.

— Co pan robi? — spytał dozorca, który wrócił już na drabinę.

— Mogę jedynie szukać świadków. Jeżeli Jane naprawdę została utopiona, ktoś musiał coś widzieć… nawet jeśli nie rozumiał, co ogląda. To jak z przechodniem, który widzi wchodzącego do budynku człowieka. To, co widział, jest nieistotne, dopóki się nie okaże, że kilka minut później w tym budynku kogoś zamordowano.

— Jeśli pan tak mówi… Mam tylko nadzieję, że nie strzela pan kulą w płot.

Piper McConnell znalazł przy San Vicente, w barze o nazwie „Black Velvet Alligator”. W porównaniu z jaskrawym słońcem na ulicy, wnętrze baru wydawało się ciemne, a klimatyzację w środku nastawiono na „igloo”. Z mocno zdezelowanych głośników dolatywały dźwięki orkiestrowych przeróbek starych przebojów The Monkees.

Weil, hey–hey–hey… I’m a believer… couldn’t leave her… if I tried…

Piper tak była niepodobna do zdjęcia sprzed lat, że Jim ledwie ją poznał. Przylizane ciemne włosy zastąpiła burza farbowanych na blond loków, nos najwyraźniej podciągnięto chirurgicznie do góry i wyostrzono, a wargi miała tak na—szprycowane kolagenem, że wyglądała jak dziecko, przyciskające twarz do szyby sklepu, z zabawkami. Jakby dla upodobnienia się do wiszącego na ścianie, zakurzonego wypchanego aligatora, włożyła gorset z czarnego aksamitu.

Kiedy Jim usiadł, podeszła do niego i zapytała znudzonym głosem:

— Co ma być?

— Bud z beczki, Piper.

Zmarszczyła czoło i przyjrzała mu się przez rzęsy, pokryte grubą warstwą tuszu.

— Znam pana?

— Powinnaś. Spędziliśmy kiedyś razem rok i nieźle się kłóciliśmy.

— Byliśmy małżeństwem?

— Nie, nie starczyło na to czasu. Za bardzo spieraliśmy się o znaczenie *Raju utraconego* dla kogoś, kto chce pracować w branży gastronomicznej. Mówiłaś, że nie musisz czytać Miltona, skoro zamierzasz pracować w Burger Kingu.

— Że co?

— „I wielu innych lista nazbyt długa, zalążków, głupców, pustelników, mnichów, białych i czarnych, i szarych wraz z całym szalbierstwem”*… i dwa podwójne cheesburgery.

Piper zasłoniła usta dłońmi.

— Pan Rook! Nie wierzę! Niesamowite! Co pan tu robi? Jak miło pana widzieć! Nie miałam nigdy okazji przeprosić pana za to, że gadałam na lekcjach, krytykowałam angielski i tak dalej. Tyle mnie pan nauczył! Wie pan, że do dziś pamiętam kawałki z *Raju utraconego?* „Zbudź się, o piękna, zaślubiona moja, a tak niedawno spotkana, ostatni darze najlepszy Niebios, ciągle nowa radości…*”. Dostaję od tego dreszczy! Mój mąż myśli, że gadam po koreańsku.

— A więc jesteś mężatką.

— Po raz czwarty… uwierzy pan? Zawsze miałam trudności z trzymaniem się długo jednej rzeczy. Mój psychiatra twierdzi, że ze wszystkich ludzi, jakich zna, mam najniższą tolerancję na nudę. Czasem nudzi mnie nawet przechodzenie przez ulicę.

— Pamiętam. Jak się więc teraz nazywasz?

— Pani Piper Bogdanovich. Nie, nie TA Bogdanovich. Chciałabym. Ale jestem bardzo szczęśliwa… to znaczy nie jestem nieszczęśliwa. Ray pracuje w biznesie audiowizualnym, montuje nagłośnienia na weselach, konferencjach, tego typu. Wie pan: „Uwaga, próba — raz dwa trzy…”.

— A co z dziećmi?

— Było tylko jedno. Chłopiec. Urodził się martwy. Wie pan, jak to bywa… ale do dziś pamiętam *Raj utracony*. Niech pan nie pyta dlaczego. W przyszły wtorek skończyłby pięć lat.

— Przykro mi.

— Cóż… nie może być panu przykro za wszystko. Nawet nie pamiętam, kto był jego ojcem. Gdyby przeżył, nazwałabym go Kenny. Po moim tacie.

Jim ujął ją za rękę.

— Piper… pamiętasz dzień, w którym utonęła Jane Tullett?

— Jane Tullett? Jak mogłabym zapomnieć? To było takie okropne! Ostatni dzień roku, prawda? Lubiłam Jane, nie byłyśmy blisko, ale lubiłam ją. — Zamrugała i spytała: — Pyta pan z jakiegoś

powodu?

— Zastanawiam się, czy tego dnia nie zauważyłaś czegoś niecodziennego, to wszystko.

— Na przykład czego? Basen był zapchany po brzegi i wszyscy chlapali jak wariaci.

* Przełożył M. Słomczyński.

* Przełożył M. Słomczyński.

— Byłaś blisko ciała Jane, kiedy je znaleziono?

— Dość blisko. Pryskałam z Rachel Mendosky wodą na Dicka Ramona i jeszcze jednego chłopaka.

— Kto jeszcze był przy tobie?

— Nie wiem… nie pamiętam. Pierwsza zauważyła Jane pod wodą Jennie Bauer. Okropnie wrzeszczała.

— Kto był w szkole bardziej zaprzyjaźniony z Jane?

— Mary Weiland, bez dwóch zdań. Pamięta pan Mary? Kupa poskręcanych włosów… jak taka kula chwastów, które się toczą w każdym westernie. Była z Jane naprawdę blisko. Dzieliły się nawet błyszczykiem do ust. Rany, moim nie podzieliłabym się z nikim!

— Ja też nie. Wiesz może, gdzie można znaleźć Mary?

— Nie, ale Rachel powinna wiedzieć. Dam panu jej numer.

W tym momencie z zaplecza wyszedł tłuścioch w ciemnych okularach.

— Ruszaj się, Piper! — wrzasnął. — Koniec paplania. Masz robotę!

Jim odwrócił się i rozejrzał po barze. Poza nim w lokalu było troje gości — dwóch mężczyzn i kobieta w kombinezonie bez rękawów w lamparcie plamy. Paliła papierosa w długiej fifce i kłóciła się z jednym z mężczyzn głosem tak chropawym, jakby w jej gardle znajdowała się mielarka gałki muszkatołowej.

Piper wzięła długopis i zapisała Jimowi na dłoni numer Rachel.

— Na randki możesz się umawiać po pracy… — warknął grubas.

— To nie randka, a mój nauczyciel — odpaliła Piper. — Gdyby mnie nie nauczył, do dziś bym nie wiedziała, kto to jest Milton.

— Milton? Milton w Dakocie Północnej? A po jaką cholerę się o tym uczyć?

Kiedy Jim wyszedł z „Black Velvet Alligator", jaskrawe światło niemal go oślepiło. Gdy brał do ręki okulary słoneczne, które zawiesił sobie w rozpięciu koszulki polo, zauważył po drugiej stronie San Vicente szybkie poruszenie powietrza — podobne do migotliwej fali, jaka tworzy się w gorący letni dzień nad rozpalonym grillem.

Przeciwległy chodnik był pełen ludzi, co utrudniało ustalenie przyczyny tego ruchu powietrza. Kiedy jednak oczy Jima przyzwyczaiły się nieco do jasności, dostrzegł przeciskającą się przez tłum ledwie widoczną postać. Miała nie więcej materii niż załamanie światła, ale gdy szła, tworzyła w powietrzu drobne zmarszczki — i Jim uznał, że jeśli osłoni oczy, będzie mógł z nią iść. Trzymał się na tej samej wysokości i szli na wschód, na następnym skrzyżowaniu przeciął San Vicente i podążył za postacią na północ, wzdłuż Hauser. Chodnik był tu niemal pusty, było mu więc łatwiej śledzić ruchy postaci. Kiedy mijała restaurację, szkło frontowych szyb zdawało się drgać, a kiedy przeszła przed skrzynką pocztową, litery US MAIL zafalowały, jakby znalazły się za warstwą wody.

Jim nie miał najmniejszej wątpliwości, kto to taki. Musiała to być Jane Tullett w niematerialnej postaci — tylko co tu robiła? Z pewnością go śledziła — spotkanie nie mogło być przypadkowe. Czego jednak od niego chciała? Jeśli chciała się dowiedzieć, dokąd idzie, dlaczego szła przed nim, jakby uciekała?

Jane zatrzymała się na skrzyżowaniu Hauser z Olympic Boulevard i odwróciła się. Jim zwolnił. Stał wystarczająco blisko, by widzieć, że cała błyszczy, jakby była mokra, a włosy ma przylepione do głowy. Widział przez nią drugą stronę ulicy, przejeżdżające samochody i mężczyznę

prowadzącego szarego psa — ale widział także bardzo dokładnie samą Jane.

Kiedy podszedł bliżej, poczuł na sobie jej przerażająco lodowate spojrzenie. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy w pobliżu nie ma wody. Kilka metrów dalej znajdowała się kwiaciarnia — „Blooming Miracle" — przed którą wystawiono duże zielone kubły z ciętymi kwiatami, przed meksykańską restauracją jakiś mężczyzna polewał z węża chodnik, ale to było wszystko. Jim ostrożnie podszedł do Jane — tak blisko, że gdyby miała materialną postać, mógłby dotknąć jej ramienia. Wyraz jej oczu nie zmienił się — wpatrywała się w niego, jakby chciała sprawić, by padł trupem na miejscu.

— Jane…? — spytał. — Jane, próbuję się dowiedzieć, co tamtego dnia stało się z tobą w basenie, ale musisz mi pomóc.

Jane nie odpowiedziała, jednak w dalszym ciągu patrzyła na niego szklistymi, pustymi oczami.

— Posłuchaj, Jane… muszę wiedzieć, czy ktoś cię utopił, czy to był wypadek. Jeżeli ktoś cię utopił, mogę wszystko naprawić. Mogę postarać się, by ta osoba została ukarana. Mogę dać ci zadośćuczynienie i uspokojenie.

Obok zatrzymał się czerwony mustang z dwoma młodymi kobietami. Czekały, aż zmienią się światła, i ze zdumieniem obserwowały Jima, przemawiającego do powietrza.

— Jane, wiem, że jesteś zła i czujesz się oszukana, ale nie możesz odreagowywać swojej złości na innych ludziach. Powiedz mi, proszę, co się stało.

— Wygląda na to, że już sobie poszła, nie zauważyłeś? — zawołała jedna z kobiet w kabriolecie.

Jim rozejrzał się.

— Jestem aktorem — skłamał. — Powtarzam rolę.

Kiedy znów spojrzał na Jane, zobaczył, że odeszła już kilka metrów i sunie Olympic. Przecięła skosem skrzyżowanie i przeniknęła przez wielki czerwony samochód–chłodnię, jakby był z

powietrza. Jim krzyknął i pobiegł za nią, klucząc między samochodami.

— Ty idioto! — wrzasnął na niego jakiś taksówkarz. — Żyć ci się odechciało?!

Gdy Jim dotarł na drugą stronę alei, zaczął się rozpaczliwie rozglądać, szukając Jane. Nigdzie jej nie widział i pomyślał, że może po prostu przeszła przez jakąś ścianę i zniknęła. Właśnie zamierzał skierować się na zachód, gdy jego wzrok padł na wodę, która tryskała na chodnik z węża, trzymanego przez mężczyznę przed meksykańską restauracją. Na ułamek sekundy jedna z kałuż uformowała się w dwie stopy bez nóg — nad jedną widać było kawałek kostki. Choć stopy pozostawiły na gorącym betonie sześć albo siedem odcisków, mężczyzna ze szlauchem nie zauważył ich.

Jim ruszył tym tropem. W pewnym momencie dostrzegł migotliwe drżenie światła i zjawa zniknęła za rogiem.

— Jane! — krzyknął. — Jane, musisz mi pomóc! — Siedzący na maszcie telefonicznym technik wbił w niego zdumiony wzrok. Na ulicy przecież nikogo nie było. — Jane! — krzyknął ponownie Jim, ale zjawa szła bardzo szybko, jakby nagle postanowiła załatwić coś wyjątkowo ważnego. Kiedy doszła do końca ulicy, skręciła w prawo. Jim pobiegł za nią. Zadyszał się już i spocił, koszula kleiła mu się do ciała.

Na końcu następnej przecznicy znajdowała się stacja benzynowa Amoco. Jane przeszła między dystrybutorami paliwa i skierowała się do myjni automatycznej, w której stał wielki, zielony lincoln.

Woda…. Tysiące litrów. Nie wiadomo, jakie mordercze plany miał duch dziewczyny.

— Jane! — wrzasnął Jim i pobiegł jak najszybciej przez stację, by dogonić zjawę, zanim zniknie w potokach wody.

Przez chwilę stała przed myjnią, niemal jakby czekała, aż Jim do niej dobiegnie. Ciepły wiatr rozpryskiwał wodę, tworząc mgiełkę, która osiadała na Jane, dzięki czemu Jim coraz wyraźniej

widział zarysy jej sylwetki, migoczące wielokolorowymi tęczami.

— Jane… — powiedział cicho i podszedł bliżej. — Nie wiem, czego chcesz. Nie wiem, co próbujesz zrobić, ale nie tędy droga. Topienie ludzi nie przywróci ci życia. Musisz iść dalej. Przeżyłaś swoje życie i choć było krótkie, minęło. Teraz musisz zacząć śnić… gdzieś tam…

Jane stała nieruchomo, wpatrując się twardo w Jima. Tuż obok dysze myjni zaczęły wypluwać detergent i między Jimem a zjawą zaczęły przelatywać podobne do brudnego śniegu płatki piany.

— Jane… byłaś jedną z najbardziej lubianych uczennic. Kochałem cię i w dalszym ciągu kocham. Błagam cię jednak: nie rań już nikogo.

Jane zbliżyła się do niego. Jej twarz zdawała się jarzyć, włosy świeciły jak brylanty. Wyciągnęła wodne ręce i ujęła Jima za ramiona. Poczuł dotyk — śliski i zimny.

— Jane… obiecaj mi. Nie rań już nikogo.

Popatrzyła na niego bezbarwnymi oczami i chyba się uśmiechnęła — nieco pobłażliwie.

— Jane… przypomnij sobie, o czym mówiliśmy w drugiej specjalnej. O okazywaniu uczuć i pragnień, pamiętasz? Właśnie temu służy cała nauka angielskiego — język daje nam możliwość proszenia o to, co chcielibyśmy mieć. Uczyłaś się tego razem z innymi. Powiedz mi, dlaczego topisz ludzi, powiedz, dlaczego także mnie próbowałaś utopić.

Jane pochyliła głowę i przez chwilę Jimowi wydawało się, że zamierza mu odpowiedzieć, nagle jednak, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, chwyciła go za nadgarstki i wykręciła je tak, że stracił równowagę. Zanim się zorientował, był w tunelu myjni, na twarz pryskała mu woda z mydlinami, a wirujące nylonowe szczotki zbliżały się do niego. Uderzył głową w bok lincolna i opadł na kolana. Wielkie szczotki przewróciły go.

Spróbował wstać, ale szczotki znów go uderzyły, przeciągnęły ostrymi końcami po twarzy i rękach, po czym został zalany śmierdzącą wodą. Kaszląc i prychając, wczepił się w bok samochodu, jednak niewiele to pomogło, bo zaraz chlusnęła na niego kolejna fala wody z

mydlinami i zaatakował go kolejny szereg szczotek, które smagnęły go po policzku jak bicze, zakłuły w oczy i sprawiły, że uszy Jima zapłonęły ogniem.

Opadł na beton i wtoczył się pod samochód. Kiedy to robił, poczuł mocny chwyt — najpierw na jednej kostce nogi, potem na drugiej. Odwrócił głowę i ujrzał Jane — klęczała i próbowała wyciągnąć go na otwartą przestrzeń.

Kopnął, ale ona owinęła mu wodną dłoń wokół nogawki i pociągnęła jeszcze mocniej. Była niewiarygodnie silna — nie była to siła dwudziestolatki, lecz potęga żywiołu. Jane przestała być tylko Jane — stała się wściekłą mocą zanieczyszczonej wody. Była Syreną.

Postękując z wysiłku, Jim próbował się czegoś złapać. Rura wydechowa lincolna była zbyt gorąca i poparzył sobie kostki dłoni, udało mu się jednak przytrzymać linki hamulca ręcznego. Mimo to jednak Syrena wyciągała go centymetr po centymetrze. Linka hamulca wpijała mu się coraz głębiej w skórę dłoni i kiedy zjawa gwałtownie szarpnęła, oderwał mu się kawał skóry i musiał puścić. Jane wspięła się na niego, przyszpiliła do betonu i zaczęła się w niego wpatrywać z niesamowitą intensywnością.

— Co stało się tego dnia w basenie? — spytała. Wraz z przesuwaniem się chmury myjącej samochód wody, jej twarz zmieniała się jak na filmie rysunkowym. — Wszyscy tam byli… każdy musiał widzieć, co się stało… ale nikt z was nawet nie kiwnął palcem, by mnie uratować. Tonęłam, a wyście się tylko śmiali!

Jim próbował coś powiedzieć, jednak rama maszyny, do której były zamocowane dysze z wodą, znajdowała się niemal dokładnie nad nim i twarz siekły mu strumienie wody pod ciśnieniem. Machał głową na boki, plując i parskając, ale Syrena chwyciła go jedną ręką za włosy i odciągnęła jego głowę do tyłu, tak że woda leciała mu prosto do ust i nosa. Drugą ręką zablokowała ramę z dyszami.

Boże drogi, pomyślał Jim. Tonę.

Syrena trzymała go unieruchomionego na betonie, a woda zalewała mu twarz — litr za litrem — śmierdząca i gęsta od wosku. Zaciskał powieki i usta, wiedział jednak, że niedługo będzie musiał wziąć wdech i wtedy do jego płuc dostanie się woda.

Nagle usłyszał krzyk. Otworzył odrobinę oko i zobaczył dwóch ludzi w kombinezonach z logo Amoco, klęczących przy maszynie do mycia.

— Hej, wy! Co wy tam wyprawiacie? Chcecie się zabić?! Niemal równocześnie z dysz przestała lecieć woda. Jim popatrzył na Syrenę. Choć była utworzona jedynie z brudnej wody, przez ułamek sekundy zobaczył ją wyraźnie — była błyszcząca i idealnie ukształtowana. Jimowi zdawało się, że się do niego uśmiecha. Nie był to jednak uśmiech przebaczenia ani zrozumienia, lecz drwiny. Potem — wydając przenikliwy, klekoczący odgłos — zapadła się w siebie i zniknęła.

Jim zobaczył jeszcze, jak jej duch, eteryczny jak odbicie słońca, wychodzi ze stacji — i oczywiście był jedyną osobą, która mogła go dostrzec. Obaj pracownicy Amoco podeszli i pomogli mu wstać, po czym zaczęli rozglądać się ze zdziwieniem.

— Hej, człowieku! Co się stało z dziewczyną?

— Jaką dziewczyną? — Jim sięgnął do podajnika i oderwał papierowy ręcznik, by zatamować krew płynącą z dłoni. Rana nie była duża, ale krew leciała dość obficie, a ręka mocno piekła.

— Był pan tu z dziewczyną. Gdzie ona zniknęła?

— Potknąłem się, to wszystko. Wpadłem do maszyny do mycia, szczotki mnie uderzyły i o mało nie straciłem przytomności.

— Byłeś pan z dziewczyną. Już nie mieliście gdzie tego robić?

— Zwariowaliście? Uważacie, że jestem zboczeńcem?

Jeden z mężczyzn schylił się i zajrzał pod samochód, a potem go obszedł.

— Przysięgam na Boga, że widziałem dziewczynę. Przysięgam! Widziałem dziewuchę… a ty nie, Freddie?

Drugi pracownik nic nie powiedział, rozglądał się jednak ogłupiały.

W tym momencie otworzyły się drzwi lincolna i z wozu wychylił się jego właściciel.

— Co się dzieje? Umyjecie mi w końcu samochód czy nie?

— Na sto procent widziałem dziewczynę — upierał się pierwszy pracownik. — Też ją widziałeś, prawda Freddie?

— Dziewczynę? — zdziwił się kierowca samochodu. — Żadnej dziewczyny tu nie widziałem.

— Niech się pan nie przejmuje — poradził mu Jim. — Czasem nie wszystko jest takie, na jakie wygląda.

Powiedziawszy to, wy kuśtykał z myjni i ruszył w kierunku Olympic. Bolała go ręka, miał posiniaczone kolana i dudniło mu w głowie, był jednak tym bardziej zdecydowany dowiedzieć się, co naprawdę stało się z Jane Tullett.

Mary Weiland znalazł na nadmorskiej promenadzie przy Venice Beach, gdzie sprzedawała ze składanego stolika ręcznie robione kolczyki i bransoletki ze srebra. Nie zmieniła się tak bardzo jak Piper — jedynie obcięła krótko sterczące we wszystkie kierunki włosy i zawiązała na głowie niebieską jedwabną bandanę. Pozostała małą, drobną dziewczynką z twarzą lalki — ozdobioną teraz wielkimi, okrągłymi okularami w żółtych plastikowych oprawkach. Miała na sobie różowy stanik od bikini, niebieską kolorową spódnicę i sandały na wysokim, korkowym obcasie.

— Mary… Co u ciebie słychać?

— Witam, panie Rook. Nieźle — odparła cienkim, piskliwym głosem, pasującym do jej wyglądu. — Hej, bił się pan z kimś?

Jim delikatnie dotknął siniaka na czole.

— Miałem nieporozumienie z myjnią samochodową… i przegrałem.

— Z myjnią samochodową? Zawsze był pan oryginałem, panie Rook, to trzeba przyznać.

— Twoje? — spytał, biorąc ze stołu bransoletkę.

— Podobają się panu? Sama robię. Może to nie Cartier, ale pomagają mi płacić czynsz.

— Dobre. Nie opinają zbyt ciasno nadgarstka. Lubię takie.

— Mówił pan, że chciałby porozmawiać o Jane.

— Zgadza się. Byłyście z sobą dość blisko, prawda?

— Jak siostry. Ciągle za nią tęsknię.

— Czy miała z kimś w szkole poważną kłótnię? Był w West Grove ktoś, kto jej bardzo nie lubił?

— Dlaczego pan pyta?

— Chcę wiedzieć, co dokładnie stało się tego dnia, kiedy utonęła. Koroner uznał, że to był wypadek i wszystko na to wskazywało, ale zaczynam podejrzewać, że może było inaczej.

— Znaczy się, że ktoś ją utopił?

— Nie jestem pewien. Czy Jane kiedyś pokłóciła się ze swoim chłopakiem?

— Z George'em? Jasne, ciągle się z nim kłóciła. Wie pan, był przystojny jak cholera, nawet mnie się podobał, a nigdy nie leciałam na tak zwanych prawdziwych mężczyzn. Non stop umawiał się z innymi dziewczynami i kiedy Jane się o tym dowiadywała, obrzucała go książkami i innymi rzeczami. Zawsze się jednak schodzili. Moim zdaniem, gdyby nie utonęła, wzięliby ślub.

— Miała innych chłopaków?

— Tak na serio to nie. Był taki jeden koszmarny facio, który ciągle się za nią snuł i przysyłał jej miłosne liściki. Jak on się nazywał…? Miał taki trądzik, że mówiliśmy na niego Człowiek–Pizza. Już wiem: Chris Bayless. Mdli mnie do dziś na jego wspomnienie. Stale pociągał nosem i pocierał dłonie, jakby były mokre… i prawdopodobnie były.

— Pamiętam Chrisa — powiedział Jim. — Matka biedaka dostała stwardnienia rozsianego i jego ojciec uciekł z młodszą. Chłopak musiał wszystko robić w domu — gotować, sprzątać, prowadzać matkę do łazienki. No i jeszcze musiał się uczyć.

— Jezu, ale mi głupio…

— Cóż, nie wiedziałaś. Nietrudno się w każdym razie domyślić, dlaczego Jane podobała się komuś takiemu jak Chris. Zawsze kipiała energią, prawda?

— Kilka dziewczyn nie było z nią na najlepszej stopie.

— Tak…?

— Na przykład Vicky Albertyn. Pokłóciły się o sukienkę, którą Jane jej pożyczyła i nigdy nie dostała z powrotem. Vicky twierdziła, że nie ma tej sukienki. Była też jeszcze jedna dziewczyna — nigdy się nie dowiedziałam, o kogo chodzi — ale Jane uważała, że flirtuje z George'em. Ta dziewczyna opowiadała mu różne kłamstwa — na przykład, że Jane jest strasznie rozpasana seksualnie i miała przed szesnastym rokiem życia dwie skrobanki. Paskudne rzeczy, same kłamstwa.

— Jane nic więcej o niej nie mówiła?

— Nie. Rozmawiałyśmy o tym po raz pierwszy dzień przed jej śmiercią. Kiedy zapytałam, o kogo chodzi, powiedziała tylko: „Nie domyślasz się?". Chciałam ją przycisnąć, ale w tym momencie podszedł do nas George i gdzieś ją zabrał, więc nie zdążyła mi nic więcej powiedzieć. Była jednak naprawdę wściekła, to pewne.

— Hmm… ciekawe, kto to był.

— Może pan spyta George'a. Powinien wiedzieć, nie?

— Dobry pomysł. Sprzedasz mi te kolczyki? Znam kogoś, komu będą świetnie pasować.

Porozmawiali jeszcze chwilę i pożegnali się. Kiedy Jim wrócił do samochodu i otwierał drzwi, popatrzył na dwie dziewczyny, kręcące ósemki na wrotkach. Był pewien, że dostrzega między nimi migotanie powietrza — może stał tam duch kogoś, kto też był kiedyś młodą, pełną energii dziewczyną.

Wsiadł do samochodu i wyjechał z parkingu. Nie zamierzał ryzykować — w końcu znajdował

się nie więcej niż sto metrów od brzegu i jeżeli migotaniem była Jane Tullett, ocean dostarczyłby jej dość wody do utopienia zarówno jego, jak i połowy ludzi na promenadzie.

ROZDZIAŁ 12

Karen spodobały się srebrne kolczyki z ametystem oraz wielki bukiet lilii, z którym się zjawił.

— Nie próbujesz mnie chyba przekupić, co?

— Chcę jedynie pokazać, że jestem przemienionym człowiekiem. Już nie jestem niechlujem. Moja szuflada ze skarpetkami jest w dalszym ciągu w idealnym stanie, posprzątałem też samochód i od wczorajszego ranka nie jadłem niczego prosto z puszki.

— Kiedy wybierasz się do Waszyngtonu?

Siedzieli przy stoliku na zewnątrz kawiarni o nazwie „Hungry Harlequin", pili kawę i jedli pączki z cynamonem. Karen zasłoniła oczy małymi okularami z bardzo ciemnymi szkłami, Jimowi trudno więc było ocenić ich wyraz.

— Szykuję się na niedzielę wieczór… mam zabukowany lot i tak dalej, ale nie pojadę, dopóki nie wyegzorcyzmujemy tego wodnego ducha czy co tam trzeba będzie zrobić, żeby go uspokoić. Może i ciebie próbować utopić.

— Umiem o siebie zadbać.

— Na pewno, z tym sobie jednak nie poradzisz. Gdybym mógł znaleźć jakiś sposób, by dać jej nieco spokoju…

— Chce sprawiedliwości, prawda?

— To nie ulega wątpliwości, istnieje jednak sprawiedliwość i sprawiedliwość. Jeżeli ktoś jest mordercą, nie karze się go zabijaniem jego rodziny i przyjaciół, prawda?

— Rozmawiałeś z George'em Opalem?

Jim pokręcił głową.

— Jest w Tokio, na jakiejś konferencji. Może uda mi się go złapać wieczorem, kiedy będzie jadł

śniadanie.

— A jeżeli Jane się myli? Jeżeli to był naprawdę wypadek? Jak ją przekonasz, że to była tylko i wyłącznie jej własna wina?

— Nie wiem. Jeśli nie uda mi się jej przekonać, że musi przestać topić ludzi, będę musiał znaleźć inny sposób, by ją unieszkodliwić.

— Na przykład?

— Pojęcia nie mam, ale pomoże mi Susan Silverstone i Laura.

— Bądź ostrożny, dobrze?

— Oczywiście, że będę ostrożny. Zamierzam żyć na tyle długo, by zmusić cię do pojechania ze mną do Waszyngtonu.

Karen uśmiechnęła się i wzięła go za rękę.

— Nigdy się nie poddajesz, prawda?

Gdy płacił rachunek, zaterkotał jego telefon komórkowy. Dzwonił David DuQuesne.

— Cześć, Jim. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, jednak po naszej rozmowie o Syrenie pomyślałem sobie, że może warto przeprowadzić małe śledztwo. Znalazłem coś, co na pewno chętnie obejrzysz.

— Doskonale… daj mi pół godziny na dojazd.

— Musisz uciekać, tak? — spytała Karen.

— Wybacz, ale jak tylko załatwię sprawę Syreny, będziemy mogli spędzić cały dzień razem. Dwa. Jeśli zechcesz, całe życie.

— Jim, zawsze będzie jakaś Syrena, jakiś duch, którym będziesz się musiał zajmować.

— Powiedziałem już przecież, że kiedy wyjadę do Waszyngtonu, skończę z tym. Nawet jeśli duchy będą dobijały się przez całą noc do moich drzwi, nie otworzę. Nie mogę przejmować odpowiedzialności za wyczyny każdej zjawy, jaką zobaczę — nawet jeśli jestem jedyną osobą,

która ją widzi.

— A jeżeli jakiś duch, tak jak Syrena, zacznie zagrażać twoim przyjaciołom i ludziom, których kochasz?

— To co innego.

— Nie, Jim, to nic innego. To ciągle to samo. Nie rozumiesz, dlaczego nie mogę z tobą jechać? Nie chodzi jedynie o twoje bałaganiarstwo czy gust muzyczny, chodzi o ten twój dar. Albo przekleństwo. Jak mam żyć z kimś, kto stale musi walczyć z niebezpieczeństwami, których reszta ludzi nie dostrzega? O mało dziś nie utonąłeś. Co będzie, jeżeli natkniesz się na ducha, który okaże się zbyt silny?

— Karen, musisz mi zaufać.

— Ufam ci, ale nie wierzę, że będziesz ignorować duchy albo demony, które zobaczysz.

W tym momencie pracownik kawiarni podjechał saabem i Karen wsiadła. Jim pocałował ją.

— Zadzwonię później. Uważaj na wszystko, co mokre, dobrze?

Przez chwilę patrzył, jak się oddala.

— Proszę pana… — powiedział pracownik.

— Tak? Oczywiście, możesz podjechać moim samochodem.

— Chętnie bym to zrobił, ale odpadł tłumik…

Za kurs do domu Davida DuQuesne w Hidden Valley zapłacił dwadzieścia siedem dolarów. Klimatyzacja w taksówce źle pracowała i kiedy dojechał, spływał potem.

— Mam zaczekać? — spytał kierowca.

— Nie. Kiedy następnym razem będę miał ochotę na łaźnię turecką, zadzwonię po pana.

David DuQuesne wyszedł na werandę, a towarzyszące mu dobermany tak samo wściekle drapały deski, gotowe skoczyć Jimowi do gardła.

— Wyglądasz na zgrzanego — powiedział na powitanie David. — Poprosiłem Amy, żeby

przyniosła nam po piwie. — Puścił psy luzem i przez ułamek sekundy Jim sądził, że się na niego rzucą, przemknęły jednak tuż obok, niemal zwalając go z nóg, i wyprysnęły na pole. — Poczuły królika — wyjaśnił David DuQuesne. — To znacznie bardziej podniecające od kota.

Weszli do środka i gospodarz zaprowadził Jima do chłodnego, eleganckiego gabinetu z wielkim biurkiem z klejonego dębu i bogatą kolekcją rzeźb, wykonanych z poskręcanego przez ocean drewna. Na biurku leżało kilkanaście barwnych fotografii o formacie dwanaście na dziesięć centymetrów i kilka czarno–białych zdjęć.

— Zawsze gdy badam legendę miejską, stwierdzam, że jedna fotografia jest warta więcej niż milion słów. Co wiemy o Bigfoocie? Mamy zeznania ludzi, którzy widzieli, jak idzie przez las, ale bardziej wiarygodne jest jego jedno rozmazane zdjęcie.

Jim wziął do ręki jedną z czarno–białych fotografii. Przedstawiała kłębiącą się w basenie, wymachującą ramionami młodzież. U dołu zdjęcia napisano na maszynie: 09/05/91: Zabawa w basenie West Grove Community College z okazji zakończenia roku szkolnego.

— Mam przyjaciela, który pracuje w archiwum fotograficznym „Los Angeles Times” — wyjaśnił David DuQuesne. — Poprosiłem go, żeby odnalazł wszystkie zdjęcia z dnia, kiedy utonęła Jane Tullett.

— No i…? Coś z nich wynika?

— Chyba tak. Ułożyłem je po kolei. Popatrz na to: właśnie wyciągnęli Jane z basenu. Dziewczyna ma na sobie charakterystyczny kostium kąpielowy w granatowo–białe skośne pasy. Dzięki temu udało mi się ją zidentyfikować na pierwszym zdjęciu. To ogólny widok basenu, wszyscy skaczą i chlapią… a w tle Jane idzie do trampoliny. Nie widać twarzy, ale kostium nie pozwala na pomyłkę. Na drugim zdjęciu widzimy, jak wchodzi po drabince… tutaj stoi na trampolinie. A to zdjęcie, na którym widać Jane tuż przed skokiem… ramiona rozpostarte, plecy proste… znakomita postawa.

Jim wziął czwarte zdjęcie.

— Na tym jej nie widzę — mruknął. — Tłum wszystko zasłania.

— Zobaczysz przy powiększeniu. Włożyłem zdjęcie do skanera i powiększyłem je. Proszę… może się wydawać, że widać jedynie las rąk pod trampoliną, ale — o, tu — widać nogi zanurzającej się w wodę Jane. — Zakreślił kółko czerwonym flamastrem. — Jak widzisz, weszła czysto do wody i nie wygląda na to, by się z kimkolwiek zderzyła.

— Koroner uznał, że mogła uderzyć głową o dno.

— Nie uważam tego za zbyt prawdopodobne… weszła do wody pod odpowiednim kątem, a basen był dostatecznie głęboki.

— Co jest na następnym zdjęciu?

— Zaraz zobaczysz… Żeby cokolwiek dostrzec, musiałem je również powiększyć, ale jeżeli popatrzysz w lewy dolny róg, ujrzysz wynurzający się z wody czepek i parę oczu… tuż przy brzegu. To Jane, wypływająca po skoku. Po oczach widać, że nie uderzyła się w głowę. A teraz popatrz na otaczających ją uczniów. Chlapią jak wściekli i wielu ma zamknięte albo przymknięte oczy, nic więc dziwnego, że nie zauważyli wypływającej Jane.

Jim uważnie przyjrzał się fotografii. Niedaleko wynurzającej się głowy Jane rozpoznał Piper i Mary, patrzyły jednak w przeciwnym kierunku. Była tam jeszcze jedna dziewczyna — znacznie bliżej Jane, do tego odwrócona ku niej… musiała ją widzieć…

— Wiesz, kto to jest? — spytał David DuQuesne. Jim zdjął okulary i przyjrzał się zdjęciu z bliska.

— Wygląda na blondynkę, ale… widać tylko tył głowy.

— Zlokalizowałem ją na czterech innych zdjęciach, choć na żadnym nie widać jej wyraźnie. Popatrz jednak na to.

Następne zdjęcie ukazywało tę samą dziewczynę jeszcze bliżej brzegu basenu — trzymała się prawą ręką poręczy. Lewej ręki nie było widać, bo miała ją pod wodą. Woda była tak wzburzona, że nie dało się dostrzec, co się dzieje pod powierzchnią, ale David DuQuesne zrobił duże powiększenie miejsca, w którym powinna się znajdować dłoń dziewczyny. Tuż poniżej majaczyły rozmazane skośne paski.

— Nie jest to oczywiście jednoznaczny dowód — powiedział David — jednak dla mnie wygląda to tak, że Jane prawidłowo zanurkowała i wypłynęła bezpiecznie na powierzchnię, a potem ta dziewczyna uderzyła jej głową o ścianę basenu i przytrzymała ją pod wodą, aż Jane utonęła.

Podsunął Jimowi ostatnie zdjęcie, ukazujące próby reanimacji Jane. Jim zobaczył siebie sprzed lat — w ciemnych okularach — oraz większość uczniów z jego ówczesnej drugiej specjalnej.

— To prawdopodobnie unikatowe zdjęcia — stwierdził David DuQuesne. — Ukazują moment powstania legendy miejskiej. Całe życie się nimi zajmuję, ale istnieje niewiele nie budzących zastrzeżeń dowodów, że dane wydarzenie faktycznie miało miejsce. To jednak, przyjacielu, jest coś wyjątkowego. Jeżeli uda ci się zidentyfikować młodą damę, która trzyma głowę Jane pod wodą, będziesz mógł zadowolić ducha Jane i dać mu szansę uzyskania wiecznego spokoju.

— Dlaczego Jane sama nie powiedziała mi nazwiska zabójczyni podczas seansu z Gabrielem Dragonardem?

— Może nie wiedzieć, kto ją zabił. Wypływa na powierzchnię i nagle — BANG! — uderza głową o ścianę basenu i znów ląduje pod wodą, zanim zdążyła zaczerpnąć powietrza. Prawdopodobnie Syrena topi twoich przyjaciół i uczniów, bo za to, co się stało, obwinia ciebie… przede wszystkim ciebie. Uważa, że to ty byłeś odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo, ale

zostawiłeś ją na pastwę losu — może nawet sądzi, że ty i reszta klasy byliście uczestnikami spisku, którego celem było jej utopienie.

— To przecież szalone… dlaczego miałaby tak uważać?

— Mściwym duchom chodzą po głowach różne dziwne pomysły. Zwłaszcza jeżeli zginęły w tak młodym wieku.

— Mógłbyś mi skopiować te zdjęcia? Pokażę je Piper i Mary oraz innym uczniom, którzy tam wtedy byli.

— Nie ma problemu, zaraz zrobię kopie. Musisz się jednak zastanowić nad jedną istotną rzeczą.

— To znaczy?

— Co zrobisz, kiedy zidentyfikujesz dziewczynę, która utopiła Jane? Zgłosisz sprawę policji czy wezwiesz ducha Jane i każesz sprawczyni przyznać się i przeprosić?

— Nie mam pojęcia. Miałem nadzieję, że ty mi powiesz, co robić. Nie mam doświadczenia z egzorcyzmowaniem legend miejskich.

— Ja też nie. Myślisz, że gdybym wiedział, jak to zrobić, nie egzorcyzmowałbym ducha Szalonego Franka Rzeznika? Duch Jane Tullett zasługuje na odpoczynek w niebie, ale Szalony Frank Rzeźnik powinien się smażyć w piekle.

— Ciągle myślisz o swoim bracie, prawda?

Twarz Davida DuQuesne rozświetlił na chwilę błysk lampy w kopiarce.

— Codziennie, Jim. Codziennie. To nadaje mojemu życiu sens.

Kiedy Jim wrócił do domu, czekała na niego Laura Killmeyer. Siedziała na schodkach przed budynkiem z Mervynem, który zabawiał ją swoją nową wersją Strawberry Fields Forever.

— Co słychać, panie Rook? — spytała, mrużąc oczy przed słońcem. W purpurowym podkoszulku z ponaszywanymi złotymi gwiazdkami, czarnych satynowych pumpach, jakie nosili kiedyś cykliści, i złotych sportowych butach wyglądała jak dawniej, kiedy stylizowała się na

czarownicę.

Jim potarł sobie kark.

— Chyba robię postępy, ale miałem kolejne spotkanie z Syreną.

— Hej… nic ci nie jest? — zaniepokoił się Mervyn. — Wyglądasz, jakby przekręcono cię przez maszynkę.

— Przez myjnię samochodową — odparł Jim, po czym opowiedział, co się zdarzyło.

— Nie do wiary — wzdrygnął się Mervyn. — Póki nie pozbędziesz się tego stwora, nigdzie nie będziesz bezpieczny. Będziesz musiał zakręcać kran nawet przy myciu zębów.

Poszli do mieszkania Jima. Tibbles Dwa spała na balkonie, choć kiedy rozmawiali, jej ucho poruszało się lekko, jakby podsłuchiwała. Jim wyłożył na stół fotografie przedstawiające basen West Grove i wytłumaczył Laurze i Mervynowi, w jaki sposób utopiono Jane.

— Nie powinno być zbyt trudno zidentyfikować tę dziewczynę — stwierdził Mervyn. — Jej kostium specjalnie się nie wyróżnia, ale jest na nim jakiś wzorek… jakby delfin, prawda?

— Nie mogę uwierzyć, że udało jej się utopić Jane na oczach tych wszystkich ludzi i nikt nic nie zauważył — mruknęła Laura.

— Robienie czegoś na widoku to stara sztuczka — powiedział Jim. — Jeżeli człowiek się nie spodziewa, że zobaczy, jak ktoś obok niego się topi, nic nie zauważy. Ale chciałbym wiedzieć, czy ci się udało dowiedzieć czegoś z twoich tajnych ksiąg?

— Chyba tak. Jest w nich sporo na temat wodnych duchów, które mogą wciągnąć człowieka do morza i utopić.. *Kelpie* i *shellyback**to najważniejsze z nich. Jest też trochę o Pływakach. David DuQuesne nie do końca miał rację… Pływacy pojawili się w siedemnastym wieku, nie są więc zjawiskiem tak bardzo współczesnym. W tysiąc sześćset pięćdziesiątym dziewiątym roku pisali o tym zjawisku purytanie. Prawdą jest jednak to, co Michael mówił o zanieczyszczonej wodzie… Pływacy pojawiali się tylko wtedy, gdy ktoś tonął w brudnych, nieruchomych stawach albo

zanieczyszczonych ściekami studniach. Tak jak powiedział Michael: jeżeli woda była chora, chorował też duch utopionego w niej człowieka.

— Dobra robota. Czy któraś z książek sugeruje, co robić, by pozbyć się wodnego ducha? .

— Nie bardzo. W siedemnastym wieku ludzie próbowali przeprowadzanych przez księdza egzorcyzmow, nigdy się to jednak nie udawało. Pływacy zadowalali się dopiero, kiedy potopili wszystkich, którzy mieli bezpośredni związek z ich utopieniem… a także przyjaciół, dzieci i czasem nawet żywy inwentarz. W tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku u wybrzeży Providence do oceanu weszło sześćdziesiąt pięć sztuk bydła, całe stado zostało wciągnięte pod wodę i utopione.

— Cóż, to rzeczywiście uspokajające… — stwierdził Mervyn. — Od dziś będę wchodził do łazienki w aparacie do nurkowania.

— Istnieje tylko jedna wzmianka o całkowitym wyegzorcyzmowaniu Pływaka — ciągnęła Laura. Pogrzebała w swojej torbie i wyjęła starą, zniszczoną książkę z pękniętym grzbietem. — Jest o tym tutaj… *De La Demonomanie des Sorciers* Jeana Bodina. Zaznaczyłam odpowiednią stronę. Sprawa miała miejsce w tysiąc sześćset pięćdziesiątym dziewiątym roku, w Newbury Old Town w stanie Massachusetts — przytapiano tam w miejskim stawie kobietę, którą uważano za czarownicę. Niestety była pod wodą zbyt długo i utonęła. Pięć lat później, w rocznicę swojej śmierci, wróciła — cytuję: „dokładny jej obraz, jednakowoż uczyniony z wody". Zgodnie z opisem, zawlokła do stawu swojego męża i utopiła go, a potem utonął każdy, kto był świadkiem jej topienia lub złożył zeznanie, że była czarownicą. Ludzie topili się w stawie miejskim albo nawet w beczce z wodą… jeden z mężczyzn zginął, spacerując nad morzem.

— Co zrobiono, żeby się jej pozbyć? — spytał Jim.

— Nie można było jej złapać, ponieważ materializowała się z wody, jednak któregoś dnia udało się namówić jedną z mieszkanek miasteczka, by zgodziła się zostać przynętą. Gdy „przynęta"

kąpała się w drewnianej balii przed kominkiem, Pływaczka — bo tak tego ducha nazwano — wynurzyła się z wody i próbowała ją utopić… tak jak nasza Syrena Mervyna. W pokoju obok schowali się mężczyźni, był tam też mąż kąpiącej się kobiety. Kiedy zaczęła krzyczeć, wyciągnęli ją z balii i wyleli na Pływaczkę kilka wiader gorącej smoły. Duch nie miał czasu uciec i jego fizyczna postać wyparowała — PUFFF! — zamieniła się w chmurę pary. Bodin tak to opisuje: „Rozległ się taki krzyk i powstało tyle pary, iż sądzono, że wywołano wszystkie demony z piekła”.

— A więc to tak… — mruknął Mervyn. — Trzeba usmażyć dziwkę.

— Nie wiem, czy możemy na tym opisie polegać — odparł Jim. — Ile lat ma ta *De La Demonomanie des Sorciers?* Uwierzyłbyś mapie wydrukowanej w tysiąc siedemset siedemdziesiątym ósmym roku?

— Nic panu nie radzę, panie Rook, mówię tylko, że największym autorytetem w zakresie mściwych duchów wodnych był Jean Bodin, a on twierdzi, że jedyną skuteczną metodą jest użycie innego żywiołu — powiedziała Laura. — Do walki z wodą — ognia, a do walki z ogniem — wody. Bodin nazywa tego typu działanie „odparowaniem i wysterylizowaniem złego ducha”.

* Kelpie — groźny albo dobroczynny duch szkockiego folkloru, ukazujący się w postaci konia; shellyback —

wodny duch odziany w płaszcz z muszli.

Jim podszedł do lodówki i wrócił z ostatnimi dwoma piwami, otworzył je i rozlał do szklanek.

— Problem polega na tym, że jeśli nawet podpalenie tego ducha coś da, nie wiemy, jak go złapać. Kiedyś próbowałem ugotować żywego homara… wsadzanie tego potwora do garnka było jak trzy rundy z Jesse’em Venturą.

— Kiedyś śnił mi się Jesse Ventura — westchnął Mervyn. — Wcierał mi w plecy syrop klonowy.

— Mervyn… jeżeli ogień jest jedyną metodą pozbycia się ducha Jane Tullett, potrzebujemy kogoś na przynętę, tak jak tamci ludzie z Newbury Old Town, prawda?

— Nie patrz na mnie — wzdrygnął się Mervyn. — Ostatnim razem o mało nie utonąłem.

— Nawet nie wiemy, czy zastosowanie ognia wobec Syreny okaże się skuteczne — zauważyła Laura. — Jak pan powiedział, to bardzo stara książka. W takich serialach jak Buffy czy Zauroczona dzieciaki znajdują stare książki o magii, odkrywają zaklęcia i wszystko jest w porządku, ale to tylko telewizja. My działamy naprawdę, dzisiejsza Syrena może się nieco różnić od tej z tysiąc sześćset pięćdziesiątego dziewiątego roku…

— To prawda, ale jak na razie nie mamy innej możliwości, prawda?

— Chciałbym ci jeszcze tylko jedno przypomnieć — wtrącił Mervyn. — Według naszyjnika, który kupiłeś na tych targach psychotronicznych, pozostało ci jeszcze tylko sześć dni życia. Na twoim miejscu jak najszybciej spróbowałbym zrobić z Syreny pochodnię.

— Wierzy pan w to? — spytała Laura. — To znaczy, duchy to jedno, ale czy wierzy pan w przepowiadanie przyszłości? Czytam z fusów i patrzę w lustra, by powiedzieć ludziom, kiedy się ożenią albo wyjdą za mąż, jednak to tylko zabawa… Nie ośmieliłabym się próbować przewidywać, kiedy ktoś umrze.

— Kto wie? — powiedział Jim. — Od pojawienia się Syreny wierzę chyba we wszystko.

Jim pojechał taksówką do „Black Velvet Alligator”. Zanim dojechał na miejsce, minęła szósta i Piper właśnie kończyła zmianę, zmywając stoliki i opróżniając popielniczki.

— Podwieźć cię do domu? — zaproponował.

— Nie, dziękuję. Ray zawsze po mnie przyjeżdża. Jest dość zaborczy.

— Piper, jestem twoim nauczycielem. Mógłbym być twoim ojcem… gdybym zaraz po jedenastych urodzinach znalazł chętną narzeczoną.

— Wiem, ale tak czy owak jest pan mężczyzną, i Ray na pewno tak by pana potraktował.

— W porządku, nie ma sprawy. Może byś jednak obejrzała kilka zdjęć? Zrobił je jakiś reporter w dniu, kiedy utonęła Jane. Jest na nich ktoś, kogo muszę zidentyfikować.

Piper włożyła do ust listek gumy.

— Dziwne, znów oglądać tych wszystkich ludzi… niech pan patrzy — to ja! Ależ byłam paskudna! Nie do wiary, że chłopaki chciały ze mną chodzić.

— Nie byłaś paskudna, byłaś wspaniała.

— Tylko niech pan tego nie mówi przy Rayu. Dostanie palmy.

Jim wskazał na dziewczynę w kostiumie z delfinem.

— Chodzi o nią. Poznajesz ją?

Piper przyjrzała się fotografii zmrużonymi oczami, żując gumę z otwartymi ustami.

— Taaa… chyba wiem, kim ona jest… To może być tylko Jennie Bauer. Mówiłam panu, że ona pierwsza zauważyła, że Jane utonęła.

— Jesteś pewna?

— Na sto dziesięć procent. Niech pan spojrzy tutaj: to ona. Zawsze nosiła te „miłosne bransoletki", po jednej od każdego chłopaka. A przynajmniej tak twierdziła.

Jim zebrał zdjęcia.

— Dzięki, Piper. Dostaniesz za to wielką nagrodę w niebie.

— A co takiego zrobiłam?

— Nie mogę na razie nic zdradzić, ale naprawdę bardzo mi pomogłaś.

— Nie chce pan chyba powiedzieć, że Jennie Bauer utopiła Jane Tullett?

— Nic na razie nie mówię, muszę się jednak dokładnie dowiedzieć, co się stało tamtego dnia, a dzięki tobie mam znakomity początek.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do baru wszedł młody mężczyzna o byczym karku, ostrzyżony na pół milimetra i ubrany w obcisły biały podkoszulek i dżinsy. Szedł, jakby brodził po biodra w wodzie. Kiedy podszedł do Piper, objął ją ramieniem i zlustrował Jima od stóp do głów oczami jak główki gwoździ.

— Sie masz — rzucił agresywnie.

— Pan musi być Ray — powiedział Jim i wyciągnął rękę. — Jestem… Jim.

Ray zignorował ten gest i odwrócił się do Piper.

— Co ci mówiłem o zbliżaniu się do tych fiutów? Co mówiłem?

— Mam nadzieję, że: „Zbudź się, o piękna, zaślubiona moja, a tak niedawno spotkana, ostatni darze najlepszy Niebios, ciągle nowa radości…*” — wyrecytował Jim.

Ray odwrócił się do niego. Miał zaciśnięte usta.

— Co z ciebie za jeden, jakieś pedalisko? Zostaw moją żonę w spokoju. Jest moja.

Jim nie mógł powstrzymać uśmiechu. Przypomniało mu się, że w szkole Piper często była rozmarzona i nieuważna — zawsze śniła na jawie o zamkach i książętach, wojnach i koronacjach.

— Pozwól, że coś ci uświadomię, Ray — powiedział, chowając zdjęcia i kierując się do wyjścia. — Piper nigdy nie będzie twoja, przynajmniej nie w ten sposób, w jaki byś chciał. Nic dobrego nie robisz, wmawiając sobie, że będzie.

— Hej, ty! — wrzasnął Ray za odchodzącym Jimem. — Kim ty jesteś? Wydaje ci się, że z kim gadasz, co?! Hej, ty! Wracaj, facet! Nikt tak nie będzie mówił o mojej żonie!

Jim wyszedł na zewnątrz i skręcił w San Vicente, żałując, że się wtrącił. Kiedy się odwrócił, drzwi baru otworzyły się na chwilę i dostrzegł siedzącą przy stoliku w kącie Piper. Jej mina przypomniała mu dni, kiedy siedziała w jego klasie, pogrążona w swoich fantazjach. Uniosła nieco dłoń, jakby chciała mu pomachać na pożegnanie. Był mile połechtany, że pamiętała fragmenty z utworów Miltona — nawet jeśli były to tylko sentymentalne fragmenty. Kiedy jednak sprawy nie toczą się zbyt dobrze, ma się za męża kogoś takiego jak Ray i stoi za barem w „Black Velvet Alligator” — kto by miał ochotę powracać do dawnych lektur?

* Przełożył M. Słomczyński.

ROZDZIAŁ 13

Wieczorem za górami Santa Monica zaczęły pomrukiwać grzmoty, a przez chmury przebijały się błyskawice. Jim odebrał samochód od pana Mufflera, którego zakład mieścił się przy National, pod San Diego Freeway, i bardzo mu się spodobał cichy pomruk silnika. Pan Muffler wytarł brudne dłonie w jeszcze brudniejszą szmatę i oświadczył, że cały zespół tłumiący rdzewiał od miesięcy, był więc zmuszony wszystko wymienić — od kolektora wydechowego po tylny zderzak. Pięćset sześćdziesiąt pięć dolarów plus podatek.

— Właśnie musiałem zapłacić dwieście pięćdziesiąt dolarów za seans spirytystyczny! — zaprotestował Jim.

— Tak bywa — mruknął pan Muffler i polizał palec, by przeliczyć gotówkę. — Osobiście nie ufam za bardzo tym zagranicznym samochodom*.

Jim pojechał do Washingtona Freemana III, z przyjemnością przysłuchując się łagodnemu pomrukowi odpowiednio wyciszonego silnika, nie mógł się jednak pogodzić z ceną. Jeżeli Washington miał na sobie czarny podkoszulek i szerokie bojówki w kolorze khaki, pełne kieszeni do samego dołu.

— Co w nich trzymasz? — spytał Jim, kiedy ruszyli spod krawężnika.

— Niezbędne rzeczy — odparł Washington obrażonym tonem.

— Niezbędne rzeczy? To znaczy granaty i tym podobne? Dodatkową amunicję?

Washington burknął coś pod nosem.

— Co powiedziałeś…? — spytał Jim. — Bomby?

— Powiedziałem: kondomy.

— Rozumiem. Lepiej być zabezpieczonym niż zagrożonym, nie?

Zapadła długa cisza. Jechali Santa Monica.

— Zapachowe? — przerwał milczenie Jim.

— Co?

— Prezerwatywy. Można kupić truskawkowe, ze smakiem pina colada, melona… co tylko się chce.

— Podobno jest pan moim nauczycielem. Nie będę rozmawiał z moim nauczycielem o takich rzeczach.

— Byłem tylko ciekaw. Zastanawiałem się, kogo masz nadzieję dziś wieczorem puknąć. A może powinienem powiedzieć: bzyknąć? Co byłoby lepszym wyrażeniem?

— Służą tylko jako zabezpieczenie.

— Zabezpieczenie przed pukaniem czy bzykaniem?

— Niech mnie pan nie denerwuje, panie Rook.

— Jesteś zażenowany. Kiedy czytaliśmy w szkole Emily Dickinson, płakałeś. Też byłeś wtedy zażenowany?

Washington pociągnął nosem i powiedział:

— Nie. Wcale nie. To była poezja. Nic osobistego.

* Cadillac Eldorado, którym jeździł Jim Rook, został wyprodukowany w Detroit. Ta „stolica światowej motoryzacji" leży w stanie Michigan, na granicy USA z Kanadą, w okolicy Wielkich Jezior. Los Angeles i Detroit dzieli mniej więcej 3000 kilometrów, więc dla pana Mufflera to już „zagranica". będzie wydawał pieniądze w tym tempie, nie wystarczy mu na bilet do Waszyngtonu — nie wspominając już o urządzeniu się, porobieniu zapasów jedzenia czy kupieniu ciemnego trzyczęściowego garnituru, który z pewnością będzie mu potrzebny na nowym stanowisku w Ministerstwie Oświaty.

— To znaczy, że Emily Dickinson jest mniej żenująca od prezerwatyw?

— Człowieku… —jęknął Washington. — Zawsze pan wie, jak namącić mi w głowie. We wtorek skończyłem szkołę i nie wrócę już do niej, a pan mnie dalej próbuje urabiać, tak? Kondomy

zapachowe! Muli mi pan we łbie.

— Nieprawda, Washington. Sam zamulasz sobie umysł, a przecież nie możesz pozwolić, by Syrena nad tobą zapanowała. Ma za sobą potęgę oceanu, każdej zasmrodzonej rzeki, zanieczyszczonego strumienia i kwaśnego deszczu. Jeszcze chyba nawet nie zaczęliśmy pojmować, z czym mamy do czynienia. Jeszcze nawet nie zadrapaliśmy powierzchni! Musimy jasno i logicznie myśleć, nie możemy pozwolić jej wypaczyć naszej wyobraźni.

Zabrali Laurę i pojechali do domu Jennie Oppenheimer. Jim prowadził jedną ręką i pokazywał im zdjęcia.

— Jak to możliwe, że gliniarze nie obejrzeli tych zdjęć? — spytał Washington.

— Prawdopodobnie je oglądali, co tu jednak widać, dopóki się nie wie, że Jane została utopiona i dopóki sama ci tego nie powiedziała? Rozmazane kawałki kostiumu kąpielowego. Dziewczynę, trzymającą się poręczy. To żadne dowody, prawda?

— A jeżeli Jennie się wyprze?

— Musimy zaryzykować. Jeżeli ma poczucie winy, prawdopodobnie ulży jej, że się dowiedzieliśmy.

Zaparkowali pod domem Oppenheimerów i wysiedli. W oddali ciągle grzmiało, ale jak na razie nie zapowiadało się na deszcz. Kiedy Jim zadzwonił, Jennie niemal natychmiast otworzyła drzwi. Miała na sobie czarną spódnicę i białą bluzkę, a jej policzki były rozognione, jakby właśnie piekła ciasto.

— Pan Rook… Jim! Co za niespodzianka!

— Mam nadzieję, że wybaczysz nam przyjazd bez zapowiedzi. To dwoje moich byłych uczniów — Washington Freeman Trzeci i Laura Killmeyer. Pomagają mi się dowiedzieć, co stało się z Mikeyem.

— Oczywiście. Wchodźcie. Może lemoniady? Strasznie gorąco, prawda? Mam nadzieję, że

pogoda się zmieni.

Weszli za nią do domu. Basen został przykryty niebieską plandeką i kiedy Jennie zauważyła, że Jim to spostrzegł, uśmiechnęła się smutno i powiedziała:

— Jest osuszony. Dom jest na sprzedaż. Postanowiliśmy z Dougiem rozejść się. Po śmierci Mike'a niewiele zostało z naszego małżeństwa.

— Przykro mi — mruknął Jim. — Śmierć w różny sposób wpływa na ludzi. Czasem ich zbliża, a czasem… cóż.

— Na pewno nie chcecie lemoniady? Zrobię świeżej.

— Nie, dziękujemy. Wpadłem tylko na krótko, porozmawiać o Jane Tullett i o tym, jak utonęła.

Jennie zdawała się nie rozumieć, o co mu chodzi.

— O czym tu rozmawiać? Skoczyła do wody i uderzyła się w głowę. To był wypadek i minęło od niego wiele lat. Nie rozumiem, dlaczego jej duch jest taki mściwy.

— Prawda jest taka, że wcale nie uderzyła się w głowę o dno basenu. Ktoś z premedytacją uderzył ją w głowę, a potem przytrzymał pod wodą, aż utonęła.

Jennie w dalszym ciągu zdawała się nic nie rozumieć.

— Przecież koroner nie kwestionował wersji wypadku…

— Zgoda, ale nie miał możliwości porozmawiać z Jane osobiście. Tak więc — choć sądził, że ma wszystkie dowody — nie mógł wyciągnąć prawidłowych wniosków.

— Co ma pan na myśli? Jakich prawidłowych wniosków?

Jim rozłożył zdjęcia na stoliku, obok egzemplarzy „Redbook" i „Architectural Digest".

— To pokazuje moment, kiedy Jane utonęła… a na tych jest dziewczyna, która ją utopiła.

Jennie zesztywniała. Jim wskazał palcem zdjęcie, ukazujące ją przy poręczy basenu, nie chciała jednak patrzeć.

— Poznajesz siebie? — spytał. — To jest dowód, Jennie. Leżał od dziesięciu lat w archiwum

„Los Angeles Times”, od dnia twojego czynu. Problem polegał na tym, że jedyną osobą, która mogła odpowiednio zinterpretować te zdjęcia, była Jane, a ona nie żyje. Gdyby nie postanowiła się ujawnić, nikt by się nie dowiedział prawdy.

— Utopiła Mikeya — powiedziała głucho Jennie.

— Tak, to prawda. Utopiła także Dennisa Pease’a i Gabriela Dragonarda i poważnie poparzyła Dottie Osias, do tego omal nie utopiła mnie, Laury i Washingtona. I jak na razie nie należy się spodziewać, że przestanie topić ludzi — z twojego powodu.

— Utopiła Mikeya — powtórzyła Jennie, teraz jednak po jej policzkach spływały łzy.

— Utopiła Mikeya, ponieważ ty ją utopiłaś. Prędzej czy później utopi także ciebie — i Bóg wie, ilu ludzi po drodze.

Jennie spuściła głowę i zasłoniła twarz rękami, a potem zaczęła mówić cichym, pospiesznym szeptem, jakim się mówi w konfesjonale.

— Jane miała wszystko, czego ja nie miałam. Była ładna, popularna, dobra w koszykówce i lekkoatletyce. I miała George’a, a ja byłam w nim zakochana! Kiedy po raz pierwszy weszłam do szkoły i zobaczyłam George’a, wiedziałam, że muszę go mieć dla siebie. Robiłam, co tylko możliwe, by go zdobyć. Przynosiłam mu domowe słodycze, ubierałam się w najlepsze ciuchy. Próbowałam z nim flirtować, ale on nie zauważał mnie. Mogłabym równie dobrze być zrobiona z wody… jak Jane teraz. Zawsze gdy się umawiał z nową drugoklasistką, Jane się z nim kłóciła, a ja się modliłam, żeby wreszcie od niego odeszła i wreszcie… wreszcie… zobaczył mnie i pokochał. Ale on nadal mnie nie zauważał. Gdy nadszedł ostatni dzień szkoły, wiedziałam, że muszę coś zrobić, bo inaczej Jane i George odejdą razem i stracę go na zawsze. Już rozmawiali o ślubie… — Jennie przerwała, odsłoniła twarz i podniosła głowę. — Nie planowałam tego. Chlapałam się w basenie ze wszystkimi i nagle zobaczyłam Jane na trampolinie. Wskoczyła do basenu tuż obok mnie i widziałam przez wodę, jak przekręca się ku górze i zaczyna wypływać. Kiedy wynurzyła się

jej głowa, rozejrzałam się i stwierdziłam, że nikt na nas nie patrzy. Złapałam ją za czepek i jak najmocniej uderzyłam jej głową o ścianę. Potem wepchnęłam ją pod wodę, oplotłam jej szyję nogami i przytrzymałam pod wodą. To było straszne. Trwało wieczność… walczyła, biła, nawet ugryzła mnie w kolano, w końcu jednak przestała walczyć. Policzyłam do stu i puściłam ją. A potem udałam, że ją właśnie znalazłam. Zaczęłam krzyczeć i nie mogłam przestać. Chyba z szoku… bo dotarło do mnie, że ją zabiłam.

Zapadła długa cisza. Jennie wyjęła z rękawa pogniecioną chusteczkę i wytarła oczy.

— I co teraz? — spytała. — Zadzwoni pan do porucznika Harrisa?

— To zależy — odparł Jim. — Wydaje mi się, że mamy wybór.

— Wybór? Jaki wybór? Utopiłam Jane Tullett i właśnie się do tego przyznałam.

— Jennie, potrzebujemy twojej pomocy. Nie chcę brać prawa w swoje ręce, najpilniejszą rzeczą jest teraz dla mnie powstrzymanie Jane przed utopieniem albo zranieniem jeszcze któregoś z moich uczniów. Odcierpiałaś już najstraszliwszą karę… straciłaś syna. Oczywiście mógłbym zabrać cię do porucznika Harrisa, ale znacznie ważniejsze jest zapewnienie spokoju duszy Jane.

Jennie przez chwilę się wahała, w końcu jednak skinęła głową.

— Dobrze. To i tak chyba moja wina, że ona wróciła.

— Co masz na myśli?

— Zawsze zależało mi na tym, by być najlepszą przyjaciółką Jane… chciałam być blisko George’a. Pożyczałam jej swoje sukienki, raz nawet pożyczyłam jej pieniądze. Któregoś weekendu zaprosiłam ją nawet do swoich rodziców. W przeddzień jej śmierci siedziałyśmy na porośniętej trawą górce przed budynkiem fizyki i wtedy Jane powiedziała: „Zawsze byłaś dla mnie taka dobra… obiecuję, że gdziekolwiek będziesz, znajdę cię za dziesięć lat i odpłacę ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś”. Następnego dnia dowiedziała się, co mówiłam o niej George’owi — że miała wielu narzeczonych i dwie skrobanki. Wszystko to było oczywiście kłamstwem, ale ja

byłam zakochana w George'u i wydawało mi się, że mam moralne prawo zdobyć go bez względu na wszystko… — Jennie znowu przerwała na chwilę, po czym dodała: — Obiecała się zjawić, odnaleźć mnie i odpłacić mi za wszystko i chyba jej się udało, co?

— Musimy zwabić jej ducha w pułapkę. To będzie możliwe jedynie przy wykorzystaniu przynęty. Potrzebujemy kogoś, komu Jane najbardziej pragnie zrobić krzywdę. Nie mogę o to poprosić Washingtona ani Laury, dlatego proszę ciebie. Nie będę udawał, że to będzie bezpieczne. Może być nawet bardzo niebezpieczne, ale zgodzisz się może ze mną, że jest to sposób, żebyś odkupiła swoje winy. Jeżeli uda nam się wyegzorcyzmować Syrenę, nie powiemy nic nikomu o tych zdjęciach ani o tym, co zrobiłaś.

— Nigdy bym nie sądziła, że możesz być szantażystą, Jim.

— Czasem musimy używać metod, jakimi akurat dysponujemy. Muszę unieszkodliwić Syrenę, bo inaczej może się nam przytrafić naprawdę coś strasznego.

Pojechali do Susan Silverstone. Właśnie wróciła z długiej sesji terapii naturalnej na czyimś podwórku i wyglądała na zmęczoną. Michael był w stroju Medlara Tree — miał pomalowaną na biało twarz i czarne kręgi pod oczami, które wyglądały jak dwie dziury.

— To było takie męczące — westchnęła Susan, układając się na łóżku. — Każda roślina w tej szkółce zachowywała się jak histeryczka. Czułam to od samego wejścia. Jakby wszystkie do mnie krzyczały.

— Na czym polegał problem? — spytała Laura.

— Problemem był właściciel. Jest tak napalony na robienie kariery, i tak sfrustrowany, że co wieczór wyładowuje swoją wściekłość na roślinach. Cały ogród aż drżał z przerażenia.

— Jak można wyładowywać wściekłość na roślinach? — zdziwił się Washington.

— Tak samo, jak na człowieku. Krzykiem. Nie wiedziałeś, że rośliny lepiej rosną, jeżeli się do nich łagodnie przemawia i puszcza im uspokajającą muzykę? Jeśli się na nie wrzeszczy, zaczynają

chorować. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam tak znerwicowanej bugenwilli.

— Wydaje nam się, że znaleźliśmy sposób na uspokojenie Syreny — oświadczył Jim. — Użyjemy ognia. Zwabimy ją w pułapkę i spalimy.

— Przydałaby mi się filiżanka ziołowej herbaty — stwierdziła Susan. — Medlar Tree, mógłbyś nastawić czajnik?

Medlar Tree kiwnął głową, pokazał pantomimę nalewania filiżanki herbaty, a potem wyszedł do kuchni.

— Czemu on zachowuje się jak głupek? — zapytał Washington.

Susan uśmiechnęła się słabo.

— Mówi, że jeżeli nałoży maskę i przez całą dobę do nikogo się nie odzywa, oczyszcza mu to umysł. To jak picie wody mineralnej po przedawkowaniu alkoholu. Milczenie pomaga mu poznawać własną tożsamość. Zwiększa pokorę. Twierdzi, że jeżeli nie można mówić, nie można sobie także sztucznie dodawać pewności siebie.

— Naprawdę? To dlaczego jest taki wkurzający?

— Musisz wybaczyć Washingtonowi, Susan — powiedział Jim. — W drugiej specjalnej, do której chodził, elokwencja była uważana za najwyższe dobro, a każdego, kto był głupi, uważano za… głupiego.

— Uwierzcie mi, nawet kiedy Michael przebiera się za Medlara Tree, nie można go nazwać głupim. Poza tym jest bardzo lojalny. Nie przeżyłabym bez niego… zresztą nie tylko ja.

— Musimy wezwać ducha Jane Tullett — oświadczył Jim — a jedyną zdolną do tego osobą, którą znam, jesteś ty. Wiem, że to ryzykowne, ale nie będziesz sama.

— Michael mi nie pozwoli.

— Tym razem nie interesuje mnie jego opinia. Obchodzi mnie, co ty sama o tym myślisz… a chyba widzisz, że sytuacja jest rozpaczliwa. Giną ludzie, Susan, dobrze o tym wiesz.

— Nie pozwoli mi.

— Nie możesz sama zadecydować za siebie? Jedynym powodem, dla którego Michael ci tego zabrania, jest to, że się w tobie kocha i nie chce, by ci się cokolwiek stało. Gdyby jednak nikt z nas nie podejmował ryzyka — czym stałby się nasz świat?

Susan przygładziła włosy i przez chwilę patrzyła na Jima.

— Co chcesz, żebym zrobiła? — spytała w końcu.

— Po pierwsze, musimy przeprowadzić seans, by zwabić duszę Jane do wyznaczonego miejsca. Kiedy to nastąpi, musimy zmusić ją do przyjęcia postaci Syreny. Nie sądzę, by to było trudne, bo możemy wybrać miejsce, gdzie jest dużo wody, i podstawić jej kogoś, kogo by bardzo chętnie utopiła.

— Na przykład?

— Osobę, która wepchnęła ją pod wodę w West Grove College. Jennie Oppenheimer… matka Mikeya.

Susan pokiwała głową.

— Oczywiście… Jennie Oppenheimer. Wcale mnie to nie zaskakuje. Kiedy byliśmy u niej w domu, by przeprowadzić namierzanie ducha, czułam, że ma niespójną aurę, jakby próbowała coś przede mną ukryć. Poza tym dość niezwykłe wydało mi się, że tak szybko doszła do wniosku, że jej syn utonął w wyniku działania mściwego ducha… choć widziała ślady stóp przy basenie i ruch krzaków. Mściwy duch to ostatnia rzecz, jaka przychodzi ludziom do głowy jako wyjaśnienie w tego rodzaju przypadkach.

— Jennie ma wielkie poczucie winy i jest gotowa nam pomóc. W zamian za to zgodziliśmy się nie zawiadamiać policji.

— Mam nadzieję, że wie, jakie to może się okazać niebezpieczne.

— Wie. Ostrzegłem ją, twierdzi jednak, że jest gotowa. Jest przybita śmiercią Mikeya, ale chyba

naprawdę czuje się winna…

— Jaki macie plan?

— Przywołasz ducha Jane, a kiedy go zobaczę, będziemy wiedzieli, gdzie jest i co robi. Nalejemy przedtem wody do wanny, żeby mogła zamienić się w Syrenę. W łazience będzie Jennie.

— I co dalej?

— Kiedy przyjmie postać Syreny, wyciągniemy Jennie z łazienki, oblejemy Jane benzyną i podpalimy. Musimy jeden żywioł zwalczyć innym… przynajmniej tak nakazują okultystyczne książki Laury.

— Gdzie zamierzasz przeprowadzić tę akcję? Mam nadzieję, że nie tutaj. Nie chcę, żebyś spalił mi dom!

— Nie, zrobimy to w moim mieszkaniu w Venice. Wszystko jest zapakowane i przygotowane do przeprowadzki. Łazienka jest cała wykafelkowana, więc nie ma wielkiego ryzyka, że ogień się rozprzestrzeni. Poza tym wypożyczę ze szkoły kilka gaśnic.

— Nie wiem… — mruknęła Susan. — Zgodziłabym się, ale nie wiem, co z Michaelem.

— Nie możesz sama podjąć decyzji?

— W dalszym ciągu nic nie rozumiesz, prawda? Michael uratował mi życie i robi to dalej, w każdej chwili każdego dnia. Noszę w sobie bombę zegarową, która lada chwila może wybuchnąć. Muszę być Michaelowi wdzięczna za każdy oddech.

Jeszcze nie skończyła mówić, gdy z kuchni doleciał przenikliwy charkot, po którym rozległ się brzęk tłuczonych talerzy. Medlar Tree wyprawiał tam coś dziwnego. Washington skoczył na równe nogi.

— Wiedziałem, że to głupek! — wrzasnął i natychmiast ruszył do kuchni. Jim, Susan i Laura pobiegli za nim.

Medlar Tree stał nad zlewem, plecami do nich. Nie charczał już, ale gwałtownie dygotał, jakby

właśnie poraził go prąd. Pod jego nogami leżał wielki porcelanowy dzbanek, pęknięty na trzy części. Medlar Tree wydawał z siebie dziwne, bełkotliwe pomruki — jakby miał trudności z oddychaniem. Jim i Washington podeszli do niego ostrożnie.

— Michael… Medlar Tree… co się stało? Co ci jest?

Michael nie odpowiedział. Albo nie chciał z nimi rozmawiać, albo nie zamierzał łamać przysięgi milczenia.

— Michael, daj spokój… powiedz, co się stało.

Jim podszedł bliżej i wtedy zobaczył, że chłopaka trzyma za gardło przezroczyste ramię, wychodzące z odpływu zlewu i utworzone jedynie z przezroczystej wody. Biały makijaż spływał po twarzy Michaela, na policzkach miał czarne pionowe smugi. Wodne palce zaciskały się mocno wokół jego grdyki, jego kark sczerwieniał, a twarz zsiniała.

— Jasna cholera… — jęknął Washington.

Wyciągnął rękę, by oderwać wodną dłoń od gardła Michaela, ale Jim krzyknął:

— Nie rób tego! To wrzątek!

— Więc co mam robić? Jim rozejrzał się po kuchni.

— Weź… weź… włącz mielarkę!

— Że co?

— Mielarkę do odpadków! Włącz ją!

Washington wcisnął klawisz uruchamiający umieszczoną pod odpływem zlewu mielarkę do odpadków i z rury odpływowej bluznął wyjący dźwięk. Dół wodnego ramienia zaczął się kręcić, ale dłoń w dalszym ciągu trzymała Michaela za gardło. Po chwili noże mielarki zaczęły wciągać ramię do odpływu i zaraz potem śmignęło w dół i zniknęło.

Jim nasączył ścierkę lodowatą wodą i przyłożył ją Michaelowi do twarzy. Washington podprowadził go do krzesła i pomógł mu usiąść.

— Michael, wszystko w porządku? Michael, powiedz, co się stało.

— Grzałem dzbanek do herbaty — wyszeptał Michael, ciągle drżąc. — Nalałem do niego wrzątku, zakręciłem nim i wylałem go do zlewu. W tym momencie — BUM! — woda wystrzeliła do góry i zaczęła mnie dusić.

— Jak się czujesz?

— Dzięki, lepiej. Trochę piecze mnie twarz.

— Może zmyjesz ten makijaż? Wtedy będziemy mogli sprawdzić, czy nie trzeba cię zawieźć do szpitala.

— Nic mi nie jest. Jestem tylko trochę zszokowany, nic więcej. Ta woda wyprysnęła w górę i capnęła mnie za gardło jak węgorz morski. Nie mogłem oddychać. Nawet się nie mogłem poruszyć…

— Już wszystko w porządku, rozluźnij się.

W drzwiach stanęła Susan.

— Michael… nic ci nie jest? — zapytała. — Jeżeli cokolwiek ci się stało…

— Nic mi nie jest, muszę tylko odzyskać oddech.

— To była ona, prawda? — spytała Susan. — Syrena?

— Tak — odparł Jim. — Nie pomyliłem się. Każdy, kogo znam… kto mi pomagał… będzie próbowała utopić każdą z tych osób.

— W takim razie musimy coś z tym zrobić — stwierdził Michael. — Tak jak mówiłeś, musimy ją wywołać, a potem podpalić.

— Słyszałeś, jak o tym rozmawialiśmy?

Michael skinął głową.

— Muszę dbać o Susan. To oznacza, że muszę mieć uszy i oczy otwarte.

— Więc pozwolisz jej przeprowadzić seans?

— Jeżeli za każdym razem, kiedy będziemy się zbliżać do wody, mamy narażać życie, nie widzę wielkiego wyboru. Chcę tylko, żebyś przyrzekł, że nie narazisz Susan na większe ryzyko niż to absolutnie konieczne.

— Nie mogę obiecać, że nie będzie żadnego zagrożenia.

— Cóż, w takim razie będziemy musieli być czujni, kiedy przyjdzie co do czego. Jezu, ale mnie boli gardło! Gdyby was tu nie było, na pewno by mnie udusiła.

— No dobrze — powiedział Jim. — Jeśli naprawdę jesteś gotów w to wejść, przygotuję na jutro moje mieszkanie. Przywiozę benzynę i gaśnice, a ty przywieź Susan.

Michael delikatnie potarł gardło.

— Nigdy ci nie wybaczę, że nas w to wpakowałeś.

— Nie wpakowałem was. Zapomniałeś, że to Susan pierwsza do mnie podeszła?

— Co chcesz mi wmówić? Że to wszystko nasza wina?

— Nie, chcę tylko powiedzieć, że czasem o naszym losie decyduje przeznaczenie, i być może Susan miała mnie spotkać. Może dzięki temu rozwiążą się zarówno nasze, jak i jej problemy.

Michael rozkaszlał się. Kiedy atak kaszlu minął, powiedział:

— Pozwól, że jedno ci powiem, panie Rook: jeżeli coś w tej sprawie pójdzie nie tak, jeśli cokolwiek stanie się Susan, będziesz musiał uciekać nie tylko przed Syreną, ale i przede mną.

ROZDZIAŁ 14

— To bardzo ryzykowne — jęknął Mervyn. — Możesz spalić cały budynek.

— Wątpię, czy mamy inny wybór — odparł Jim. Wniósł do łazienki dwa pięciolitrowe kanistry z benzyną i postawił je obok umywalki.

— Nie możesz zrobić tego na zewnątrz? Przy jeziorze? Przy stawie? Nad morzem?

— Tam byłoby za dużo wody, a woda daje Syrenie siłę. Nie bylibyśmy w stanie wzniecić wystarczającego do jej pokonania ognia.

— Ostrzegam cię, Jim, że jeżeli cokolwiek stanie się mojemu mieszkaniu… mam tam mnóstwo cennych rzeczy, nie mówiąc o moi. — Mervyn miał na sobie czarną skórzaną kurtkę motocyklową, krótką czerwoną spódnicę, siatkowe pończochy oraz ciemnoczerwone czółenka w stylu Judy Garland. Trzymał pod pachą Tibbles Dwa w ten sposób, że nogi kotki zwisały, a z jej miny jednoznacznie wynikało, że jest zawstydzona.

— Nie powinieneś jej tak nosić — powiedział Jim. — To nie damska torebka.

Mervyn podrapał TD w łepek.

— Wiem, ale jest taka kochana… Staniemy się sławni, prawda, Tibbles? Nie kochasz swojego nowego tatusia, pyszczałku?

Jim rozejrzał się po raz ostatni po mieszkaniu. Wszystkie pudła z jego książkami, ubraniami i sprzętem grającym zostały odsunięte jak najdalej od łazienki, pod przeciwległą ścianę. Większość mebli stała w sypialni — był tam też pomalowany na niebiesko koń na biegunach oraz nie do końca zapakowana figura Hanumana, boga małp.. Trzy gaśnice wypożyczone ze szkoły stały pod ścianą, gdzie mogli szybko po nie sięgnąć, gdyby ogień wymknął się spod kontroli.

Zbliżała się dziewiąta. Trzy razy trzy. Zapukano do drzwi i do mieszkania wszedł ubrany na czarno Washington, a za nim Laura — dla odmiany ubrana całkiem na biało, z zawiązaną wokół głowy białą jedwabną szarfą.

— Nie ma jeszcze Susan? — spytał Washington.

— Dzwoniła jakieś dziesięć minut temu. Jest w drodze.

— Cieszyłbym się, gdybyś wymyślił jakiś inny sposób — mruknął Mervyn. Spróbował przełożyć sobie TD pod drugą pachę, ale kotka wykorzystała okazję i wyrwała się. — Ty brzydka bestio, podrapałaś mnie! Koty są takie same jak kobiety… żadnej wdzięczności!

— Próbowałam dowiedzieć się jeszcze czegoś o Pływakach, ale niewiele znalazłam — powiedziała Laura. — Wspomina się o nich na stronie internetowej dotyczącej legend miejskich,

jednak nie ma tam niczego, czego nie wiemy.

Jim objął ją ramieniem.

— Lauro, nauczyłem się, że w przypadku nadprzyrodzonych zagrożeń trzeba działać tak, jak wymaga tego sytuacja. Nie ma sensu polegać na mitach, legendach ani anegdotach. Każdy duch jest inny i każdy dąży do czego innego… nawet jeśli ma to być sprawienie, by bliscy mu ludzie, którzy pozostali na naszym świecie, narobili w portki.

— Co powiecie na filiżankę kawy? — spytał Mervyn.

— Nie, nie chcę mieć tu żadnej wody poza tą w wannie. Pozakręcałem kluczem francuskim wszystkie krany i przykleiłem pokrywę sedesu. Wylałem nawet wodę z miski TD.

Po kilku minutach zjawiła się Jennie, za nią weszli Susan i Michael. Jennie miała na sobie prostą czarną sukienkę i naszyjnik z czarnych pereł, Susan pikowany kaftan z ciemnokarmazynowego aksamitu, w którym wyglądała jak średniowieczny paź, i czarne legginsy. Michael nie był tym razem Medlarem Tree — włożył bawełnianą bluzę i wygniecione haftowane dżinsy. Jego kark i pół twarzy były jeszcze czerwone od chwytu wodnej ręki.

— No to jesteśmy już wszyscy i możemy chyba zaczynać — stwierdził Jim. — Dziewiąta to podobno pomyślna godzina dla duchów.

— Dla mściwych duchów — uściśliła Susan. — Pokażesz mi swoją łazienkę? Chcę się upewnić, że możemy bezpiecznie przeprowadzić nasz plan.

Jim zaprowadził ją do łazienki. Była nieduża i miała kształt litery L — wanna znajdowała się po lewej, a umywalka po przeciwległej stronie. Pod sufitem było małe okienko z witrażem przedstawiającym trzy splecione lilie.

— Czy to okienko się otwiera? — spytała Susan.

Jim pokręcił głową.

— Nie sądzisz chyba, że Syrena przez nie wejdzie?

— Nigdy nic nie wiadomo. Trzeba podjąć wszelkie środki ostrożności i jeszcze kilka na zapas. Jeżeli dziś ją wywołamy i nie uda nam się jej skutecznie pozbyć, na pewno znów przyjdzie… tyle że dziesięć razy silniejsza. Jak ci mówiłam, duchy zazwyczaj mają żal do nas, żyjących, ponieważ sądzą, że o nich zapomnieliśmy, i uważają, że ich nie kochamy. Poza tym, jeżeli się domyśla, że chcemy się ich pozbyć, to… wtedy mogą się zacząć kłopoty przez duże K.

— Co zamierzasz? Nie będziemy musieli siedzieć wokół stolika?

— Nie, to zbędne, poza tym nie ma tu dość miejsca. Trzeba jedynie napełnić wannę wodą, a potem staniemy wokół i złapiemy się za ręce, by wzmocnić związek naszych dusz. Mogę mówić do ducha, kiedy się pojawi, ale nie będę go widziała. Jim, tylko ty to potrafisz. Musimy mieć nadzieję, że wejdzie do wody i przyjmie postać Syreny. Kiedy się wynurzy, dasz nam znak, a wtedy wy — Susan zwróciła się do Michaela i Washingtona — chluśniecie na nią benzyną.

— Ale tylko raz — ostrzegł Jim. — Nie chcę wysadzić w powietrze całego domu.

— Kiedy to zrobicie — mówiła dalej Susan do Washingtona i Michaela — wybiegniecie jak najszybciej z łazienki razem z kanistrami, a Jim wrzuci zapalniczkę do wanny i podpali Syrenę. Miejmy nadzieję, że ogień będzie wystarczająco silny, by ją zniszczyć.

— A jeśli nie będzie? — spytała Jennie.

— Powiedziałam: miejmy nadzieję. Podejmujemy duże ryzyko… nie tylko fizyczne, ale także duchowe.

— Najważniejsze to szybko i jasno myśleć oraz działać — powiedział Jim. — Cokolwiek będziecie widzieć i niezależnie od tego, jak bardzo będzie to dziwne albo przerażające, musicie zachować spokój. Od tego może zależeć wasze życie.

— Ja tam jestem spokojny — oświadczył Washington. — Zawsze jestem spokojny. Przecież wiesz o tym.

— No to zaczynajmy. Michael, mógłbyś przynieść kanistry i postawić je przy wannie? Zacznę

nalewać wodę.

Rury w domu Jima pochodziły z lat trzydziestych i napełnienie wanny do połowy — przy stałym dygocie i proteście rur — zajęło pięć minut. Washington cały czas mówił coś po cichu do Laury, która raz za razem kiwała głową, pozostali byli jednak zbyt spięci, by rozmawiać.

Jim w końcu zakręcił krany — najmocniej jak umiał. Nie chciał, by Jane miała do dyspozycji więcej wody, niż to było konieczne do przyjęcia postaci Syreny, bo mogłaby stać się zbyt silna.

— Gotowe. Zdejmijmy zamknięcia kanistrów i przygotujmy je. Nie zapomnijcie: natychmiast po tym, jak Syrena wynurzy się z wody — chlustacie benzynę i uciekacie. Bez względu na to, co się wydarzy, nie wolno wam upuścić kanistrów.

— Jasna sprawa.

Zebrali się w półkolu wokół wanny. Jim ujrzał swoje odbicie w lusterku nad umywalką i doszedł do wniosku, że muszą komicznie wyglądać — pięcioro dorosłych ludzi, stojących wokół wanny i trzymających się za ręce. Każdy, kto teraz przypadkiem by tu wszedł, pomyślałby z pewnością, że należą do jakiejś zwariowanej sekty — druidów, *culdees** albo Prastarego Zakonu Wielbicieli Wanny.

Susan zamknęła oczy i zaczęła seans.

— Jane Tullett, wzywam cię, byś wyszła ze świata duchów. Wzywam cię, byś spotkała się z nami w miejscu, gdzie łączą się życie i śmierć. Są ze mną osoby, które chcą z tobą rozmawiać, a także ktoś szczególny… ktoś, kto chce ci powiedzieć, jak bardzo żałuje, że utonęłaś. Posłuchaj mnie, Jane: wiem, że jesteś zła. Wiem, że może ci się wydawać, że twój duch nigdy nie znajdzie spokoju, którego szuka, ale jestem tu właśnie po to, żeby ci pomóc. Proponuję ci spokój i uzyskanie zadowolenia. Pokaż się, Jane. Wiem, że mnie słyszysz. Pokaż się i stań z nami twarz w twarz, żebyśmy mogli pomóc ci znaleźć spokój, którego tak rozpaczliwie pragniesz.

Zapadła długa cisza, jedynym dźwiękiem był szum samochodów za oknami i basowy dźwięk

rur wodociągowych, jakby dom miał niestrawność. Nagle do ich uszu doleciał niezwykły odgłos — cichy, wysoki i niezwykle denerwujący, przypominający pisk, jaki powstaje, gdy przeciąga się mokrym palcem po brzegu kieliszka. Był upiorny. Miał w sobie coś z wiatru, świszczącego pod drzwiami opuszczonego domu, coś z morza, kłębiącego się w ciemności zimowej nocy, i coś z płaczu, bólu i samotności.

— Słyszę cię, Jane — powiedziała Susan. Jim poczuł, jak jej szczupłe, pełne pierścionków palce zaciskają się mocno wokół jego dłoni. — Słyszę, że się zbliżasz. Chodź, Jane, nie bój się. Jesteśmy tu po to, aby ci pomóc, nie zamierzamy zrobić ci krzywdy.

— … *mogłeś mnie uratować*… —powiedział ledwie słyszalny głos. Był tak blisko, że Jim aż się wzdrygnął. Nie tylko był blisko — był za nim! — … *pozwoliłeś, żeby woda mnie zabrała i nic nie zrobiłeś… stałeś obok i pozwoliłeś mi utonąć…*

Jim czuł lodowaty oddech Jane na karku. Odwrócił się i ujrzał ją — ledwo widoczny, oddalony o niecałe pół metra drżący kontur. Jej mokre włosy były przyklejone do głowy. Woda ściekała strumieniem z jej nosa i warg, krople spadały pomiędzy nagie uda i spływały między palce stóp. Ponieważ została utopiona, aż do chwili uwolnienia było jej pisane być mokrą.

— Jest tutaj — powiedział Jim, ściskając dłoń Susan. — Na Boga, jest tuż za nami. Czuję jej oddech na karku.

— Ja nic nie czuję — odparła Susan, odwracając ze strachem głowę. — Powiedz mi, gdzie ona jest!

Jim ujął dłoń Susan i przysunął ją do niemal przezroczystego ramienia Jane.

— Tutaj… nic nie czujesz? Stoi w tym miejscu.

Susan trzymała wyciągniętą rękę i przyglądała się Jimowi.

— Czuję… zimno. Coś mokrego. Jim, o Boże… ona jest mokra i zimna!

— Ona utonęła, Susan. Do czasu, aż ktoś ją uwolni, będzie taka jak w dzień, kiedy odeszła z

tego świata.

— Naprawdę tu jest? — zawołała przerażona Jennie. — Jezu, nie pozwólcie, by coś mi zrobiła! Musimy ją uwolnić! Musimy! Dość złego już jej zrobiliśmy… ja zrobiłam.

Postać Jane prześlizgnęła się między nimi niczym migoczące odbicie wody w basenie, podeszła do Jennie i dotknęła niewidocznymi palcami jej włosów.

* Czciciele Boga, irlandzka sekta z VII w. n.e.

— *Nikt z was mnie nie lubił?* — zapytała szeptem. Odwróciła się do Jima i popatrzyła na niego wodnistymi, przezroczystymi oczami. — *Nie mówcie mi, że nie było ani jednej osoby w całej szkole, która by mnie lubiła!*

— Słyszę ją… — wybełkotała Jennie. — Słyszę, co mówi!

— Jennie… spokojnie — powiedział Jim. Ścisnął jej rękę dla dodania otuchy, a potem odwrócił się do Jane. — Oczywiście, że wiele osób cię lubiło. Byłaś jedną z najlepszych uczennic, jakie miałem przez te wszystkie lata. Byłaś bystra, popularna, zawsze się śmiałaś.

— *I każda dziewczyna zazdrościła mi, bo chodziłam z George'em.*

Jennie rozejrzała się wokół, próbując zlokalizować ducha.

— Masz rację, Jane, byłyśmy zazdrosne, a ja najbardziej — przyznała. — Ale to było dawno temu, byliśmy znacznie młodsi i to, co wydawało nam się ważne, kiedy mieliśmy po dziewiętnaście lat… cóż… teraz wydaje się niewiele znaczyć.

— *Dla ciebie może nie, ale to nie ty straciłaś życie!*

— Powiedziałam, że jest mi przykro. To było działanie w afekcie.

— *Co? Co było działaniem w afekcie?*

— Byłam zła, Jane. Zamiast mnie, George chciał ciebie, i nie mogłam zrozumieć dlaczego. Uważałam, że jestem od ciebie ładniejsza i mam lepszych rodziców, ale George zawsze wracał do ciebie… choć ciągle flirtował z drugoklasistkami. Powinien być mój, Jane. Nie rozumiesz tego?

Powinien być mój.

— *Co chcesz mi powiedzieć?* — spytał duch głosem jak zimny przeciąg.

— Wepchnęłam cię pod wodę. Nie masz pojęcia, ile razy się do tego przyznawałam. Przyznawałam się do tego w snach, w czasie modlitw w kościele. Utopiłam cię, Jane, ponieważ uważałam, że jeśli zginiesz, George nagle stwierdzi, że wcale mu ciebie nie brak i to właśnie mnie kocha.

— *A było tak?*

— Co było jak? — zapytała Jennie, coraz bardziej czerwona i przestraszona.

— *Stwierdził, że wcale mu mnie nie brakuje i to właśnie ciebie kocha?*

Jennie zawahała się. Po jej policzkach potoczyły się dwie wielkie łzy.

— Nie. Bardzo za tobą tęsknił i nadal nie zwracał na mnie uwagi.

— Jane, widzisz, jak bardzo Jennie żałuje tego, co zrobiła — powiedział Jim. — Proszę cię, byś jej wybaczyła. Żebyś nam wszystkim wybaczyła. Zawiedliśmy w twoim przypadku, widzę to teraz, ale nie możesz odgrywać się na niewinnych osobach, takich jak Mikey, Dennis i Dottie. Nic ci złego nie uczynili.

Jane przesunęła się do końca wanny.

— *Woda… zamierzaliście się kąpać?*

— Myśleliśmy o tobie i o tym, jak zapewnić ci spokój.

— *Chcielibyście… prawda? Uspokoić mnie… żeby zapomnieć o tym, że Jennie z premedytacją mnie utopiła. Staliście wokół i patrzyliście, jak łamią mi mostek, a jednak nie mogą uratować mi życia? Nie musielibyście się więcej martwić tym, czym mogłabym zostać, gdybym żyła…*

— Jane, nikt nie próbuje uniknąć odpowiedzialności, ale jest już po wszystkim, cała ta sprawa wydarzyła się dziesięć lat temu, a dzieci — takie jak Mike — nie zasługują na śmierć z powodu tego, co ci się przydarzyło.

— *Może masz rację…* — powiedziała Jane głuchym głosem, jakby mówiła do wnętrza pralki.

— *Kim jednak jestem, by sądzić? Jeśli woda cię zabierze, stajesz się wodą, a nic na świecie nie może istnieć bez wody. Woda może w kilka sekund odebrać życie — popatrz na mnie — ale także daje życie. Jest największą siłą na świecie.*

— Jennie chce, żebyś wiedziała, jak bardzo jej przykro z powodu tego, co zrobiła. Ma nadzieję, że może ci to jakoś wynagrodzić.

— *Chce mi wynagrodzić to, że mnie utopiła, kiedy miałam dziewiętnaście lat? Mając całe życie przed sobą?*

— Jane, posłuchaj: jeżeli istnieje coś, co możemy dla ciebie zrobić, powiedz mi, co to jest. Nie mogę przyglądać się, jak zabijasz moich kolejnych uczniów i przyjaciół.

— *Powinieneś był o tym pomyśleć w dniu, kiedy mnie utopiliście.*

Postać Jane zamigotała w końcu wanny. Jim widział ją — ale tylko on, wszyscy pozostali bezradnie kręcili głowami na boki. Washington mruczał wściekle pod nosem:

— Gdzie ona jest? Gdzie jest ta dziwka, panie Rook?

— Jesteście gotowi, chłopcy? — spytał obojętnym tonem Jim. Kątem oka widział, jak duch Jane wspina się na wannę i wsuwa do wody. Zniknęła niemal natychmiast — jakby się rozpłynęła.

— Jest w wodzie! — krzyknął. — Przygotujcie się!

Michael i Washington unieśli kanistry i wszyscy trzej wbili wzrok w wodę. Falowała, nie wyglądała jednak, jakby coś w niej było.

— Jesteś pewien, że weszła do środka? — spytał Michael.

— Możesz się założyć. Widziałem, jak wchodzi do wanny, poza tym Susan na pewno wyczuwa jej aurę.

— Jest tutaj — potwierdziła Susan. — Czuję silne wibracje jej emocji. Jest równocześnie zła i smutna, ale przede wszystkim zła.

— A jeżeli nie wyjdzie? — spytała drżącym głosem Jennie. — Co będzie, jeśli nie wyjdzie?

— Na pewno wyjdzie — odparł Jim. — Gdyby jednak nie wyszła, zrobimy to samo, co Mervyn… wyciągniemy zatyczkę.

— Jeśli chcesz, sam możesz to zrobić — mruknął Mervyn. — Ja na pewno nie wsadzę ręki do tej wody.

Czekali i czekali, powierzchnia wody delikatnie drgała.

— Chyba tu nikogo nie ma — powiedział Washington po mniej więcej trzech minutach. — To znaczy… nikogo nie widzę.

— Spokojnie, nie bądź niecierpliwy.

— Nie jestem niecierpliwy, nie chcę tylko, by robiono ze mnie głupka, to wszystko. Po co stać tu cały dzień i wpatrywać się w wannę, w której nikogo nie ma?

— Ciii… — uciszył go Jim. — Prawdopodobnie zastanawia się, co dalej robić.

— Nie wytrzymam tego… — jęknęła Jennie. — Nie wytrzymam dłużej. Nie wybaczy mi i będzie mnie ścigać aż do śmierci…

— Jeżeli nasz plan się uda, to nie będzie.

Minęły dalsze trzy minuty, ale Syrena się nie pojawiła.

— Zwiała, człowieku — stwierdził Washington, nerwowo przekładając kanister z ręki do ręki.

— Czuję ją — odezwała się nagle Laura. — Tak jak powiedziała Susan, jest zarazem smutna i rozgoryczona. Chce, żebyśmy ją kochali, ale nienawidzi, nas za to, co jej zrobiliśmy.

— Wymyślasz to sobie — zaprotestował Washington. — Jej duch tu był, słyszałem go tak jak i wy, ale nie ma go w wannie, teraz na pewno nie. Dawno sobie stąd poszła. Pewnie przygląda nam się z jakiegoś innego wymiaru i zrywa boki ze śmiechu.

Odstawił kanister i zaczął dźgać powierzchnię wody palcem.

— Nie rób tego! — ostrzegł go Jim.

Washington nie zamierzał jednak słuchać i w dalszym ciągu wzburzał wodę.

— Widzicie? Nic tu nie ma. Stoimy i boimy się na darmo. — Dla podkreślenia, że ma rację, włożył całą dłoń do wody i przeciągnął nią wzdłuż wanny. — Nie mówiłem? Nie ma tu niczego poza… JASSSNAA CHOLERA!

Z wanny z gwałtownym pluskiem wyprysnęła wodna postać, złapała Washingtona za ramię i jednym szarpnięciem wciągnęła go do środka. Natychmiast przyszpiliła jego ciało do dna. Kopał i szarpał się, robiąc z wody spienioną kipiel.

— Wyciągnijcie go! — krzyknęła Susan. — Jim! Szybko! Wyciągnij go!

Jim spróbował chwycić Syrenę za ramiona, ale choć była taka silna, była utworzona wyłącznie z wody i jego dłonie przecięły ją bez oporu. Zamachnął się i uderzył wodną postać pięścią w głowę, jeszcze raz i jeszcze raz, było to jednak jak walenie pięścią w wypływającą z kranu wodę. Głowa rozpryskiwała się, ale natychmiast wracała do poprzedniego kształtu.

Washington był przez cały czas przyciśnięty do dna wanny i Jim widział jego rozszerzone przerażeniem oczy.

— Wyciągnij zatyczkę! — poradził Michael.

— Nie! — sprzeciwiła się Susan. — Jeżeli ją teraz stracimy, jej chęć, by nas wszystkich potopić, jedynie wzrośnie.

Jim złapał Washingtona za ramię i spróbował wydobyć go z wody, ale Syrena odepchnęła go, mocząc mu koszulę i spodnie. Gdy spróbował ponownie, wodna postać uderzyła go w skroń — z taką siłą, że zatoczył się i poleciał kilka kroków do tyłu. Potknął się, stracił równowagę i uderzył w stojak z ręcznikami, obijając sobie plecy.

Jennie zaczęła wrzeszczeć — musiała drzeć się tak samo, kiedy udawała, że właśnie znalazła ciało Jane w szkolnym basenie. Laura usiłowała odwrócić uwagę Syreny, waląc ją w plecy mokrym ręcznikiem, wodny duch ignorował to jednak — tak samo jak ignorował szarpanie się

Washingtona, którego głowa cały czas znajdowała się pod wodą. Ponieważ Syrena musiała zużyć do zmaterializowania się sporo wody, w wannie pozostało najwyżej dwadzieścia centymetrów, ale wystarczyłoby to do utopienia Washingtona.

— Musisz wyciągnąć zatyczkę! — krzyknął Michael. — Jeśli tego nie zrobisz, zabije go!

Jim podpełzł do wanny na kolanach. Syrena nawet na niego nie spojrzała. Jej wodny kształt zmieniał się nieustannie, co sprawiało, że wyglądała, jakby była zrobiona z płynnego szkła — nie zmieniał się jednak wyraz jej twarzy, nadal wykrzywionej nienawiścią.

Jim włożył rękę do wody i zaczął macać w poszukiwaniu korka, ale Syrena odepchnęła go ponownie, a kiedy podjął kolejną próbę, przesunęła Washingtona tak, że przyciskał głową korek. Chłopak wyraźnie panikował — brakowało mu powietrza, a jego ręce i nogi szarpały się konwulsyjnie, jakby dostał ataku padaczki.

— Wyciągnijcie go stamtąd! — wrzeszczała Jennie. — Nie możecie go wyciągnąć?!

— Rzeczywiście, może spróbujmy wszyscy razem — powiedział Mervyn.

W tym momencie stało się coś niezwykłego. Do łazienki wbiegła Tibbles Dwa. Naprawdę biegła — i to szybciej niż kiedykolwiek. Wskoczyła na kosz z brudną bielizną, a stamtąd na brzeg wanny.

— TD? — zawołał Jim. — Co, do diabła…

Kotka położyła uszy po sobie, wyszczerzyła zęby i wydała z siebie wściekły, przerywany syk. Jej futro najeżyło się tak bardzo, że wyglądała jak dwa razy większa… jak kotka rodem z piekieł, z płonącymi żółtymi ślepiami. Skoczyła na plecy Syreny i choć natychmiast zapadła się w wodę, drapała pazurami i szarpała, jakby chciała porwać wodnego ducha na kawałki.

Syrena odwróciła się błyskawicznym ruchem i zaczęła uderzać — najwyraźniej zaskoczona i zdenerwowana. TD tańczyła po wannie, kompletnie przemoczona, nadal jednak wściekle wbijała pazury w twarz i ramiona wodnej postaci.

— Michael! Mervyn! Pomóżcie mi! — krzyknął Jim. Podczas gdy Syrena próbowała pozbyć się Tibbles Dwa, trójka mężczyzn złapała Washingtona za ramiona i podkoszulek i wytaszczyła go z wanny. Kiedy znalazł się na podłodze, zaczął gwałtownie kaszleć i wypluł ze dwa litry wody, ale Jim nie pozwolił mu tam zostać.

— Wynocha stąd! — krzyknął. — Wychodźcie! Wszyscy! Tempo!

Michael i Mervyn wyciągnęli Washingtona po podłodze do salonu. Jennie i Laura pobiegły za nimi. Susan ujęła Jima za rękaw.

— Na Boga, bądź ostrożny — poprosiła.

Jim unosił już jednak kanister i machał nim, by nabrać impetu.

Syrena w dalszym ciągu walczyła wściekle z TD. Jim nie rozumiał, dlaczego kot tak bardzo ją zdenerwował, ale w końcu Tibbles Dwa nigdy nie była normalnym kotem, a jeśli koty mają awersję do wody, to może woda też czuje antypatię do kotów.

— TD! — zawołał i gwizdnął. — Uciekaj, szybko! Zwykle kotka miała sobie jego komendy za nic i przed wskakiwaniem na stół lub obwąchiwaniem jego kolacji mógł ją powstrzymać jedynie rzucając w nią butami, teraz jednak natychmiast uniosła łepek i popatrzyła na niego. Najwyraźniej zrozumiała powagę sytuacji, bo zanurkowała pod ramieniem Syreny, skoczyła na brzeg wanny, a stamtąd na podłogę. Była cała mokra i wyglądała jak wychudzony szczur. Jim pchnął ją stopą, by szybciej zmykała z łazienki, i natychmiast odwrócił się do wanny. Syrena była do połowy wynurzona z wody, jej ciało migotało tęczowo w świetle wpadającym przez witrażowe okienko. Odrzuciła włosy do tyłu i wyprostowała się na całą wysokość.

Jim wiedział, że może uciec i zamknąć za sobą drzwi łazienki, gdyby jednak tak zrobił, Syrena odnalazłaby go prędzej czy później, kiedy by się tego nie spodziewał — a przecież ani on sam, ani żaden z jego uczniów nie mogli do końca życia trzymać się z dala od pryszniców, basenów i jezior. Zamachnął się kanistrem.

— Zastanów się nad tym, co robisz — powiedziała Syrena.

— Zastanowiłem się. Przykro mi, że to się tak skończy, ale nie wiem, jak inaczej zapewnić ci spokój.

— ZASTANÓW SIĘ NAD TYM, CO ROBISZ! — ryknęła Syrena, po czym zrobiła najpierw jeden, potem drugi krok, wychodząc z wanny.

Jim chlusnął na nią benzyną. Zjawa zasłoniła dłońmi twarz i zatoczyła się, jakby nic nie widziała. Ale benzyna natychmiast z niej spłynęła — jak wielokolorowa łuska — i zebrała się w kałuży na podłodze.

Jim jeszcze raz oblał Syrenę, wyjął z kieszeni zapalniczkę i zapalił ją.

Wodna postać opuściła ręce i popatrzyła na niego. Wiele razy w życiu się bał, zwłaszcza niesamowitych duchów i zjawisk nadprzyrodzonych, jednak mina Syreny była zapowiedzią śmierci. Jeszcze nigdy nie spotkał nikogo, kto byłby tak zdecydowany go zabić.

Kiedy zjawa zrobiła krok w jego kierunku, rzucił zapalniczką. Przeleciała przez nią i spadła z klekotem na podłogę.

Przez ułamek sekundy Jim sądził, że nic się nie wydarzy, ale zaraz rozległ się basowy, stłumiony huk, z podłogi uniosła się wielka pomarańczowa kula i otoczyła Syrenę płomieniami. Natychmiast zrobiło się tak gorąco, że Jim musiał osłonić twarz dłonią i cofnąć się w kierunku drzwi. Zza framugi wyglądał Michael.

— Udało się, panie Rook! Udało się panu!

Wodna postać stała na środku łazienki z uniesionymi ramionami, wokół niej szalał ogień. Po chwili zaczęła się z niej wydobywać para, wydając piskliwy, przeciągły syk. Woda wyparowywała… i razem z nią znikał duch Jane.

W drzwiach pojawiła się Susan. W milczeniu patrzyła na płonącą zjawę, pomarańczowe płomienie odbijały się w jej oczach. Syrena nie krzyczała ani nie próbowała uciekać. Stała wśród

płomieni, a para leciała jej z ramion i czubka głowy.

Po chwili kafelki pod jej stopami zaczęły pękać z gorąca, a potem z trzaskiem pękło lustro. Wokół zaczęły rozlegać się trzaski innych pękających przedmiotów. Z sufitu poleciały kawałki tynku — najpierw niewielkie, zaraz jednak o podłogę huknął duży trójkątny kawał, po nim następny.

— Co się dzieje? — spytał Michael. — To nie tylko z gorąca, to…

O podłogę z ogłuszającym hukiem załomotał wielki kawał sufitu, za którym poleciała dudniąca, wirująca, bębniąca kaskada legarów i desek podłogowych.

— Budynek się wali! — wrzasnął Mervyn. — Mówiłem ci, że to zbyt niebezpieczne! Mówiłem!

— Michael, daj mi gaśnicę! — zawołał Jim.

— Chyba nie zamierzasz jej zgasić? — zdziwiła się Susan. — Popatrz na nią… ciągle jeszcze ma kształt. Jeśli ją zgasisz, duch Jane ucieknie!

Na podłogę spadł kolejny kawał muru, odbił się od boku wanny i trafił Syrenę w uformowane z wody nogi. Natychmiast ogarnęły go płomienie. Łazienkę wypełniała para, czarny, gęsty dym i pył.

— Maleje — stwierdziła Susan. — Zobacz, opada na kolana. Udało się, Jim. Pokonaliśmy ją.

W tym momencie nad ich głowami rozległ się niesamowity dźwięk, ni to odgłos rozrywania, ni to dzwonienie — jakby gdzieś w górze pękał wielki kościelny dzwon. Jim, marszcząc czoło, popatrzył na Susan, ale ona tylko pokręciła głową.

Zrozumieli, co się stało, kiedy przez sufit wpadło do łazienki kilka tysięcy litrów wody. Chlusnęła na Syrenę i natychmiast ją zgasiła. Sięgająca niemal do pasa fala zalała łazienkę i zmusiła Jima oraz Susan do wycofania się do salonu. Woda wytrysnęła z łazienki i natychmiast zalała dywan.

— Pękł cholerny zbiornik wodny! — krzyknął Jim.

— Jak mógł tak po prostu pęknąć?

— Była w nim woda, nie? A to myślący, przekształcający się żywioł! Bronił tego, co mu pokrewne!

Nagle drzwi do łazienki otworzyły się i stanęła w nich Syrena — w pełni uformowana, jak przedtem. Przepłynęła po podłodze i wyszła otwartymi drzwiami wejściowymi, rozchlapując stopami kilkucentymetrową warstwę rozlanej wszędzie wody. Szła spokojnie korytarzem, a oni nie wiedzieli, jak ją zatrzymać. Z każdym krokiem rozwiewała się niczym przelotny deszcz. Zanim doszła do szczytu schodów, pozostał po niej tylko rząd mokrych śladów stóp. I widoczny jedynie dla Jima duch Jane Tullett, wbijający w niego złe spojrzenie.

— Teraz wiem, jaki jest wasz stosunek do mnie. Nie interesuje was mój spokój. Chcecie tylko zabić mojego ducha… tak, jak zabiliście moje ciało.

— Jane… zamienianie się w Syrenę i topienie ludzi nigdy nie przyniesie ci uspokojenia.

— Może nie, ale da mi satysfakcję — odparła. Powiedziawszy to, zaczęła schodzić i po chwili zniknęła niczym mignięcie światła. Do Jima wyszła Susan.

— Co się stało? Odeszła, tak?

Jim skinął głową.

— To straszne. To ostatnia rzecz, do jakiej powinniśmy dopuścić.

— Co z Washingtonem? — spytał Jim.

— Nic mu nie będzie — odparł Mervyn. — Wezmę go do siebie i położę do łóżka.

— Dzięki, Mervyn.

— Co teraz zamierzasz? — spytała Susan.

— Muszę dalej ścigać Jane. Spróbuję zawrzeć z nią pakt.

— Pakt? Jaki pakt?

— Spytam, czy zgodzi się zostawić w spokoju moich przyjaciół i uczniów, jeżeli pozwolę, by mnie zabiła.

— Oszalałeś. Nie możesz tego zrobić.

— Dlaczego nie? Każdemu, kto kiedykolwiek miał ze mną kontakt, przynoszę jedynie ból i żałobę. Moja przyjaciółka nie chce wyjść za mnie za mąż, mój przełożony tylko czeka, aż zniknę, i nawet mój kot mnie nie lubi.

— Daj spokój, Jim. Jesteś po prostu zmęczony, nic więcej.

Jim pokręcił głową.

— Susan, to się musi wreszcie skończyć. Nie mogę pozwolić na to, by ginęły kolejne osoby… nie z mojego powodu. Pójdę za Jane i właśnie to zamierzam jej zaproponować.

— W takim razie idę z tobą.

— Dlaczego? Nic mi nie jesteś winna.

— Mogę ci pomóc. Jestem medium. Wiem, jak postępować z duchami.

Podszedł do nich Michael.

— Jeżeli Susan idzie, to ja też. Jim wziął głęboki wdech.

— Niech będzie. Ale jeśli mamy iść, to ruszajmy od razu.

ROZDZIAŁ 15

Z początku sądził, że ją zgubili, kiedy jednak przecinali Rialto Avenue i rozejrzał się na prawo i lewo, w odległości pięćdziesięciu metrów dostrzegł falowanie na szybie wystawowej drogerii i zaraz potem zauważył pomarszczone odbicie na błyszczącym boku wypolerowanego lincolna.

— Jest tutaj — powiedziała Susan. — Idzie w kierunku Riviery.

— Może się domyśla, że ją śledzimy.

— Nie mam pojęcia. Kto wie, o czym myślą duchy? Niezależnie od tego, czy Jane uświadamiała sobie, że jest śledzona, czy nie, trzymała się od nich jak najdalej. Kiedy szła

ciemniejszym fragmentem ulicy, Jim widział jej migoczące w świetle ulicznych latarni włosy. Kiedy przechodziła obok jasno oświetlonego sklepu, niemal tracił ją z oczu.

Skręcili w Winward Avenue i poszli w kierunku oceanu. Choć był ciepły, letni wieczór, od morza wiała lekka, ale przenikliwa bryza i Jim zadrżał. Susan wzięła go za rękę.

— Nie powinieneś tego robić — powiedziała. — Muszą istnieć jeszcze inne sposoby pozbycia się Syreny.

— Jakie? Jest mitem, miejską legendą, z którą bardzo niewielu ludzi się zetknęło — nie mówiąc już o wiedzy, jak tego rodzaju zjawisko unieszkodliwić.

— Mógłbyś porozmawiać z innymi ludźmi o parapsychologicznych zdolnościach.

— Żartujesz sobie? Ostatni, z którym rozmawiałem, utonął. Nie powinienem też wcale rozmawiać z tobą — wystawiłem cię przez to na takie samo niebezpieczeństwo jak siebie i moich uczniów.

— Pozostaw decyzję na ten temat mnie. Wiem, jakie to niebezpieczne. Nie rozumiesz? Jeżeli tak jak ja, czuje się różne rzeczy — albo jak ty, widzi się je — człowiek nie ma wyboru. Jeśli masz tego rodzaju dar, musisz go używać — chcesz czy nie.

— Nigdy nie chciałem żadnego daru — mruknął Jim, obserwując migoczący kontur Jane, która właśnie przeszła Speedway i ruszyła w kierunku Ocean Front Walk. — Chciałem być zwykłym dzieciakiem, jak wszystkie inne. Nie planowałem zostać nauczycielem, ale pilotem, widziałem jednak demony, zmarłych krewnych różnych ludzi, a jak być pilotem, jeśli po wejściu do punktu rekrutacyjnego Sił Powietrznych możesz zobaczyć stojącą za sierżantem własną babcię, uśmiechającą się jak Kot z Cheshire*. — Grzbietem dłoni starł pot z czoła. Przeszli już ponad siedem przecznic i zaczynał się pocić. — Poza tym miałem astygmatyzm lewego oka. Nie dla mnie podniebne szlaki.

— Wiesz, co mnie w tobie zadziwia? — powiedziała Susan. — Umiesz wszystkim dzieciakom

w Ameryce pomagać radzić sobie ze światem, umiesz je uczyć, jak myśleć o sobie i jak się komunikować, a nie potrafisz tego zrobić dla siebie, dla Jima Rooka.

— Co to ma znaczyć? Lekarzu, lecz się sam?

— Ma znaczyć: „Nauczycielu, odrób lekcje, które sam zadajesz".

Jim zatrzymał się gwałtownie, omal nie zderzając się z Michaelem. Popatrzył na Susan i w tym momencie uświadomił sobie, co czyni ją tak atrakcyjną. Miała wspaniałą figurę, a jej srebrnobiała twarz i pełne magii oczy sprawiały, że przypominała Księżyc, kiedy ogląda się go przez lornetkę albo teleskop. Była nieosiągalna i tajemnicza. Księżyc nie daje odpowiedzi na nasze pytania, a mimo to przyciąga nasz wzrok i fascynuje. Nagle wydało mu się nieważne, czy Karen pojedzie z nim do Waszyngtonu. Stwierdził, że życie może mu zaoferować coś innego.

* Postać z Alicji w Krainie Czarów. Miał on zwyczaj stopniowego znikania, począwszy od ogona, a kończąc na uśmiechu.

— Co robimy? — spytał Michael. — Ścigamy tę syrenią panienkę czy nie?

Jim przeciągnął palcami przez włosy.

— Tak… oczywiście. Jest tam… widzę ją na rogu. Chodźmy.

Doszli do Ocean Front Walk. Mimo wieczoru chodnik był jaskrawo oświetlony, wszędzie dudnił rap, a długonogie dziewczyny na łyżworolkach zataczały kręgi wokół spacerujących i rozmawiających ludzi, ulicznych sprzedawców i kupujących. Syrena szła w poprzek plaży do ciemnego oceanu, rozjaśnianego jedynie bladą luminescencją piany.

— Idzie do wody — oświadczył Jim. — Chyba wie, że ją śledzimy. Chce się zemścić za podpalenie jej i szuka jak największej siły.

— Jeśli dojdzie do wody i zmieni się w Syrenę, nie będziesz miał szansy.

— Mimo wszystko muszę z nią porozmawiać. Muszę spróbować zawrzeć z nią pakt.

— Jim… nie znam cię zbyt długo, ale jedno wiem na pewno: nie jesteś typem samobójcy.

— Nie mówię o samobójstwie. Jestem nauczycielem i mówię o braniu na siebie odpowiedzialności, o naprawianiu błędów.

— Zamierzasz zostać męczennikiem?

— Jane Tullett cierpi od dziesięciu lat. Nie usprawiedliwiam tego, co zrobiła, by dostać zadośćuczynienie, ale rozumiem, jak się czuje… w każdym razie rozumiem, jak się czuje jej duch, i wiem także, że muszę spróbować ją powstrzymać.

— W porządku — odparła Susan. — Ale pójdę z tobą.

— Nie — wtrącił Michael. — W żadnym wypadku.

— Boisz się o mnie? — spytała go Susan.

— Oczywiście, że się boję. Ale chodzi nie tylko o ciebie.

— Cóż, przykro mi, jednak prędzej czy później musiało do tego dojść, prawda? Któregoś dnia decyzja musiała zapaść. I oto zapadła. Dziś jest ten dzień.

— Umrzesz… — wyszeptał z rozpaczą Michael.

— Każdy kiedyś musi umrzeć.

Michael nie zamierzał się jednak poddawać.

— Umrzesz i on umrze z tobą, ale komu to cokolwiek da?

Jim patrzył w kierunku oceanu. Słońce już dawno zniknęło, pozostawiając po sobie jedynie krwistą smugę na horyzoncie. Dostrzegł jaśniejsze drgnięcie powietrza i wiedział, że to Jane. Prowadziła go jak konia na postronku w kierunku największego zbiornika wody na ziemi, gdzie nic nie przewyższy jej siły.

— Ostatni apel… — powiedziała Susan, zwracając się do Jima. — Nie ty jesteś za to odpowiedzialny. Nie ty utopiłeś Jane i nie ciebie należy obwiniać, że do tego doszło.

— Wiem — odparł Jim. Bardzo się bał, nie widział jednak innego wyjścia z sytuacji. Co by było, gdyby Washington i Laura dziś utonęli? Gdyby zginęli Tarquin, Joyce i Christophe? Nie

mógł na to pozwolić. Dopóki będzie istniał choć cień szansy, że może ich ochronić, wykorzystają. W klasie wyrównawczej, takiej jak druga specjalna, nauczyciel musi być znacznie więcej niż nauczycielem — musi być zastępczym rodzicem i przyjacielem.

Przeszli przez plażę. Piasek był miękki i ciepły, choć słońce już dawno zaszło.

— Widzisz ją? — spytała Susan.

Jim dostrzegał przy samej wodzie nikły kontur. Jane zdawała się patrzeć w kierunku czarnego oceanu. Woda pomrukiwała, opłukiwała jej stopy i ciągnęła za nie, ale Jane stała bez ruchu i wpatrywała się w horyzont. Jim zastanawiał się, czy myśli o dniach, kiedy żyła, i tęskni za nimi.

— Proszę cię… nie rób tego… — powiedziała Susan.

Jim podszedł jednak do ducha Jane i stanął obok niej. Zauważył, że wiatr rozwiewa mu włosy, podczas gdy jej pozostają w bezruchu.

— Może moglibyśmy uzyskać kompromis… — zaczął.

Odwróciła się i popatrzyła na niego pogardliwie.

— Kompromis? Jennie Bauer mnie utopiła, a ty stałeś bezczynnie obok i pozwoliłeś na to. Teraz próbowaliście mnie spalić, żebym nigdy więcej nie mogła przybyć na ten świat…

— Jane… to, co się z tobą stało, było wynikiem działania w złej woli tylko jednej osoby: Jennie Bauer. Nikt nie śmiał się, kiedy tonęłaś. Nawet nie wiedzieliśmy, co się naprawdę stało… do wczoraj. Wszyscy byli przekonani, że utonęłaś przypadkiem. Wszyscy z West Grove byli załamani twoją śmiercią. Powinnaś była widzieć swój pogrzeb. Łzy lały się strumieniami.

— Kłamiesz. Próbujesz sprawić, bym wróciła do świata duchów. Ale ja go nienawidzę. Dostaję w tym świecie klaustrofobii. Są tam tylko staruszkowie o pustych oczach, rozmawiający o golfie, różnych metodach leczenia szpitalnego i o tym, jak we wspólnym łóżku znaleźli leżącego obok martwego współmałżonka. Byłam taka młoda… i nikt nie powinien był mi odbierać życia. Jak mogę odzyskać te stracone lata? Gdyby ludzie wiedzieli, jak cennym darem jest życie…

— O to mi właśnie chodzi, Jane. Dlatego przyszedłem tu dziś za tobą. Życie jest bardzo cenne, a dla mnie niczyje nie jest cenniejsze od życia moich uczniów, chcę ci więc zaproponować coś szczególnego. Chcę spytać, czy zgodziłabyś się wziąć moje życie i uznać, że to pełne zaspokojenie żalu, jaki czujesz do mnie, moich przyjaciół, uczniów West Grove i ich opiekunów. Czy jeśli dam ci moją duszę, moje wspomnienia i wszystko, co tworzy Jima Rooka, przysięgniesz, że zostawisz w spokoju moich przyjaciół i byłych uczniów?

Jane roześmiała się. Nawet tu, na plaży, zabrzmiało to, jakby śmiech dochodził zza ściany. Ale oczywiście — była w innej przestrzeni. Nie istniała — jak Jim — tu i teraz, lecz gdzieś i kiedyś.

— Chcesz, żebym cię sobie wzięta? Z przyjemnością to zrobię. Chodź… wejdź do oceanu… podejdź do skraju wody…

Duch Jane wyciągnął rękę i Jim ją ujął. Była w dotyku jak naelektryzowana. Serce biło mu głośno i kiedy duch Jane prowadził go do wody, ledwie słyszał szum fal.

— Rozbierz się.

— Co?

— Zdejmij ubranie. Nie będziesz go już potrzebował.

— Daj spokój, Jane. Jestem twoim nauczycielem. Nie mogę tego zrobić.

— Byłeś moim nauczycielem w innym czasie i w innej przestrzeni. Teraz jesteś Jimem Rookiem, który pozwolił mi się utopić. Zdejmij ubranie.

Jim niechętnie rozpiął koszulę i rzucił ją na piasek. Potem ściągnął spodnie i też je odrzucił.

— Wszystko — zażądała Jane.

Jim popatrzył na Susan, która stała razem z Michaelem w odległości jakichś dwudziestu pięciu metrów.

— Posłuchaj…

— Jak przyszedłeś na świat, tak go opuścisz…

— Ale…

— *Nie!*

Mógł się spodziewać, że Jane nie zgodzi się na żadne „ale”. Energicznym ruchem ściągnął czerwone slipy i rzucił je za siebie.

— *A teraz…* — powiedziała Jane, biorąc go za rękę zimnymi i mokrymi palcami — *… teraz pójdziemy do wody, dobrze?*

— Muszę mieć pewność, czy to oznacza, że zostawisz w spokoju moich przyjaciół i uczniów — oświadczył Jim, stojąc w wodzie po kolana.

Ale duch Jane ciągnął go dalej, coraz głębiej. Wkrótce woda opłukiwała mu uda i poczuł się zupełnie bezbronny.

— *To oznacza, że postanowiłeś wziąć odpowiedzialność za to, co zrobiłeś* — powiedziała Jane, ciągnąc go coraz głębiej. — *Kiedy ty zapłacisz, zapłacą pozostali — w taki sam sposób.*

Jim wyrwał ramię. Woda sięgała mu niemal do pach, a każda fala sprawiała, że zanurzał się jeszcze głębiej.

— Nie taka miała być umowa — miałaś wziąć mnie, ale ich zostawić!

— *Naprawdę uważasz, że mogłabym tak łatwo wam wszystkim wybaczyć? Nigdy wam nie wybaczę… nikomu z was! Prędzej piekło zamarznie!*

Zanurzyła się pod wodę. Przez chwilę Jim był sam. Poruszał rękami, by utrzymać się na powierzchni. W oddali piętrzyły się i pomrukiwały fale Pacyfiku, wzdłuż Ocean Front Walk migotały światła. Nagle sam się zdziwił, w co właściwie się wplątał. Zawrócił i zaczął przeć do brzegu.

— Jim! — krzyknęła Susan. Jej głos ledwie się przebijał przez nieskończony szum przyboju, odgłos wiatru i dolatujący z oddali rap. — Jim, uważaj! Za tobą!

Był już w wodzie po pas i zbliżał się do brzegu zamaszystym krokiem, gwałtownie poruszając

biodrami. Kiedy się odwrócił, ujrzał za sobą szybko zbliżający się, jarzący się ciemnozielono poblask. Zjawisko wyglądało jak oświetlony rekin ze Szczęk.

— Jim! Jest tuż za tobą! Uciekaj stamtąd! — wołała Susan.

Dotarł do płycizny, dysząc z wysiłku przy każdym rozpryskującym wodę kroku. Odwrócił się i z przerażeniem zobaczył, że Syrena jest zaledwie kilka metrów za nim — uformowana z piany i fosforyzującej mgły wodnej postać, o twarzy ściągniętej żądzą zemsty.

— Wychodź z wody, Jim! — wrzasnęła Susan i podbiegła bliżej. Tuż za nią biegł Michael.

— Susan! — krzyknął. — Susan, bądź ostrożna!

Jim niemal dotarł do plaży, kiedy jednak pokonywał ostatnie metry, usłyszał basowy dźwięk, jaki powstaje przy zasysaniu płynu, woda została gwałtownie wyrwana spod jego stóp i stwierdził, że biegnie po nagim, mokrym piasku. Wiedział, że jeżeli uda mu się dotrzeć do promenady, będzie bezpieczny. Syrena nie mogła pokonać stu metrów piasku, zachowując wodną postać.

Odwrócił się ponownie. Syrena stała na skraju wody i wpatrywała się w niego z nienawiścią.

Susan i Michael podbiegli do niego. Chłopak przyniósł mu spodnie.

— Dzięki, Michael — powiedział Jim.

— Żaden problem. Nie przyjęła oferty?

— O, chętnie by mnie utopiła — odparł Jim, z trudem wciskając nogi w mokre nogawki. — Jednak w dalszym ciągu chce zemsty na innych. Nie da się jej powstrzymać… zamierza topić ludzi, aż ukarze wszystkich, którzy stali wtedy wokół basenu — i kilka osób poza tym. Ale kto nam uwierzy?

Woda cofała się coraz bardziej, a odgłos zasysania był coraz głośniejszy i bardziej przenikliwy. Jim popatrzył wzdłuż brzegu i stwierdził, że jeszcze nigdy nie widział tak dalekiego odpływu. Syrena nadal stała bez ruchu, jednak ocean za nią zaczynał się wznosić. Tworzyła się gigantyczna fala.

— Jezu… —jęknął Michael.

Jim jeszcze nigdy nie widział tak wielkiej fali. Była ogromna i skłębiona, a piasek pod ich nogami drżał, jakby zaczęło się trzęsienie ziemi. Fala ciągle rosła — miliony litrów wody wznosiły się w potężną piramidę.

— Mam dziwne uczucie, że powinniśmy się stąd zbierać.

— Chyba masz rację. Szybko!

Kiedy ruszyli w kierunku promenady, dźwięk urósł do zapowiadającego kataklizm grzmotu.

Jim odwrócił się przez ramię i stwierdził, że gigantyczna fala pędzi do brzegu — kipiąca, spieniona lawina wody, wyższa od stojących wzdłuż Ocean Front Walk domów.

— Biegiem! — krzyknął Jim i złapał Susan za rękę. Ludzie przed nimi rozglądali się zaskoczeni, próbując ustalić, skąd dochodzi grzmot.

Biegli potykając się i zataczając, ich stopy zapadały się w piach. Pokonali zaledwie pół plaży, kiedy Jim poczuł na karku strumień piasku i wody. Obejrzał się — fala była tuż za nimi. Pędziła jak góra na kołach.

— Trzymaj się! — wrzasnął, ściskając mocniej rękę Susan. — Nieważne, co się stanie — nie puść mnie!

— Michael! — krzyknęła Susan, wyciągając do niego drugą rękę.

W tym momencie fala zwaliła się na nich, zalewając ich dziesiątkami ton wściekle wzburzonej wody. Jim miał wrażenie, jakby przygniótł go ogromny budynek. Został rzucony na kolana i pchnięty po piasku, po którym toczył się i toczył. Huknął barkiem w słupek boiska do siatkówki, zderzył z niskim betonowym murkiem, po czym został wyrzucony na chodnik biegnący wzdłuż promenady. Woda rozdzieliła go z Susan i musiał sam walczyć z żywiołem.

Fala była tak ogromna, że zupełnie stracił orientację. W jednej chwili woda przyciskała go do szyby wystawowej sklepu ze strojami kąpielowymi, w następnej wpadł na grupę rowerów. Był

poobijany i posiniaczony, a żebra bolały, jakby ponabijano mu je szkłem. Wokół panował straszliwy hałas.

Niemal tak samo szybko jak nadeszła, ogromna fala zaczęła się cofać. Jim poczuł, jak woda ciągnie go za sobą, zrywając mu z oczu okulary. Złapał się żelaznej nogi ławki, by nie wessało go z powrotem do oceanu, ale wpadła na niego machająca dziko rękami dziewczyna i zaraz potem druga, a za nimi wielki mokry labrador i musiał puścić ławkę. Woda natychmiast ściągnęła go z promenady, spławiła po plaży i wylądował w oceanie. Wirując, znalazł się na dość głębokiej wodzie — bolały go płuca, zaciskał z całej siły oczy i modlił się, by kipiel się uspokoiła.

Powoli woda łagodniała. Jim wypłynął na powierzchnię, czując przy każdym ruchu przenikliwy ból w żebrach. Kiedy znalazł się nad wodą, zaczął mrugać i kasłać i stwierdził, że znajduje się mniej więcej trzydzieści metrów od brzegu. Ludzie na plaży krzyczeli i biegali, z oddali dolatywało wycie syren. Jim rozejrzał się, szukając Susan i Michaela, ale choć w wodzie było dwadzieścia albo trzydzieści osób, nigdzie ich nie widział.

Powoli, walcząc z bólem, podpłynął do plaży. Kiedy jego stopy dotknęły dna, zaczął iść. Był po kolana w wodzie, gdy usłyszał krzyk Susan.

— Jim! To ty? Myślałam, że utonąłeś!

Spróbował odkaszlnąć, ale zbytnio go bolało.

— Chyba złamałem sobie kilka żeber, jednak tym razem jeszcze mnie nie dostała.

Susan podeszła do niego.

— Weź mnie za rękę — powiedziała, wyciągając dłoń. — Złapaliśmy się z Michaelem budki telefonicznej. Skręcił kostkę, ale poza tym nic mu nie jest.

Michael siedział na koszu na śmieci, który woda przyniosła na sam brzeg. Podniósł rękę i krzyknął:

— Wszystko w porządku?

— Bywało lepiej! — odkrzyknął Jim..

— Może pojedźmy do mnie i zastanówmy się, co dalej — zaproponowała Susan. — Ten stwór jest zbyt silny, nie uda nam się go pokonać bez pomocy.

Syreny alarmowe, klaksony samochodów i wrzaski ludzi tworzyły przedziwną kakofonię. Jim spojrzał na ocean.

— Wiecie co? Aż do dziś tak naprawdę nie rozumiałem, że jesteśmy na tej planecie jedynie gośćmi — powiedział. — Spójrzcie na to. Na tę potęgę. Tę tajemnicę. Tyle milionów lat dawania różnym istotom życia…

— Jim! — krzyknął Michael.

Jim wziął Susan za rękę i ruszyli wzdłuż linii wody. Fale cofnęły się i delikatnie omywały im stopy.

— Jim! — powtórzył Michael, tym razem znacznie natarczywiej.

— Co jest?

— Nie jestem pewien, ale… tam! Patrz!

Jim rozejrzał się po plaży. Z początku — z powodu kręcącego się wokół tłumu i migotania kogutów samochodów ratowniczych — nic nie widział, po chwili jednak dostrzegł biegnącą w ich stronę przez płytką wodę błyszczącą postać. Była to Syrena. Zbliżała się bardzo szybko.

— Idź tam! — polecił Susan i wskazał na promenadę. — Spróbuję zwabić ją w jakieś suche miejsce.

Odepchnął dziewczynę i ruszył biegiem. Zebra tak go bolały, że był w stanie jedynie kuśtykać i wyglądał, jakby był uczestnikiem jednoosobowego wyścigu dla inwalidów. Ale musiał odciągnąć Syrenę od Susan i Michaela, a gdyby udało mu się sprowadzić ją na suchy piasek, może i on też miałby szansę uciec.

Przy każdym kroku dyszał tak głośno, że miał wrażenie, jakby ktoś biegł obok. Ocean po prawej

ręce delikatnie kipiał, a przed nim migotały światła Marina Del Rey. Słyszał z tyłu klaszczące o wodę stopy, wiedział jednak, że nie może się odwracać — jeszcze nie teraz.

Właśnie zamierzał odbić w lewo, w kierunku suchego jak pieprz piachu i boiska do siatkówki, kiedy Syrena nagle skoczyła mu na plecy i z łomotem przewróciła na ziemię. Poczuł się jak trafiony z działka wodnego, a połamane żebra wbiły mu się w ciało tak boleśnie, że głośno wrzasnął.

Syrena złapała go za nogi i zaczęła wciągać do wody. Fala uderzyła Jima prosto w twarz, wciskając mu w nos i usta słoną wodę, a kiedy został wciągnięty jeszcze głębiej, połknął wielki haust. Próbował się bronić, ale był zbyt słaby, a wodna zjawa — w oceanie — niesamowicie silna. Połknął kolejny haust wody i spróbował ją wypluć, efekt był jednak taki, że połknął jeszcze więcej. Syrena wciągała go coraz głębiej i wkrótce znalazł się pod powierzchnią. Miał szeroko otwarte oczy, ale widział tylko ciemność i krzyżujące się smugi piany.

To by było na tyle, pomyślał. Tak wygląda koniec. Nie warto powstrzymywać wdechu. Śmierć będzie wielką przygodą.

Syrena puściła go jednak. Kopnął obydwiema nogami, spodziewając się, że w każdej chwili chwyci go ponownie, zdecydowanie go jednak puściła. Znów kopnął obunóż, przewrócił się na brzuch i udało mu się wstać. Wodę miał po pas — co oczywiście wystarczyłoby, żeby go utopić.

— GHHRGHHH! Boże… jedy…ny… — wycharczał.

Syrena była oddalona nie więcej jak o trzy metry, ale nie zwracała na niego uwagi. Wpatrywała się w brzeg, gdzie stała Susan z uniesionymi ramionami. Mokra biała sukienka ciasno oklejała ciało dziewczyny.

— Czas, byś znalazła uspokojenie, Jane! — zawołała Susan śpiewnym głosem. — Czas, byś przestała się mścić na niewinnych ludziach i przeszła na drugą stronę!

Michael, stojący kilka metrów od niej, krzyknął:

— Nie, Susan! Nie możesz!

— Muszę. Taki jest mój los. Wiedziałam, że to się tak skończy… od pierwszej chwili, kiedy ujrzałam Jima Rooka*. Przybył jak prawdziwy gawron, usiadł na ramieniu mojego przeznaczenia i wiedziałam, że przynosi mi odpowiedzi na wszystkie pytania.

— Susan! Tak nie można! Potrzebuję cię!

— Świat mnie potrzebuje, Michael. Pamiętaj, że cię kocham i zawsze będę ci wdzięczna za lata, które mi dałeś, kiedy nikogo nie obchodziłam.

Jim zaczął iść do brzegu.

— Susan… co robisz? Co się dzieje?

Ale ona weszła na płyciznę i podeszła do Syreny. Miała rozpostarte ramiona i wyglądała, jakby przeżywała mistyczną wizję. Syrena stała bez ruchu, jak zahipnotyzowana, czerwone mignięcia kogutów na samochodach straży pożarnej odbijały się od jej wodnistej postaci, co sprawiało wrażenie, jakby w jej wnętrzu pulsowała krew. Oczywiście nie miała tętnic — płynął w niej jedynie ocean.

— Wzywam dziecko, które we mnie śpi — powiedziała śpiewnie Susan. — Kiedy doliczę do trzech, chcę, by otworzyło oczy i obudziło się. Peter — słyszysz mnie? Peter?

— Nie!!! — zawył Michael. — Nie, Susan, nie możesz!

Zataczając się, wszedł do wody i próbował wyciągnąć dziewczynę na brzeg.

— Posłuchaj mnie, Susan… nie możesz! Nie wolno ci!

Susan uniosła dłoń i dotknęła nią jego czoła, jakby go błogosławiła.

— Muszę, Michael. Wiem, że muszę. Któregoś dnia musiało do tego dojść.

Syrena powoli zaczęła do nich podchodzić. Michael wahał się, najwyraźniej nie wiedział, co robić.

— Idź, Michael — powiedziała Susan, uśmiechając się do niego. — Ze względu na wszystko,

co razem przeszliśmy.

Michael powoli zaczął się cofać. Jim obszedł Susan i dołączył do niego.

— Co ona zamierza?

— Zrobi wielkie przedstawienie.

— Wielkie przedstawienie…?

— Bitwę żywiołów. Ogień przeciwko wodzie.

— Ogień? Jaki ogień?

— Peter! — krzyknęła Susan piskliwie. — Peter! Masz się obudzić! Raz — dwa — trzy!

Syrena coraz szybciej podchodziła do Susan. Włosy spływały jej po twarzy jak wodospad, puste oczy błyszczały jak meduzy.

Susan nadal krzyczała, stojąc nieruchomo z rozpostartymi ramionami.

— Czas się budzić, Peter! Czas iść do nieba!

Wokół Susan pojawił się dym i Jim nagle poczuł zapach spalonych włosów.

— Michael… co ona robi?

— Sprowadza Petera. Chłopca, który się spalił we wraku samochodu. Cały czas był w jej umyśle.

— Ale mówiłeś, że jeżeli spróbuje go obudzić, zginie.

Michael przyciskał obie dłonie do ust. Po jego policzkach spływały łzy.

— Susan! — zawołał Jim i ruszył ku niej. — Susan, nie musisz!

Było już jednak za późno. Im bliżej podchodził, tym gęstszy stawał się dym. Wypływał spiralą z czubka głowy dziewczyny i odpływał w noc jak proporzec. Nagle Susan zawyła tak przeraźliwie,

* Rook (ang.) — gawron.

że Jim o mało nie stracił równowagi. Syrena zbliżała się coraz szybciej do Susan, zanim jednak zdążyła do niej dotrzeć, ciało dziewczyny buchnęło płomieniem.

Susan zatoczyła się do tyłu, postąpiła krok na sztywnych nogach, potem jeszcze jeden.

Oświetlona wybuchem ognia Syrena zatrzymała się, wyraźnie zaskoczona. Susan skoczyła do przodu i objęła ją płonącymi ramionami.

Rozległ się przenikliwy syk i buchnęły strumienie pary. Syrena próbowała się wyrwać, ale Susan trzymała ją mocno. Ogień był coraz silniejszy i coraz więcej pary buchało z Syreny.

Jim i Michael mogli jedynie stać i przyglądać się temu z przerażeniem.

Susan płonęła coraz gwałtowniej. Przez płomienie widać było jej czaszkę i nagie żebra klatki piersiowej, ale nadal trzymała w uścisku Syrenę, która zaczęła kurczyć się i zapadać.

Po chwili ciało Susan eksplodowało. Jej głowa z płonącymi włosami poleciała, wirując, w wodę, ramiona — koziołkując — pofrunęły na boki niczym gorejące pałki. Klatka piersiowa i miednica opadły w wodę, pozostawiając na parę sekund jedynie stojące jeszcze, płonące nogi.

Taką wizję piekła mógłby mieć Salvador Dali. Syrena zniknęła, zamieniona w parę, którą natychmiast rozwiał wiatr.

Jim zrobił dwa kroki ku wodzie. W ciemności dostrzegał ledwie widoczne kontury Jane Tullett. Wyglądała, jakby miała na głowie biały welon — Jim pamiętał, że miała go w trumnie.

— Jane… — zaczął.

— Witam, panie Rook.

— Jane… mam nadzieję, że teraz będziesz mogła spocząć.

Jane kiwnęła osłoniętą welonem głową i uśmiechnęła się.

Potem odwróciła się i wyciągnęła rękę. Z cienia wyszedł ledwie widoczny kontur chłopca, ubranego w białą koszulę nocną. Zatrzymał się i zamrugał, najwyraźniej nie bardzo wiedząc, co się dzieje.

— Peter? — spytał Jim.

— Spałem — wyszeptał Peter słabym, udręczonym głosem. — Śniło mi się, że się palę, ale tak

nie było.

— Możesz dalej spać — powiedział Jim. — I pamiętaj, że wszyscy o tobie myślą.

— Dziękuję.

Jim stał i patrzył, jak oba duchy odwracają się i trzymając się za ręce, odchodzą — w spieniony ocean i gdzieś znacznie dalej. Jeszcze przez chwilę migotały w ciemności, po czym zniknęły. Jim odwrócił się do Michaela.

— Mówiłem, żeby tego nie robiła — wymamrotał Michael, ocierając oczy grzbietem dłoni. — Co mogłem więcej zrobić? Kochałem ją. Zawsze chciałem, by była bezpieczna.

Jim objął chłopaka ramieniem.

— Nie można uchronić nikogo przed jego przeznaczeniem… bez względu na to, jak bardzo się chce. Życie jest pełne ryzyka. Śmierć też jest ryzykiem. Ale czasem musimy brać na siebie wszystko, co przychodzi.

— Chyba w dalszym ciągu nic nie rozumiesz. Peter był moim młodszym bratem.

— Słucham…?

— Dlatego znalazłem Susan… a potem się nią zająłem. Dlatego pomogłem jej wprowadzić Petera w stan duchowej hipnozy. Czuję się odpowiedzialny za niego i za nią. Mogła umrzeć, próbując pomóc Mary.

Poszli przez plażę do Ocean Front Walk. Nie musieli rozmawiać, bo obaj kochali Susan Silverstone — choć każdy na inny sposób — a czasem lepiej, jeżeli żal trwa w ciszy.

— Więc jedziesz do Waszyngtonu? — spytał Mervyn. — Naprawdę?

— A myślałeś, że będzie inaczej?

— Sądziłem, że wymyślisz jakąś wymówkę… jakieś kolejne nadprzyrodzone zagrożenie, by zostać z drugą specjalną.

Siedzieli w mieszkaniu Mervyna, popijali sake i pogryzali maleńkie japońskie zakąski, takie jak

surowy tuńczyk, drobno krojone wodorosty, krewetki w sezamie i chirasizushi. TD raczyła się resztkami łososia i makreli z prostokątnej, pokrytej laką tacy, stojącej w kącie.

Washington położył nogę na łóżku i kiwał zwisającą stopą.

— Powinienem tam być, kiedy rozwaliliście Syrenę.

— Cały czas mi pomagałeś, razem z Laurą i resztą klasy. Gdyby nie ty, nie poradziłbym sobie, nie dotarłbym do tej plaży.

— A jednak nas tam nie było.

— Nie. Od tej chwili musicie zająć się własnym życiem. Niczego nie da się cofnąć. Jane myślała jedynie o cofnięciu czasu, ale to przynosi wyłącznie rozczarowanie, urazy i żal. Patrz w przyszłość, Washington. Czeka na cię nowe, wspaniałe życie.

Washington zdjął ciemne okulary. Wyglądał bez nich bardzo młodo.

— Niechętnie to mówię, proszę pana, i nie ma to być ocena, jak nas pan czegokolwiek uczył. Uczył nas pan dobrze, ale nie czuję się jeszcze gotów do nowego życia… wie pan… naprawdę gotów.

Jim uśmiechnął się.

— Nikt nie jest nigdy naprawdę gotów. Jeśli myślisz, że sobie nie poradzisz, nie zdradzaj się z tym. Najważniejszą rzeczą, jakiej można się nauczyć o życiu, jest to, że wszyscy inni są tak samo przerażeni jak my sami.

— Pan się niczego nie boi.

— Tak uważasz? Opuszczam Los Angeles, zostawiam przyjaciół. Rzucam pracę, którą uwielbiam, i kobietę, którą prawdopodobnie kocham.

— Zostawia pan też kota.

— To prawda, ale TD ma teraz dobry dom. Lepszy, niż ja mógłbym jej kiedykolwiek zapewnić.

— Oczywiście — potwierdził Mervyn. — Może wreszcie nauczy się nieco dyscypliny.

— Dam ci radę, Mervyn — powiedział Jim. — Nie próbuj być zbyt autorytarny. TD ma swoje sposoby na takich… potrafi się odgryźć.

— Widziałem próbkę jej możliwości. Kiedy uznała, że jesteś w niebezpieczeństwie, wpadła do łazienki jak wystrzelona z armaty.

Jim podrapał TD pod brodą. Kotka zamknęła ślepia i zamruczała.

— Nie wiem… czasami wydaje mi się, że to wcale nie jest kot.

Pożegnali się — Washington, Laura i Jim. Byli ze sobą tylko rok, ale mieli wrażenie, jakby znali się całe życie.

— Nie musicie się czuć zobowiązani do regularnego pisania listów ani wysyłania e–maili, jednak czasem chętnie bym się dowiedział, jak wam się wiedzie… jaką macie pracę i w ogóle. Gdybyście mieli dzieci… cóż, jestem chyba niezłym ojcem chrzestnym. Mam dużą praktykę… dzieciaki siostry, kuzynki.

— Któregoś dnia na pewno się odezwiemy — powiedziała Laura i pocałowała go w policzek.

Siedział z Karen na werandzie i delikatnie popychał stopą huśtawkę. Był to jeden z tych dziwnych wieczorów, kiedy niebo jest nienaturalnie pomarańczowe, a nad górami Santa Monica trzaskają błyskawice. Takiego wieczoru wszyscy są przekonani, że zaraz zacznie padać — lecz nigdy nie pada.

— Nie wiem, czego naprawdę potrzebujesz — powiedziała Karen. — Wycieczki na Hawaje? Lobotomii? Odzyskania pracy w drugiej specjalnej?

— Sam nie wiem. — Ciągle jeszcze nie zrobił sobie nowych okularów i jego oczy sprawiały wrażenie rozkojarzonych. — Może po prostu rozpadam się na kawałki.

Karen podniosła pustą butelkę chardonnay Sutter Home, która spadła na deski werandy obok jej fotela.

— To się musi skończyć, Jim. Jeżeli kiedykolwiek ma nas coś ze sobą łączyć… musisz mi

powiedzieć prawdę.

— Prawdę? Ty wcale nie chcesz znać prawdy, Karen. Prawda to rozsypany nad oceanem proch.

— Wyrażasz się niejasno.

— I w tym problem? Nie umiesz sobie radzić z niejasnymi sprawami?

Pochyliła się i pocałowała .go mocno.

Przez chwilę patrzył jej intensywnie w oczy, jakby znał wszystkie pytania, jakie chciałaby mu zadać. Potem wstał i wziął do ręki torbę.

— No tak… pomyślałem sobie, że może chciałabyś wiedzieć, jak to wszystko się zakończyło. Powinno ci być łatwiej zasypiać ze świadomością, że Syrena wyparowała… wyschła… wszystko jedno.

Karen zamierzała coś powiedzieć, oboje wiedzieli jednak, że czas już się pożegnać. Jim pocałował ją w czubek głowy, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Zadzwonił do Davida DuQuesne. Telefon dzwonił bardzo długo i w końcu odebrała chińska pokojówka.

— Rezydencja pana DuQuesne.

— Mówi Jim Rook. Chciałbym zamienić kilka słów z panem DuQuesne.

— Przykro mi. Chyba nie słyszał pan najnowsze wiadomości.

— Wiadomości? Jakich wiadomości?

— Pan DuQuesne pojechał do Pensylwania.

— Rozumiem. Powiedział, kiedy wróci do Los Angeles?

— Nie wróci.

— Wyprowadził się na stałe?

— Nie. Nie żyje.

— Pan DuQuesne nie żyje? Nie wierzę.

— Pan Rook, tak? Zostawił panu wiadomość. Proszę czekać. Nie rozłączać się.

Po paru minutach pokojówka wróciła.

— Chce pan, żeby przeczytać?

— Oczywiście, proszę.

— Dobrze czytam angielski. Napisane: „Drogi Jimie, kiedy będziesz to czytał, ja już nie będę żył. Twoje polowanie na Syrenę zainspirowało mnie, wyruszam więc, by zrobić coś, co obiecywałem sobie od lat, ale nigdy nie mogłem zebrać dość odwagi. Wyjeżdżam jutro do Pensylwanii, by znaleźć Szalonego Franka Rzeźnika — albo to, co zamordowało mojego brata. Tym razem raz na zawsze unicestwię tę miejską legendę. Życz mi szczęścia".

— I co? Co się z nim stało? — zapytał Jim.

— Bardzo przykro powiedzieć, policja z Pensylwania wczoraj wieczór znalazła pana DuQuesne martwy w lesie. Wszędzie poszarpane kawałki.

— Znaleźli jego stopy?

— Słucham…?

— Nieważne. Bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że przyjmie pani moje kondolencje.

Jim odłożył słuchawkę i opadł na oparcie fotela. Słońce zachodziło i mieszkanie wypełniało bursztynowe światło. Trzymał w ręku naszyjnik, który kupił na targach psychotronicznych w parku De Longpre — w niedzielę, kiedy poznał Susan. Naszyjnik przepowiedział mu, że umrze trzynastego — czyli jutro.

Czym jest śmierć? Pozostawieniem za sobą życia i udaniem się w inne miejsce? Zakończeniem rozdziału czy rozpoczęciem czegoś nowego? Błogosławieństwem czy udręką?

Wrzucił naszyjnik do kosza na śmieci, poszedł do łazienki i zaczął myć zęby, a po policzkach spływały mu łzy.

Document Outline

- Rozdział 1
- Rozdział 2
- Rozdział 3
- Rozdział 4
- Rozdział 5
- Rozdział 6
- Rozdział 7
- Rozdział 8
- Rozdział 9
- Rozdział 10
- Rozdział 11
- Rozdział 12
- Rozdział 13
- Rozdział 14
- Rozdział 15